

GLENN COOK

**GORZKIE ZŁOTE
SERCA**

(Przełożyła Aleksandra Jagiellowicz)

I

Po zamknięciu sprawy Niebezpiecznych Rusałek nie miałem nic do roboty. Dwa tygodnie sam na sam ze zręczącym i mamroczącym Truposzem wyczerpałyby cierpliwość świętego. Świętego, którym raczej nie jestem.

Co gorsza, Tinnie opuściła miasto na czas nieokreślony. Przeklęty rudzielec nie życzył sobie, aby jakieś nieznajome damy kręciły się wokół mojej osoby. Był to dla mnie wyjątkowo trudny okres. Wieczorami nie miałem nic do roboty, poza ratowaniem piwiarni przed bankructwem z braku klienteli.

Było dość wcześnie i diabeł w mojej czaszce ćwiczył sobie metaloplastykę, toteż nie byłem w najlepszej formie, gdy rozległo się walenie w drzwi naszego starego, na pół zrujnowanego domu przy ulicy Macunado.

- Czego? - rzuciłem w przestrzeń, gwałtownie otwierając drzwi. Nie szkodzi, że damę spowijało około tysiąca marek w szytych na miarę szatach, a ulica pełna była gamoni w jaskrawej liberii. Zbyt dużo widziałem bogaczy, żeby zrobiło to na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

- Pan Garrett?

- We własnej osobie - rozluźniłem się trochę. Miałem teraz okazję przyjrzeć się jej od stóp do głów, a potem z powrotem. I jeszcze raz. I jeszcze. Warto było. Ciała niezbyt wiele, choć na oko niczego nie brakowało, a reszta została całkiem ponętnie rozmieszczona. Kiedy moje spojrzenie znowu powędrowało na północ, na jej usta zawitał lekki uśmiezek.

- Jestem półkrwi wróżką - oznajmiła. Poważny ton na moment rozbrzmiał dziwną melodią. - Czy mógłbyś przestać się gapić choć na krótką chwilę? Chciałabym wejść do środka.

- Oczywiście. Czy mogę zapytać o nazwisko? Nie przypominam sobie pani w moim kalendarzu spotkań, choć chętnie widywałbym panią nawet codziennie.

- Przyszłam tu w interesach, panie Garrett. Proszę zachować swoje dowcipy dla dziewczyn barowych. - Przepchnęła się obok mnie, ale po kilku krokach zatrzymała się i rozejrzała z lekkim zaskoczeniem.

- Wygląd zewnętrzny to kamuflaż - wyjaśniłem. - Wolimy, żeby wyglądał jak śmietnisko, aby nie poddawać zbyt ciężkiej próbie uczciwości naszych sąsiadów.

To rzeczywiście nie była najlepsza dzielnica miasta. Trwała wojna, walka była zacięta i roboty nie brakowało, ale niewielu z moich znajomych wpadło na ten głupi pomysł, by

utrzymywać się z uczciwego zarobku.

- My? - zapytała lodowatym tonem. - Chciałam skonsultować się z panem w sprawie wymagającej najwyższej dyskrecji.

Jak zawsze, jak zawsze. Nigdy nie przyszliby do mnie, gdyby uważali, że sami rozwiążą swoje problemy.

- Można mu zaufać - odparłem, wskazując głową sąsiedni pokój. - Trzyma dziób na kłódkę. Jest martwy od czterystu lat.

Jej twarz kilkakrotnie zmieniła wyraz.

- Czy to Loghyr? Truposz?

Aha, więc jednak nie jest aż taką damą. Wszyscy, którzy znają Truposza, wywodzą się z dolnej dzielnicy TunFaire.

- Tak, sędzę, że i on powinien tego wysłuchać.

Łażę i słyszę to i owo - nieraz prawdę, częściej plotki. Rozpoznałem liberię Strażniczki Burz Raver Styx i wydawało mi się, że wiem, co ją gryzie. To będzie wesoły widok, kiedy postawię ją twarzą w twarz z kupą zjedzonej przez mole padliny, która stała się rezydentem w moim domu.

-Nie.

Ruszyłem w stronę pokoju Truposza. Z reguły budzę go, kiedy mam interesanta. Nie wszyscy przybysze są przyjaźnie nastawieni, a Truposz potrafi być bardzo skuteczną obroną, jeśli akurat jest w odpowiednim nastroju...

- Nie dosłyszałam pani nazwiska, panienko? Blefowałam i ona dobrze o tym wiedziała. Mogła udać, że nie słyszy, ale tylko jakoś dziwnie zawahała się, zanim wyznała:

- Jestem Amiranda Crest, panie Garrett. To naprawdę poważna sprawa.

- Wszystkie sprawy są naprawdę poważne, Amirando. Zaraz wracam.

Nie wyszła.

II

Sprawa była na tyle ważna, że pozwalała nawet sobą pomiatać.

Truposz oddawał się swoje ulubionej ostatnio rozrywce, polegającej na przewidywaniu i odgadywaniu intencji generałów i wojennych lordów z Kantardu. Nie szkodzi, że informacja, jaką dostawał, była niepełna, nieraz nieaktualna i z reguły przefiltrowana przez moją osobę. Radził sobie równie dobrze, jak wszyscy ci geniusze komenderujący armiami, i lepiej, niż większość strażników burz i wojennych lordów, których główną zasługą na polu bitwy był dobry rodowód.

Truposz był wielką górą sztywnego, żółtego cielska, rozwaloną na ogromnym, drewnianym fotelu. Oprawa była przenoszona wiele razy, ale samo cielsko ani drgnęło od dnia, w którym ktoś przedziurawił je nożem, to znaczy od czterystu lat. Było już cokolwiek postrzępione tu i ówdzie. Ciała Loghyrów nie rozkładają się, ale myszy i większość insektów uważają je za przysmak.

Ściana, naprzeciw której stał fotel, nie miała ani okien, ani drzwi. Pewien artysta wymalował na niej ogromną mapę strefy walki, a Truposz właśnie prowadził po gipsowym polu oddziały robactwa, odtwarzając przy ich pomocy niedawne kampanie i usiłując pojąć, jak najemnik Glory Mooncalled zdołał umknąć nie tylko nasłanym nań Venageti, ale nawet swym własnym dowódcom, którzy z całego serca chcieli go złapać i związać, zanim zbyt długa lista jego zwycięstw zrobi z nich większych głupców i niezdary niż są.

- Nie śpisz. *Wynoś się, Garrett.*

- Kto wygrywa? Mrówki czy karaluchy? Uważaj na te pająki w rogu, podkradają się do twoich rybików.

Przestań mnie denerwować, Garrett.

- Mam gościa, potencjalnego klienta. Potrzebujemy klienta. Chciałbym, żebyś wysłuchał, jak wylewa swoje żale.

Znowu sprowadziłeś mi babę do domu? Garrett, moja dobra wola ma granice - szersze niż ocean, ale jednak granice.

- Czyj to dom? Czy znowu mamy wracać do dyskusji, kto tu jest właścicielem, a kto lokatorem?

Robactwo rozlazło się, jedno zaatakowały drugie. Cóż, wojna to wojna.

Już prawie miałem zarys...

- On to robi za pomocą magicznych luster. Jeśli byłby tu jakiś zarys, Rada Wojenna

Venageti wykryłaby go już dawno. Szukanie Mooncallea to nie ich hobby, ale sprawa życia lub śmierci.

Najemnik skubał ich po kolei, jednego po drugim. Miał jakieś stare długi do spłacenia.
Przypuszczam, że tym razem to nie ta twoja ryżka wiedźma?

- Tinnie? Nie, ta pracuje dla Strażniczki Burzy Raver Styx. Ma w sobie krew wróżek. Na pewno pokochasz ją od pierwszego wejrzenia.

Może ty kochasz wszystkie od pierwszego wejrzenia W przeciwieństwie do ciebie nie jestem już niewolnikiem swojego ciała. Nie jest źle być umarłym, to ma nawet swoje zalety. Nabiera się zdolności rozumowania...

Słyszałem to już kiedyś... parę tuzinów razy.

- Przyprowadzę ją. - Wyszedłem i wróciłem do salonu. - Panno Crest? Czy może pani udać się za mną?

Kipiała wściekłością, ale nawet w gniewie wyglądała słodziutko. Była jednak w jej zachowaniu jakaś cicha desperacja, która powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Amirando, dobry duchu mych snów, idziemy? Poszła za mną. Myślę, że nie miała wyboru.

Na widok Truposza Amiranda Crest zaczęła się trząść. Ja już się do niego przyzwyczailem i czasem zdarza mi się zapomnieć, jakie wrażenie jego widok wywiera na osobie, która nigdy dotąd nie widziała martwego Loghyra. Malutki, śliczny nosek zmarszczył się.

- Śmierdzi tu - szepnęła.

No cóż, to była prawda, a ja już przywykłem i do tego. Zignorowałem uwagę.

- Oto Amiranda Crest, która przyszła do nas w imieniu Strażniczki Burz Raver Styx.

Proszę wybaczyć, że nie wstaję, panno Crest. Potrafię dokonywać cudów za pomocą siły mego umysłu, ale autolewitacja do nich nie należy.

W międzyczasie Amiranda wtrąciła:

- O, nie. Nie w imieniu Strażniczki Burz. Ona przebywa w Kantardzie. Przysłała mnie jej sekretarka, Domina Willa Dount... Jestem jej asystentką. Chciałaby zobaczyć się z panem Garrettem, żeby powierzyć mu pewne zadanie, które należy wykonać bardzo dyskretnie. Dla rodziny.

- A więc pani nie powie mi, o co chodzi?

- Sama nie wiem. Polecono mi przekazać panu sto marek w złocie i powiedzieć, że czeka jeszcze tysiąc, jeśli wykona pan zadanie. Setka jednak należy do pana, jeśli tylko pójdzie pan na to spotkanie.

Łże, Garrett. Wie, o co tu chodzi. Czymś w końcu musi płacić ten czynsz.

- To wszystko? Nie dowiem się nawet, w imię jakiej idei nadstawiam karku?

W czasie, kiedy rozmawiałem z Truposzem, nagle zmieniła strategię. Zaczęła odliczać do lewej dłoni złote dziesięciomarkówki. Byłem zaskoczony. Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo z domieszką krwi wróżek, kto byłby praworęczny.

- Proszę sobie zaoszczędzić fatygi, panno Crest. Jeśli tak wygląda sytuacja, wolę zostać tutaj i wraz z moim przyjacielem musztrować karaluchy.

Myślała, że żartuję. Facet z moją pozycją, odwracający się od stu marek w złocie? Facet z moim charakterem? Powiniennem kurcgalopkiem popędzić na Górę, żeby dowiedzieć się, kogo raczą chcieć zabić. Ona też prawdopodobnie tak zrobiła, płacąc urodą za eleganckie szmatki, które miała na sobie.

- Czy nie może mi pan uwierzyć na słowo i wziąć złoto? - zapytała.

- Ostatnim razem, kiedy zaufałem komuś z Góry, wylądowałem w Marines. Pięć lat życia spędziłem na zabijaniu wspólników Venageti, którzy wcale nie lepiej ode mnie wiedzieli, o co chodzi. Nie dotarło to do mnie, dopóki nie wróciłem do domu. A wtedy zacząłem was lubić jeszcze trochę mniej, moje damy i lordowie z Góry. Żegnaj paniu, panno Crest. A może ma pani do mnie jakąś sprawę o bardziej osobistym charakterze? Znam pewne miejsce, gdzie serwują takie owoce morza, że tylko zjeść i umrzeć!

Obserwowałem, jak obraca to w myślach, szukając innych, bardziej skutecznych sztuczek:

- Domina będzie na mnie wściekła, jeśli pana nie przyprowadzę.

- Ależ to przykre. Szkoda, że to nie moja sprawa. Czy już mogę panią przeprosić? Pani chłopcy chyba się tam już usmażyli na słońcu.

Wymaszerowała z pokoju.

- Wyrzucasz w błoto najłatwiejsze sto marek, jakie w życiu zarobiłeś, Garrett - warknęła.

Poszedłem za nią, żeby się upewnić, że użyje drzwi do celu, w jakim zostały zbudowane.

- Jeśli twoja szefowa tak bardzo chce się ze mną zobaczyć, niech się tu pofatyguje.

Zamurowało ją. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale potrząsnęła głową i wyszła. Zanim domknąłem drzwi, zobaczyłem jeszcze, jak dokładnie rozmiękczona upałem eskorta zrywa się z miejsca i staje na baczność. Wróciłem do Truposza.

Byłeś trochę uparty, co?

- Wróci tu.

Wiem. Ale w jakim nastroju?

- Może będzie gotowa wyłożyć wszystko: kawę na ławę, bez sztuczek.

To samica, Garrett. Dlaczego upierasz się przy swoim nierozsądnym optymizmie w odniesieniu do zupełnie obcego gatunku?

To jeden z jego czołowych argumentów. Truposz z całego serca nienawidzi kobiet. Tym razem jednak odmówiłem przyjęcia zaproszenia do gry. On także zrezygnował.

Masz zamiar wziąć tę robotę?

- Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to się nie powieszę. Wiesz, że nie kłamałem, kiedy mówiłem o moim stosunku do lordów z Góry. A zwłaszcza nieszczerze lubię czarowników. Poza tym nie potrzebujemy forsy.

Zawsze będziesz potrzebował forsy, Garrett, bo tracisz wszystko na piwo i dziwki.

Oczywiście przesadza. Przemawia przez niego zazdrość. Jego stan, poza wszystkimi zaletami, ma jedną zasadniczą wadę: nie pozwala na złopanie piwa.

Ktoś wali w drzwi.

- Słyszę. To pewnie stary Dean, może przyszedł wcześniej do pracy.

Truposz nie zniósłby gospodyni, a moja tolerancja na prace domowe jest minimalna. Z trudem udało mi się znaleźć pewnego staruszka - poruszającego się z szybkością i wdziękiem starego zółwia - który zgodził się przychodzić, sprzątać, gotować i czyścić pokój Truposza z robactwa.

Zdziwiłem się, widząc Amirandę tak szybko z powrotem.

- Już? Szybka jesteś. Wejdz. Nie przypuszczałem, że tak trudno mi się oprzeć.

Wyminęła mnie i obróciła się z rękami na biodrach.

- Dobrze, mój panie Garrett. Niech będzie po twojemu. Domina pragnie widzieć się z tobą, ponieważ mój... ponieważ syn Strażniczki, Karl, został porwany. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, to nie masz szczęścia, bo teraz wiesz dokładnie tyle co ja.

A ty naprawdę się tym martwisz, pomyślałem. Ruszyła w stronę drzwi.

- Czekaj - zrobiłem do niej oko. - Dawaj tę setkę.

Podawała mi pieniądze z tryumfalną miną. Punkt dla Amirandy Crest. Uznałem, że może ją nawet polubię.

- Zaraz wrócę.

Zabrałem złoto do Truposza. Na całym świecie nie ma bezpieczniejszego miejsca.

- Słyszałeś? *Słyszałem.*

-I co sądzisz?

Znasz się na porwaniach. Jesteś w nich ekspertem.

Wróciłem do Amirandy Crest.

- To dobra wróżba, piękna wróżko. Jakoś niezbyt ją to rozśmieszyło.

Nie wszyscy doceniają moje wspaniałe poczucie humoru.

III

Maszerowaliśmy jak parodia oddziału wojskowego. Towarzysze Amirandy odziani byli w mundury i zdaje się, że na tym kończyła się ich znajomość zagadnienia. Zgadując, mógłbym powiedzieć, że ich jedynym zadaniem było wypychanie liberii, żeby nie wlokła się po kurzu.

Kilka razy próbowałem rozpocząć rozmowę, ale gadatliwość Amirandy już się wyczerpała. Teraz byłem tylko wynajętym pomocnikiem.

Truposz miał rację. Kidnapping jest moją specjalnością, choć zawdzięczam to jedynie zbiegowi okoliczności. Od czasu do czasu zdarza mi się ugrzęznąć w charakterze gońca pomiędzy obu stronami, a każde dostarczenie okupu i przekazanie żywej ofiary stęsknionej rodzinie powoduje powstanie nowych plotek. Zresztą przy mnie obie strony wiedzą dokładnie, czego się spodziewać. Gram czysto, bez sztuczek, i niech Niebiosa mają w swojej opiece opryszków, którzy zwrócą towar w stanie uszkodzonym. Z reguły moi zwierzchnicy żądają wtedy ich głów i jest to całkiem normalna procedura.

Nienawidzę kidnapingu i kidnaperów. Porwanie jest głównym przemysłem podziemia TunFaire. Najchętniej spławiłbym wszystkich kidnaperów z prądem rzeki i głową w dół, ale zdrowe myślenie ekonomiczne sprawia, że działam raczej zgodnie z zasadą “żyj i daj żyć innym”. No, chyba że oni pierwsi zaczną kantować.

Góra jest czymś więcej niż tylko kawałkiem wyżej położonego gruntu, posiadającym rozpostartego u swych stóp TunFaire. To także pewien stan umysłu, którego zresztą bardzo nie lubię. Ich forsa jest jednak tak samo dobra jak wszędzie na dole, a mają jej znacznie więcej. Moją dezaprobatę wyrażam poprzez odmawianie przyjęcia zadań, które mogłyby zwiększyć władzę tej bandy z Góry nad resztą, czyli nami.

Zazwyczaj próbują mnie wynająć do wykonania brudnej roboty. Naturalnie, odmawiam im, a oni znajdują kogoś mniej drobiazgowego. I tak jakoś się to kręci.

Dom Strażniczki Burz Raver Styx był typowy dla Górnej Góry. Wielki, wysoki, obmurowany, ponury, ciemny i tylko o jotę przyjemniejszy od grobowca. Było to jedno z tych miejsc, nad których bramą jedynie przypadkiem nie ma napisu “Porzućcie nadzieję”. Może to sprawka zaklęć ochronnych, ale ostatnie kilka metrów przeszedłem w stanie ciężkiego rozstroju nerwowego, podczas gdy mój wewnętrzny anioł stróż powtarzał mi, że naprawdę wcale nie chcę tam iść.

I tak poszedłem. Sto marek w złocie potrafi uciszyć najbardziej anielskiego anioła.

Wnętrze przypominało nawiedzony zamek. Wszędzie pełno pajęczyn. Po odprawieniu eskorty tylko Amiranda i ja snuliśmy się po mrocznych korytarzach.

- Wesolutki bungalow. Gdzie są wszyscy?

- Strażniczka wzięła ze sobą większość dworzan.

- Ale sekretarkę zostawiła? -Tak.

To znaczy, że w plotkach krążących o mężu i synu Strażniczki, obu imieniem Karl, jest nieco prawdy. Oględnie mówiąc, potrzebny im pasterz.

Od pierwszego wejrzenia uznałem, że Willa Dount wygląda na osobę, która potrafi trzymać za mordę. Jej oczy mogłyby mrozić piwo, a czaru, jaki roztaczała wokół siebie, nie powstydzilby się kamienny monolit. Wiedziałem o niej coś niecoś z ploteczek i szeptów krążących na dole. Wykonywała za Strażniczkę co brudniejszą robotę.

Miała około pięciu stóp i dwu cali wzrostu, tuż po czterdziestce, pulchna, ale nie tłusta. Szare oczy były tej samej barwy co włosy. Ubrana była, no, powiedzmy, rozsądnie. Uśmiechała się co najmniej dwa razy częściej niż Człowiek na Księżycu, ale za to nieszczerze.

- Domina, oto pan Garrett - zaanonsowała mnie Amiranda.

Kobieta spojrzała na mnie tak, jakbym był potencjalnie zaraźliwą chorobą lub szczególnie interesującym okazem w zoo. Jednym z tych paskudniejszych, jak gromojaszczur.

Nieraz mam wrażenie, że należę do ginącego gatunku.

- Dziękuję, Amirando. Proszę usiąść, panie Garrett - słowo "pan" omal nie złamało jej szczęki. Nie była przyzwyczajona, by traktować uprzejmie ludzi mojego pokroju.

Usiadłem. Ona też. Amiranda sterczała nad naszymi głowami.

- To wszystko, Amirando.

- Domino...

- To wszystko.

Amiranda wyszła, wściekła i upokorzona. Zanim sekretarka odprowadziła ją, a raczej przepędziła wzrokiem z pomieszczenia, obejrzałem sobie zatłoczone biurko.

-I co pan sądzi o naszej Amirandzie, panie Garrett? - Chyba znowu rozboleła ją szczeka.

- Człowiek mógłby marzyć, żeby mu się przyśniła... - usiłowałem wyrazić to możliwie najdelikatniej.

-Jestem tego pewna. - Skrzywiła się. Chyba oblałem jakiś test. Nie szkodzi. Stwierdziłem, że raczej nie polubię Dominy Willi Dount.

- Czy miała pani jakiś powód, żeby mnie tu wezwać?

- A co powiedziała panu Amiranda?

- Wystarczyło, żebym zechciał wysłuchać. - Usiłowała zgromić mnie wzrokiem, ale odpowiedziałem jej pięknym za nadobne. - Z reguły nie mam zbyt wiele współczucia dla mieszkańców górnych dzielnic miasta. Uważam, że im bardziej los im nie sprzyja, tym większe potrafią wyciągnąć z tego korzyści. Porwanie stanowi jedyny wyjątek.

Znów się skrzywiła. Grymas pierwsza klasa, to muszę jej przyznać. Każda gorgona byłaby z niego dumna.

- Co jeszcze panu powiedziała?

- Tylko tyle, a i to wymagało z mojej strony pewnego zachodu. Może pani powie mi coś więcej.

- Tak. Jak pan już wie od Amirandy, porwano młodszego Karla.

- Z tego, co słyszałem, niewielu chłopców w okolicy zasłużyło sobie na to bardziej niż on. - Karl Junior miał opinię dwudziestotrzylatka, który udaje złośliwego i bardzo rozwydrzonego trzylatka. Nie było wątpliwości, którą połowę rodziny uznaje za autorytet, a zadaniem Dominy Dount było głównie utrzymywanie jego zachowania na cywilizowanym poziomie lub tuszowanie co większych wpadek.

Willa Dount zacisnęła usta w nieduży, biały punkcik.

- Jest jak jest. Nie jesteśmy tu po to, aby wysłuchiwać pańskich opinii na temat osób postawionych znacznie wyżej od pana, Garrett.

- Więc po co tu jesteśmy?

- Wkrótce wraca Strażniczka. Nie chcę, żeby po przyjeździe zastała taką sytuację. Pragnę, by przed jej powrotem wszystko zostało załatwione i zapomniane. Czy będzie pan notował, Panie Garrett?

Podsunęła mi pod nos materiały piśmienne. Zdaje się, że podejrzewała mnie o głęboki analfabetyzm i z góry rozkoszowała się moim upokorzeniem, kiedy będę się musiał do tego przyznać.

- Nie, chyba że coś będzie tego warte. Przypuszczam, że miała już pani wiadomość od porywaczy? Wie pani na pewno, że Junior nie wybrał się na jedną z tych swoich dłuższych wycieczek?

W odpowiedzi wyciągnęła zza biurka zawiniątko z gałganów i podsunęła mi je pod nos.

- To pozostawiono w nocy u strażnika.

Odwinąłem gałgan i odśloniłem parę butów ozdobionych srebrnymi klamrami. W jednym z nich znajdował się złożony kawałek papieru.

- To jego? -Tak.

- A posłaniec?

- A czego się pan spodziewa? Łobuziak uliczny, jakieś siedem czy osiem lat. Strażnik przyniósł mi zawiniątko dopiero po śniadaniu, a przez ten czas chłopak był już zbyt daleko, żeby go złapać.

Aha, więc jednak ma jakieś tam poczucie humoru!

Okazałem butom należne zainteresowanie, używając do tego celu obojga oczu. Z reguły nie przynosi to większych efektów, ale jakoś zawsze szuka się tej jednej plamki nietypowego błota lub dziwnej, żółtej trawki, które sprawia, że wyjdiesz na geniusza. Tym razem też nic nie znalazłem. Rozwinałem papier.

Mamy waszego Karla. Jak chcecie, żeby wrócił, zrobicie to, co karzemy. Nikomu o niczym nie mówić. Później dowiedzie się co robić dalej.

W papier zawinięty był kosmyk włosów. Podniosłem go do światła padającego przez okno za biurkiem. Miał taki kolor, jaki pamiętałem po kilku przelotnych spotkaniach z Juniorem.

- Niezłe.

Willa Dount obdarzyła mnie hojnie kolejnym grymasem.

Zignorowałem ją i przyjrzałem się listowi. Sam papier nie powiedział mi zupełnie nic, poza tym, że został oddarty z większej całości, być może z książki. Mógłbym krążyć po mieście przez następne kilka wieków, szukając miejsca, do którego by pasował. Pismo jednak było bardzo interesujące. Drobne, ale swobodne, pewne, niemal doskonałe, całkiem nie pasujące do treści.

- Nie rozpoznała pani tego pisma?

- Oczywiście, że nie. To pana zresztą nie powinno obchodzić.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Wczoraj rano. Wysłałam go do naszego magazynu na nabrzeżu, żeby sprawdził raport o kradzieży. Brygadzista twierdził, że to chochliki. Moim zdaniem to on był tym chochlikiem, a następnie sprzedał drewno należące do Strażniczki komuś innemu z Góry. Może nawet któremuś z naszych sąsiadów.

- To takie pocieszające i krzepiące, że klasy wyższe wnoszą się ponad grzechy i pokusy grożące nam, prostakom. Nie zdziwiła się pani, kiedy nie wrócił do domu?

- Już panu mówiłam, że pańskie postawy i opinie nie interesują mnie. Proszę je zachować dla kogoś, kto się z panem zgodzi. Nie, nie zdziwiłam się. Nieraz nie ma go przez kilka tygodni. Jest dorosłym mężczyzną.

- Ale Strażniczka pozostawiła panią po to, by pilnowała pani i ojca, i syna. A pani musiała dobrze wykonywać swoje zadania, skoro odkąd staruszka wyjechała z miasta, nie słyhać było nic

O żadnym skandalu. Jeszcze jeden grymas.

Drzwi otwarły się nagle i do pokoju wpadł mężczyzna.

- Willa, czy są jakieś wiadomości na temat... - Zobaczył mnie i urwał. Brwi wpełzły mu do połowy czoła - ten trik zresztą uczynił go sławnym. Według niektórych był to jego jedyny talent.

- A to kto, u diabła?

Znany był również ze swego chamstwa, choć akurat pośród ludzi z jego klasy była to cecha, której my, małuczcy, moglibyśmy się spodziewać.

IV

Przemówiła Willa Dount:

- Jeszcze nie. Spodziewam się, że nie skontaktują się z nami jeszcze przez jakiś czas.

Spojrzała na mnie tak, jakby miało to być pytanie.

- Chcą stworzyć nastrój niepokoju, zanim się do was zwrócą - wyjaśniłem. - Będziecie wtedy bardziej skłonni do współpracy.

- To jest pan Garrett - wtrąciła Willa. - Jest ekspertem w dziedzinie porywaczy i porwań.

- Na Boga, Willo! Czyś ty oszalała? Powiedzieli, że nie wolno nic nikomu mówić!

Udała, że nie słyszy jego wybuchu.

-Panie Garrett, oto małżonek Strażniczki, baronet daPena, ojciec ofiary.

Ależ się wściekł! Ale podskoczył! Domina Dount aż dwukrotnie zmieszała go z błotem, nie zmieniając przy tym ani tonu głosu, ani wyrazu twarzy. Po pierwsze, nazwała go małżonkiem (co czyniło z niego trutnia w ulu), po drugie, wspomniała o tytule baroneta (który nie był dziedziczny i stanowił jedynie symbol, jako że daPena był czwartym synem kadeta na dworze królewskim

Gdyby się uprzeć, można by dopatrzeć się jeszcze trzeciej, drobnej obelgi, ponieważ wieść gminna głosi, że Junior nie jest owocem z nasienia seniora.

- Jak się pan ma, milordzie? Zadał dobre pytanie, Domino. -Właśnie się nad tym zastanawiałem, kiedy wparował do pokoju. - Dlaczego mnie w to wplątywać, kiedy porywacze nie pozwolili się z nikim kontaktować? Człowieka z moją reputacją, po którego wysłała się pluton pajaców odzianych tak jaskrawo, że nawet ślepy by ich zauważył? Nie jestem przekonany, że porywacze nie dowiedzą się o tym.

- O to mi chodziło. Chciałam, żeby się dowiedzieli. -Willo!

- Karl, proszę o spokój. Wyjaśniam panu Garrettowi.

Pobladł jak ściana. Był naprawdę wściekły, bo dała mu do zrozumienia, kto tu rządzi i kto jest kim w obecności osoby spod Góry. Opanował się jednak, a ja udawałem durnia. Niezbyt mądrze jest zauważać takie rzeczy.

- Chciałam, żeby wiedzieli o panu, panie Garrett - wyjaśniła Willa Dount.

- Dlaczego?

- Dla bezpieczeństwa młodego Karla. Żeby zwiększyć jego szansę ujęcia z życiem z opresji. Czy nie uważa pan, że wiedząc o panu, nie będą tak skorzy, aby go skrzywdzić?

- Jeśli to zawodowcy. Zawodowcy znają mnie dobrze. Jeśli to amatorzy, szansę są połowiczne. Może pospieszyła się pani.

- Czas pokaże. Wydawało mi się, że tak będzie dobrze.

- A co właściwie chce pani mi zlecić? -Nic.

Zgłupiałem nieco.

- Jak to?

- Zrobił pan to, co należy. Widziano pana w drodze tutaj i wiedzą, że spotkał się pan ze mną. Wypożyczyłam sobie pana reputację. Mam nadzieję, że to zwiększy szansę Karla.

-I to wszystko?

- I to wszystko, panie Garrett. Czy nie uważa pan, że sto marek jest odpowiednią rekompensatą za wypożyczenie sobie pańskiej reputacji?

Właściwie nie miałem nic przeciwko temu, ale udałem, że nie słyszę.

- A co z okupem? - Z reguły chcą, żebym to za nich załatwił.

- Wydaje mi się, że sarna sobie poradzę. Przecież chodzi głównie o to, żeby stosować się do instrukcji, prawda?

- Właśnie. Podczas płacenia okupu są najbardziej nerwowi. Wtedy trzeba zachować największą ostrożność, i to zarówno dla pani własnego bezpieczeństwa, jak i dla bezpieczeństwa chłopca.

Senior prychał, parskął i przestępował z nogi na nogę, usiłując się wtrącić. Willa Dount mitygowała go od czasu do czasu spojrzeniem lodowatych oczu.

Ciekawe, co Strażniczka zostawiła jej w charakterze cugli i bata, bo jedno było pewne - stary Karl był doskonale ujeżdżony.

Karl senior był jeszcze dość przystojnym mężczyzną, choć już dobrze po czterdzieście -jeśli po cichu nie przekroczył pięćdziesiątki. Czas obdarzył go kilku zmarszczkami, ale oszczędził mu dodatkowych funtów ciała. Włosy miał na miejscu, kręcone i lśniaco czarne. Poza tym był jak na mój gust nieco za niski, ale to nie odbierało mu klasy. Wyglądał na sybarytę, a plotka głosiła, że najlepiej pracował nocą.

Wiek chyba go nie spowolnił. W wyniku sprawnej współpracy wyglądu, obrotnego języka, kotylionowego tytułu, magicznych brwi i pełnych uczucia, wielkich niebieskich oczu na jego kolanach lądowały smakowite kąski w takim gatunku, o jaki my, zwykli śmiertelnicy, musimy zabiegać i walczyć w pocie czoła, a i tak później zwykle wolno nam tylko sobie popatrzeć..

Na pewno jednak był do niczego w każdej trudniejszej sytuacji. Tańczył i skręcał się jak zdesperowany dzieciak, oczekujący na swoją kolejkę w ubikacji. Gdyby Domina Dount

mu na to pozwoliła, już dawno dałby się ponieść panice. Był członkiem rodu królewskiego, tej stanowczej i zdecydowanej rodziny, która uszczęśliwiła ludność karentyńską wojną z Venageti.

Karl Junior, bękart czy nie, był jabłkiem, które niedaleko spadło od jabłoni. Zarówno z wyglądu, jak i z charakteru, był żywym odbiciem Karla Seniora, a do potencjalnego zagrożenia dla wszelkiej cnoty niewieściej dodawał jeszcze hojną porcję arogancji, wynikającej z faktu, że jest synalkiem Strażniczki, jej skarbem i jedynakiem, a co za tym idzie, nigdy nie będzie musiał odpowiadać za swoje złe uczynki.

Seniorowi nie spodobała się moja obecność. Może mnie nie polubił. Jeśli tak było, to z wzajemnością. Orzę tyłkiem od najwcześniejszego dzieciństwa i nie cierpię trutki wszelkiego gatunku, a zwłaszcza tych z Góry. Ich chroniczny brak zajęcia sprawił, że całe pokolenie musiało przenieść się na wschód, aby walczyć w Kantardzie o kopalnię srebra.

Może Glory Mooncalled, kiedy już załatwi wojennych lordów Venageti, zajmie się swoimi karentyńskimi pracodawcami. To by wcale nie zaszkodziło.

- Jeśli to już wszystko, co ma mi pani do powiedzenia, to ja już sobie pójdę - oznajmiłem. - Życzę szczęścia przy odzyskaniu chłopca.

Z wyrazu jej twarzy odczytałem, że powątpiewa w moją szczerość.

- Trafi pan na zewnątrz?

- Nauczyłem się tropić, kiedy byłem w Marines.

- A zatem życzę miłego dnia, panie Garrett.

Zaledwie przymknąłem drzwi, Karl Senior eksplodował. To były naprawdę dobre drzwi. Nie mogłem odcyfrować jego wrzasków nawet wtedy, gdy przyłożyłem do nich ucho. W każdym razie świetnie się bawił, wyładowując swoją panikę i frustrację.

V

Amiranda dogoniła mnie tuż przed bramą. Zacerpnałem tchu i nieco przygryzłem sobie język, żeby zachować pozory dobrego wychowania. Przebrała się już z tych frymuśnych szatek, w których przyszła po mnie, a teraz, w codziennym stroju, wyglądała jak wcielenie moich najbardziej wyuzdanych marzeń nocnych.

Była śliczna, ale i zatroskana. Powiedziałem sobie, że nie ma czasu na żadną z moich zwyczajowych procedur.

Morley Dotes, mój współnik od czasu do czasu, powiada, że jestem pies na uciśnione dziewice. Opowiada zresztą o mnie mnóstwo różnych rzeczy, większość z nich jest zresztą niemila i złośliwa, ale co do dziewic, ma absolutną rację. Zaledwie ładna pannica zacznie toczyć łyż, a już Garrett zmienia się w rycerza gotowego do rozprawy ze smokiem.

- Co powiedziała, panie Garrett? Co kazała panu zrobić?

- Powiedziała mnóstwo i o niczym. I dokładnie tego ode mnie chciała, to znaczy niczego.

- Nie rozumiem. - Czy mi się wydawało, czy wyglądała na rozczarowaną? Trudno powiedzieć.

- Ja też nie jestem pewien, że rozumiem. Chciała chyba, aby porywacze zobaczyli, że się tu kręcę. Żeby Junior w cieniu mojej reputacji miał większe szansę.

- Aha. Może ma rację. - Chyba odetchnęła z ulgą. Ciekaw byłem, co chowa w zanadru. Miałem pewne podejrzenie, które wcale mi się nie podobało. - Więc uważa pan, że wszystko będzie dobrze, panie Garrett?

- Nie wiem. Ale Domina Dount to niezwykła kobieta. Nie chciałbym, żeby mi deptała po piętach.

Czarnowłosa lalunia, późna nasto- lub wczesna dwudziestolatka wyszła z bramy jakieś dziesięć metrów przede mną, zobaczyła nas, obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem, zakończonym powłóczystym akcentem "bierz mnie" i podkreślonym odpowiednim do sytuacji uśmiechem, po czym odeszła, kołysząc odwłokiem tak, że uciszyłaby tym nawet tumult bitewny.

- Kto to taki? - zapytałem.

- Nie musisz się tak podniecać, Garrett. Strata czasu. Nie odważyłbyś się tknąć jej nawet w najskrytszych marzeniach. To córka Strażniczki, Amber.

- Rozumiem. Taaak. Hmm... Amiranda zastąpiła mi drogę.

- Pozbieraj swoje gały z podłogi, mój panie. Namiętnie prosiłeś mnie, żebym spotkała się z tobą na neutralnym gruncie. No więc dobrze. Dziś o ósmej. Czekam w Żelaznym Kłamcy.

- Żelazny Kłamca? Nie jestem z Góry. Jak będzie mnie stać...? - Musiałem zapomnieć o tej wymówce. To ten sam klejnocik, który kilka godzin temu odliczył do mojej własnej łapy sto marek w zlocie. - Dobrze, niech będzie o ósmej. Resztę dnia spędzę jak na rozżarzonych węglach.

Uśmiechnąłem się słodko i ruszyłem w głąb ulicy.

Schodziłem z Góry, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie słyszałem o tym, że Strażniczka ma córkę Amber, skoro jej rodzina odgrywa tak wielką rolę w plotkarskim życiu TunFaire. Zdaje się, że przegapiliśmy to i owo.

VI

Od strony pokoju Truposza dochodziły dziwne odgłosy. Wszedłem do kuchni, gdzie stary Dean piekł kielbaski na węglach, jednym okiem nadzorując szarlotkę, niemal gotową do wyjęcia z pieca. Na mój widok zaczął wyciągać kubel z zimnej studni, którą kazałem zbudować za honorarium ze sprawy Starke'a. Dzięki temu mogłem mieć chłodny napitek za każdym razem, gdy miałem na to ochotę i forszę.

- Miał pan dobry dzień, panie Garrett? - zapytał Dean, nalewając mi pełny kufel.

- Interesujący - przechyliłem głowę w tył i wlałem w siebie z pół litra. -I korzystny. Co on tam robi? Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby tak rozrabiał.

- Nie wiem, panie Garrett. Nie wpuścił mnie nawet, żeby posprzątać.

- Zobaczymy, ale najpierw nafaszeruję się jeszcze kropelką -zezowałem na kielbaski i szarlotkę. Jeśli spodziewał się, że zjem aż tyle, to był optymistą. - Znowu zapraszasz siostrzenicę?

Poczerwieniał. Pokręciłem tylko głową.

- Muszę wyjść wieczorem. Część zadania.

Po obu stronach w jego rodzinie było co nieco trollowej krwi. Nie mam szczególnych uprzedzeń rasowych - w końcu kto się włóczy z dziewczyną, która jest półkrwi wróżką? - ale te biedactwa otrzymały od swoich rodziców podwójną dawkę trollowej brzydoty. Piękny jest ten, kto pięknie czyni, powiadają, ale na ich widok psy zaczynają wyć, a konie rzeć. Wolałbym, żeby stary Dean przestał zabawiać się w swatkę. Już straciłem nadzieję, że panny do wzięcia z jego rodziny kiedykolwiek przestaną przede mną paradować.

W trzy kielbaski, dwie porcje najlepszej na świecie szarlotki i kilka piw później byłem gotów, aby wejść w paszczę Loghyra. Teoretycznie, oczywiście.

- Boskie zarcie, Dean, jak zwykle. Idę do niego. Jeśli nie wyjdę przed weekendem, przyślij mi na pomoc Saucerheada Tharpe'a. Ma czaszkę tak grubą, że nigdy się nie dowie, co myśli o nim Kupa Gnatów.

Już miałem zaproponować Saucerheada jednej z pańienek Deana. Ale nie. Nie mogłem. Lubię Saucerheada.

Truposz wyczuł, że idę.

Wynoś się stąd, Garrett!

Wszedłem.

W Kantardzie na ścianie znowu wrzała wojna, ale tym razem jej bóg przeprowadził

zaciąg wśród hord robactwa. Dźwięk, który słyszałem, pochodził od ich wstrętnych, lepkich łapek i chitynowych pancerzy.

- Złapałeś go?

Zignorował mnie kompletnie.

- Ten Glory Mooncalled to kawał sprytnego sukinsyna, co? -Ciekaw byłem, czy zamierza wybić do nogi całą robakowatą populację TunFaire. Trzeba będzie coś wymyślić, żeby nam zapłacili za taką usługę.

Ignorował mnie. Robale krzątały się jak najęte. Usiadłem zatem w jedynym fotelu, postawionym tam wyłącznie na mój użytek i przez chwilę obserwowałem kampanię. Nie odtwarzał jej, lecz eksperymentował. Nie rozpoznawałem tego układu.

Może po prostu wydał wojnę samemu sobie. Loghyr, jeśli chce, potrafi podzielić swój mózg na dwie lub trzy niezależne części.

- Miałem dziś ciekawy dzień.

Nie odpowiedział. Chciał ukarać moją impertynencję, udając, że nie istnieję. Ale słuchał uważnie, bo jedyne przygody, jakie przeżywał naprawdę, znajdowały się w moich opowieściach.

Przekazałem mu wszystkie szczegóły, nawet te najdrobniejsze i najmniej ważne. Może kiedyś będę musiał odwołać się do jego geniuszu.

Skończyłem i przez chwilę obserwowałem, jak bawi się w generała. Miałem wrażenie, że jest w tym jakaś metoda, ale widocznie byłem za tępy, żeby ją zrozumieć.

Zbliżał się czas spotkania z Amirandą. Wyłuskałem się z fotela i skierowałem ku drzwiom.

- No to do zobaczenia następnym razem, Kościasty. *Garrett, jeśli będziesz miał szczęście, nie sprowadzaj mi jej tutaj. Nie będę tolerował w moim domu takich bezeceństw.*

I tak rzadko to robiłem, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie chciałem natrząsać się z jego ułomności.

W ciągu życia Loghyrowie są jurni jak stado siedemnastolatków. Mam wrażenie, że jego obecna niechęć do pań stanowi pewną rekompensatę.

Byłem już niemal za drzwiami, kiedy znów się odezwał:

Garrett, bądź ostrożny.

Zawsze jestem ostrożny. Zawsze. Uważam pilnie i wiem, kiedy muszę się czegoś strzec. Ale w co można się wpackować, jeśli idzie się tylko dwa domy dalej, kupić jakieś pachnidło w drogerii?

VII

Kiedy znalazłem się “Pod żelaznym Kłamcą”, Amiranda czekała już i wyglądała raczej na zakłopotaną. Nie spóźniłem się, to ona przyszła wcześniej. Z mojego doświadczenia wynika, że punktualna kobieta to skarb, który należy hołubić, ale nie skomentowałem tego na głos.

- Co się z panem działo? - zapytała. - Wygląda pan jak po stoczonych bitwie.

- Pierwsze laury dla damy. Powinnaś była widzieć tamtych facetów.

Wydawała się podniecona na myśl, że walczyłem. Punkt na niekorzyść Amirandy. Sprzedałem jej tę historyjkę tylko po to, by ujrzeć jej reakcję.

Chyba się wystraszyła i trochę speszyła, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Dlaczego porywacze mieliby to robić?

- Nie wiem. To się nie trzyma kupy.

Przeszedłem do bardziej interesujących tematów, to znaczy do Amirandy Crest.

- Jak się spiknęłaś ze Strażniczką Burzy?

- W tym celu się urodziłam.

- Co takiego?

- Mój ojciec był przyjacielem jej ojca. Nieraz pracowali razem. Mój mózg musi czasem wykonać kilka obrotów na jałowym biegu, zanim zdołam coś wykrztusić. Ojciec Strażniczki zmarł na długo przed moim urodzeniem. Lud wrózek jest długowieczny i starzeje się powoli. Czyżby ten kasek miał dość latek, aby być moją mamusią?

- Mam dwadzieścia jeden lat, Garrett. Potraktowałem ją słynnym garretowskim uniesieniem brwi.

- Dość już w życiu spotkałam tych szklistych spojrzeń, kiedy to ludzki samiec nagle dochodzi do wniosku, że być może jestem starsza, mądrzejsza i bardziej doświadczona od niego. Nieraz reaguje przerażeniem i paniką.

Przeprosiłem za to, za co czułem się winien, i stwierdziłem:

- Wyciągasz zbyt wiele wniosków. Sądzę, że reakcje, z jakimi się spotykasz, nie mają nic wspólnego z twoim wiekiem. Jesteś córką Molahlu Cresta. On nie żyje, ale jego sława przetrwała i przyłgnęła do ciebie jak zgniły całun. Ludzie zastanawiają się, czy draństwo jest dziedziczne.

- Wielu ludzi nigdy nie słyszało o Molahlu Crest.

Nie odpowiedziałem. Jeśli chciała w to wierzyć - a nie wierzyła - proszę bardzo. Może

to jej sposób na pogodzenie się z obciążeniem rodzinnym.

Ojciec Strażniczki (który przyjął nazwisko STYX Sabbath) wraz z Molahlu Crestem zębami i pazurami utorowali sobie drogę na Wzgórze od samego dołu. Pierwszy wygrywał talentem czarownika, drugi brakiem skrupułów i sumienia. Ich droga do samego centrum kół rządzących była wybrukowana trupami. Brali, niszczyli, zabijali i można było o nich powiedzieć tylko jedną dobrą rzecz: pozostali przyjaciółmi od początku do końca. Ani chciwość, ani żądza władzy nigdy nie stały się między nimi.

A to już coś. Na ilu z naszych przyjaciół możemy liczyć naprawdę i w każdej sytuacji?

Powiadają, że Molahlu Crest sam także miał pewne zdolności magiczne, co sprawiało, że był podwójnie niebezpieczny. Za dawnych czasów każda dusza w TunFaire drżała na dźwięk jego imienia, od najpotężniejszych i najbogatszych po żebraków z nabrzeża. Nikt nigdy nie dowiedział się, co właściwie stało się z Molahlu Crestem, ale ogólna opinia głosi, że Strażniczka Raver Styx po prostu się go pozbyła.

Ciekaw byłem, czy Amiranda zna inną wersję. Po pewnym czasie spędzonym w moim fachu ciekawość zawodowa zamienia się w osobistą, a wtedy musisz uważać, żeby nie wtykać nosa wszędzie, gdzie trzeba i nie trzeba, bo mogą ci go przefasonować i w nagrodę za swe starania staniesz się wieczystym właścicielem pięknego okazu kalafiora pośrodku twarzy.

Zaczęliśmy rozmawiać o tym i o owym i Amiranda wreszcie odprężyła się nieco. Szarpnąłem się i zamówiłem do posiłku Złoto TunFaire. Poskutkowało.

Może to cyniczne, ale jeszcze nie spotkałem kobiety, która nie zmiękłaby na widok butelki Złota. Sława tego trunku sięga tak daleko, że jeśli je postawisz, każda z nich czuje się jak dama.

Lubię Złoto, bardziej, niż jakiegokolwiek inne wino, ale i tak uważam, że to zepsuty sok winogronowy o winnym smaku. Jestem urodzonym piwoszem. Nawet nie udaję, że rozumiem snobów zalewających się winem. Dla mnie nawet najlepsze wino jest zwykłą lurą.

Kiedy atmosfera nieco się poprawiła, zagadnąłem:

- Czy porywacze dali już znak życia?

- Nie przed moim wyjściem. Domina chyba powiadomiłaby nas o tym. Dlaczego czekają tak długo?

- Żeby wszyscy stracili nerwy i zaczęli robić wszystko, co im się każe, byle tylko dostać Juniora z powrotem. Opowiedz mi o nim. Czy naprawdę jest taki, jak opowiadają?

Jej twarz przybrała czujny wyraz.

- Nie wiem, co opowiadają. Ma na imię Karl, a nie Junior. Próbowałem ją podejść to

z tej, to z drugiej strony. Na próżno. -Garrett, dlaczego zadajesz tyle pytań? Chyba zrobiłeś już to, za co ci zapłacili?

- Jasne. To tylko ciekawość. Choroba zawodowa. Nie chcę być natrętny.

Intrygowała mnie. Kobieta z problemami, zamknięta w sobie. W zasadzie nie mój typ, ale interesowała mnie jako typ. Ciekawe. Posiłek dobiegł końca.

- Co teraz? - zapytała. - Mroczne zakusy?

- Ja? Nigdy w życiu. Jestem z tych dobrych facetów. Znam kogoś, kto prowadzi knajpę, która mogłaby ci się spodobać, skoro lubisz włóczyć się po mrocznych zakamarkach. Chcesz spróbować szczęścia?

- Wszystko, byle nie wracać do tego...

Starła się być przyjemną towarzyszką i dobrze się bawić, ale musiała nad tym popracować. Dzięki niebiosom za Złoto TunFaire, wspomagające mój naturalny urok osobisty!

U Morleya wrzało -jak zwykle zresztą. Roiło się od karłów, trolli, elfów, goblinów, skrzatów, rusałek i czego tam jeszcze, nie licząc ciekawych egzemplarzy powstałych z krzyżówek różnych ras. Chłopaki obrzucali Amirandę wzrokiem pełnym uznania, a na mnie patrzyli z równie wyraźnym niesmakiem. Przebaczyłem im. Ja także byłbym skwaszony i ponury, gdybym spędzał wieczór w lokalu, gdzie podają wyłącznie bezalkoholowe drinki, a jedzenie zawiera wyłącznie króliczą paszę.

Podszedłem wprost do baru, gdzie byłem znany i gdzie tolerowano moją obecność.

- Gdzie Morley? - zapytałem barmana. Pokazał mi ruchem głowy.

Wszedłem na górę. Amiranda za mną, znów czujna i napięta. Walnąłem pięścią w drzwi Morleya, który zawołał mnie natychmiast. Wiedział, że to ja, bo z baru na górę prowadziła rura akustyczna.

Weszliśmy.

Morley - wyjątkowo - nie miał akurat w pokoju cudzej żony. Wydawał się zatroskany, ale na widok Amirandy jego paciorkowate oczka zabłyśły.

- Spokojnie, mały. Ona jest zajęta. Amirando, to Morley Dotes. Ma trzy żony i dziewięcioro dzieci, wszystkie zamknięte na oddziale dla psychicznych w Bledsoe. Jest właścicielem tego bajzlu i nieraz zachowuje się tak, jakby był moim przyjacielem.

Dla tych, którzy znają tajemnice półświatka miasta, Morley Dotes jest czymś znacznie więcej - jego najlepszym specjalistą od spraw cielesnych. Oznacza to, że za odpowiednią opłatą łamie ręce i karki, choć woli kobiece serca. To akurat łamie za darmo. Morley jest pół człowiekiem, pół czarnym elfem, o naturalnej dla tego ostatniego delikatnej budowie ciała i

urodzie. Nie nazwałbym go serdecznym przyjacielem, na to jest o wiele za niebezpieczny. Pracował kilka razy ze mną lub dla mnie.

- Nie wierz w ani jedno słowo z tego, co ci opowiada ten łobuz - odparł Morley. - Nie powiedziałby prawdy, choćby mu za to dopłacali, a do tego jest wyjątkowo niebezpiecznym psycholem. Nie dalej jak dziś po południu ubił na puch paczkę wilkołaków, którzy spokojnie wałęsali się po ulicy, kopiąc swoją trawkę.

- Już o tym słyszałeś?

- Nowiny rozchodzą się szybko, Garrett.

- Wiesz coś na ten temat?

- Domyślałem się, że gdzieś się tu będziesz kręcił. Zadałem kilka pytań. Nie wiem, kto ich wynajął, ale ich znam. To patałachy, za leniwe i za głupie, żeby dobrze wykonać zadanie. Teraz musisz mieć oczy na tyłku. Pokiereszowałeś ich nieco, a oni mogą nie uważać tego za ryzyko zawodowe.

- Mam oczy, gdzie trzeba. Możesz mi oddać przysługę i sprawdzić, kim jest ten facet, który nas śledzi, ale dopiero, kiedy sobie pójdziemy.

- Ktoś nas śledzi? - zaskrzeczała Amiranda. Była wyraźnie przestraszona.

- Szedł za nami od "Żelaznego Kłamcy". Wcześniej nigdy go nie widziałem. Może tam nas wypatrzył, ale coś mi się zdaje, że to ty go przywlokłeś.

Pobladła jak trup.

- Daj jej krzesło, głupku - syknął Morley. - Masz maniery i wrażliwość jaszczura.

Posadziłem ją w fotelu, obdarzając Morleya ponurym spojrzeniem. Zgrywał się, kretyn, zarabiał punkty na później, kiedy się rozstaniemy z Amiranda. Miałem coraz silniejsze wrażenie, że była tego warta. Intuicja podpowiadała mi, że to babka z klasą.

- W co się tym razem wpakowałeś, Garrett? - Morley wycofał się do swojego fotela i powrócił z flaszką brandy, którą wyczarował spod biurka. Podniósł ją pytającym gestem. Skinąłem głową. Wyjął jeden kieliszek. Wie, że wolę piwo, a sam nie tyka alkoholu. Byłem trochę zdziwiony, że ma tu w ogóle coś takiego. Podejrzywałem, że trzyma to dla swoich dam.

Wziąłem od niego kieliszek i podałem Amirandzie. Pociągnęła niewielki łyk.

-Przepraszam, zachowuję się głupio. Powinam była wiedzieć, że to nie takie proste jak...

Wymieniliśmy spojrzenia z Morleyem, udając, że nie słyszeliśmy.

- Czy to sekret? - zapytał Morley.

- Nie wiem. Amirando, czy to sekret? Może warto byłoby mu powiedzieć. Jeśli nie

chcesz, nikt więcej się o tym nie dowie, a on mógłby nam wiele pomóc, tu z dołu.

Uniosłem pięść, widząc, że Morley skrzywił się groźnie i w duchu wyłajałem się porządnie za wyszukany dobór słów.

Amiranda pozbierała się do kupy. To nie była dziewczyna z oczami na mokrym miejscu. Spodobało mi się to. W ogóle coraz bardziej mi się podobała. Uciśnione dziewice to fajna i rentowna rzecz, ale miałem już dość tych pochlipywań i jęków. Co innego babeczka, która stoi murem przy tobie i sama walczy w sprawie, w którą cię wplątała.

Wprawdzie w tym przypadku nie było żadnej sprawy. Ściśle mówiąc, pożarłem się z kimś, kto później nasłał bandę wilkołaków, żeby mnie ubili na steki.

Amiranda podumała chwilę i podjęła decyzję. Opowiedziała o porwaniu.

Zrobiła to tak dobrze, że zgłupiałem. Powiedziała Morleyowi dokładnie to samo, co wiedziałem, i ani krzty więcej.

- To nie robota zawodowca - stwierdził Morley. - A może wplątałeś się w coś politycznego, co, Garrett?

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała, wyraźnie zaskoczona.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, to nie sezon porywaczy, a po drugie, żaden zawodowiec nie podniósłby małego palca na tą rodzinę. Raver Styx może nie wygląda na takie wredne ścierwo jak jej ojciec i Molahlu Crest, ale dorównuje im w każdym calu na swój cichy sposób. Nikt z podziemia TunFaire nie podjąłby się tej roboty za żadną cenę.

- Amatorzy - mruknąłem.

- Amatorzy, którzy mieli dość forsy, żeby wynająć zabijaków i kapusiów, Garrett. A to oznacza górną część miasta. A kiedy Góra macza łapy w brudnej robocie, to zawsze ma polityczne reperkusje.

- Może. Nie jestem tego pewien. Nie pasuje mi to. Muszę chwilę pomyśleć, zanim się zdecyduję. Coś mi tu śmierdzi w tej całej aferze. Nie mam pojęcia, gdzie tu jest jakikolwiek zysk. To by wiele wyjaśniło. No, ale nie jestem w pracy i na tropie. Chcę tylko ująć cało i ochronić Amirandę.

- Powęszę po szafach, pozaglądam pod łóżka i jutro zjawię się u ciebie - zaproponował Morley. - Przynajmniej tyle mogę zrobić po tym fikołku z wampirami. Wciąż mieszkasz z Truposzem?

- Aha.

- Dziwak z ciebie. Muszę wracać do pracy. - Chwyć koniec rury wiodącej do baru. - Wedge? Przyślij tu Alana, Sarge'a i Puddle'a.

Pociągnąłem Amirandę w stronę drzwi.

- No to cześć.

Wyszliśmy na schody, przeciskając się koło trójki wysokiej klasy łamignatów, którzy szli na górę. "Wysokiej klasy" to znaczy, że wyglądali na nieco bardziej inteligentnych, niż jest to wymagane przy rozłupywaniu czaszek.

W czasie, kiedy byliśmy na górze, w knajpie pojawił się mój stary kumpel Saucerhead Tharpe. Zapraszał mnie, abym wypił z nim szklaneczkę krwi z marchwi i powspominał nieco stare czasy, ale się wykręciłem. Jeśli Morley ma nam pomóc, musimy się ruszać.

- Jeślibyś kiedyś uznała, że potrzebna ci ochrona, wal do Saucerheada Tharpe - mruknąłem do Amirandy. - Jest najlepszy.

- A ten drugi, Morley? Ufasz mu?

- Powierzyłbym mu całe życie i wszystkie pieniądze, ale nie kobietę. Robi się późno. Lepiej odprowadzę cię do domu.

- Nie mam ochoty iść do domu, Garrett. Chyba że nalegasz.

- Dobra. - Lubię kobiety, które potrafią się zdecydować, nawet, jeśli tej decyzji nie rozumiem.

Truposz dostanie konwulsji. No i dobrze mu tak. Wierzcie mi, to całkiem wykonalne.

Był to pod każdym względem mój szczęśliwy dzień. Poczulem smrodek tytoniu i to mnie zaciekało. Niewielu z moich sąsiadów pali to świństwo, a obłoczek, który spostrzegłem, przypominał raczej burzową chmurę. Zacząłem szukać jej źródła.

Źródło składało się z piątki kundli z dużą ilością wilkołaczej krwi. Wilkołaki w najlepszych czasach nie bywają szybkie, a ci tutaj najwyraźniej spędzili młodość wyłącznie na nabywaniu centymetrów, tak, że ich spiczaste głowy sięgały teraz samego nieba. Imię ich grzechów zawodowych było: legion, nie mówiąc już o tym, że po prostu nie przyłożyli się do zadania.

- Nazywasz się Garrett? - zapytał jeden z nich.

- Kto chce wiedzieć? -Ja.

- To on. Załatwmy sprawę. Zrobiłem to pierwszy.

Kopnąłem najbliższego w jego rodowe klejnoty, okręciłem się i pchnąłem drugiego w krtań, po czym potknąłem się o własne cholerne łapy. Pierwszy facet złożył się wpół i zaczął wywracać się na lewo. Drugi stracił entuzjazm i odkulał na bok, trzymając się za gardło i walcząc o oddech.

Przetoczyłem się i podciąłem nogi kolejnemu. Zaskoczyłem go tak bardzo, że upadł na plecy, nawet nie próbując się podeprzeć. Rąbnął łbem w bruk. Koniec, kropka.

Dobry początek. Zacząłem mieć nadzieję na wyjście z tego bez dodatkowych obrażeń.

Pozostali dwaj stali obok, usiłując rozplatać zamotane zwoje mózgowie. Ja tymczasem uzupełniłem brakujące ciosy w odniesieniu do tych, których już pobiłem. Wokół nas zaczął zbierać się tłum.

Moja dwójka stwierdziła nagle, że musi wykonać zadanie. Zbliżyli się. Teraz zachowywali się nieco ostrożniej. Byłem szybszy, ale oni skorzystali z tego, że mieli więcej rąk i nóg do zadawania ciosów. Przez chwilę tańcowaliśmy w miejscu. Zadałem kilka solidnych prostych, ale trudno uszkodzić takich przeciwników, jeśli nie jesteś w stanie uderzyć raz, a dobrze. Sam też co nieco oberwałem.

Trzecie uderzenie zmiażdżyło mój optymizm. Nagie zacząłem widzieć podwójnie, a mój wysublimowany intelekt zajął się wyszukiwaniem odpowiedzi na pytanie stare jak świat: gdzie góra, gdzie dół?

Jeden z nich zaczął przebąkiwać coś o tym, żebym trzymał się z dala od rodziny Strażniczki, a drugi tymczasem zamierzył się, żeby mnie dokończyć. Wyrwałem wielką, sękatą laskę od jakiegoś podstarzałego gapia i walnąłem napastnika między oczy, zanim zdążył się ruszyć. Kiedy bojowy chłoptys oglądał gwiazdy i piastował obwisłe ramię, zająłem się mówcą. Kłapaty bronił się długo i skutecznie, póki jednym dobrym ciosem nie złamałem mu ramienia.

Chyba miał dość. Ja też. Gapie zaczęli się rozchodzić. Oddałem staruszkowi laskę i sam się także rozszedłem. Zbliżali się bowiem ci, którzy w TunFaire grali rolę stróżów prawa i porządku publicznego. Nie miałem ochoty być aresztowany i oskarżony o popełnienie aktu samoobrony, a właśnie w ten sposób działało tutaj prawo, kiedy w ogóle raczyło działać. Pozostawiłem chłopaczków-wilkołaczków na placu boju, niech się tłumaczą.

Naprawdę szczęśliwy dzień.

Truposz z entuzjazmem powitał moją relację z wypadku. Obdarzył mnie wprawdzie swoim typowym myślowym burczeniem, ubolewając nad niekompetencją wilkołaków, ale kiedy wstałem, żeby się umyć i przebrać, usłyszałem:

Mówiłem ci, żebyś uważał.

- Wiem. Będę o tym pamiętał jeszcze lepiej. Uważaj na karaluchy. Zaraz otoczą rybiki na Płaskowyżu Żółtego Psa.

Odwrócił część uwagi od prowadzonej przez siebie wojny i użył jej, aby podnieść i rzucić we mnie małą kamienną figurką kultową Loghyrów. Uderzyła w przeciwną stronę drzwi, gdy je zamykałem.

Postanowiłem dać mu spokój. Kiedy staje się taki nerwowy, zwykle bliski jest rozwiązania jakiegoś problemu nurtującego go od dłuższego czasu.

VIII

Morley wpadł do mnie osobiście, aby opowiedzieć, co wywęszył. Stary Dean wpuścił go i przyprowadził do klitki, którą szumnie nazywam biurem. Nie wstałem, nie poczęstowałem go też zwyczajowym dowcipem. Dean wyszedł do kuchni po sok jabłkowy, który hołubię w zimnej studni na te rzadkie okazje, kiedy to raz na tysiąclecie nie mam ochoty na piwo.

- Ponuro wyglądasz, Garrett.

- Zdarza się. Wieczny wyszczerz niesie ze sobą niejakie napięcie.

- Masz pewnie powody. Może nawet sam jeszcze o nich nie wiesz.

Uczęstowałem go moim słynnym zafalowaniem brwi. Nie wywarło to na nim większego wrażenia. Powszechnie wiadomo, czym się kończy spoufalanie.

- Wysłałem wączaczy, którzy sprawdzili wszystkich w biznesie. Nikt nie przeszedł do podziemia. Nikt nie dostał zadania z Góry. Mam osobistą gwarancję od tych najlepszych i najgorszych, że nie ma nikogo dość szalonego, aby porwać się na bachora Strażniczki. Nawet za milion w złocie. Złoto nic nie pomoże, kiedy przypiekają ci pięty w lochu czarownika.

- I to właśnie miałyby zepsuć mi humor?

- Nie. Szczęka opadnie ci dopiero, kiedy opowiem ci o facecie, który śledził was wczoraj wieczorem. A właściwie nie was, tylko twoją damę. Powinieneś być powiedzieć mi, że to Amiranda Crest. Nie wygadywałbym niepotrzebnych rzeczy o jej ojcu.

- Jest do tego przyzwyczajona. Co z cieniem?

- Podreptał tu wprost za wami. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jego także ktoś może śledzić. Dupek. Pałętał się w pobliżu przez kilka godzin, czekając, aż wyjdziecie. Po jakimś czasie, kiedy nawet największy dureń domyśliłby się, że dziewczyna zostaje na noc, poszedł sobie do...

Dean wetknął głowę przez drzwi.

- Przepraszam, panie Garrett. Przyszedł pan Slauce, w imieniu kogoś, kto nazywa się Domina Dount. Czy przyjmie go pan?

- Mogę poczekać - oznajmił Morley.

- Za tymi drzwiami. - Pokazałem drugie wyjście z klitki, wychodzące na korytarz prowadzący do pokoju Truposza. - Dean, przyprowadź pana Slauce'a.

Slauce okazał się pryszczatym, brzuchatym i czerwonym na gębie człowieczkiem, który wyraźnie czuł się całkiem nie w swoim sosie. Chyba zakwalifikował mnie wstępnie jako zawodowego mordercę. Bardzo starał się, żeby być grzecznym, ale widać było, że nie jest do tego przyzwyczajony.

- Pan Garrett?

Wyznałem, że w istocie to ja we własnej osobie.

- Domina Dount życzy sobie znowu spotkać się z panem. Kazała powiadomić pana, że otrzymała kolejny list od swojego korespondenta i chciałaby uzyskać profesjonalną poradę. Sądzę, że rozumie pan, o czym mowa. Mnie tego nie wyjaśniła.

- Wiem, znam sprawę.

- Upoważniła mnie, żebym zaoferował panu dziesięć marek w złocie za fatygę.

Ciekaw byłem, o co jej naprawdę chodzi. Szastała pieniędzmi na prawo i lewo. Robotnik, któremu płaciliby za jego czas, nie zarobiłby dziesięciu złotych marek za trzy miesiące, albo i więcej.

A złoto stało wysoko, ponieważ Glory Mooncalled swoimi zwycięstwami w Kantardzie sprawił, iż wiele kopalni srebra przeszło w ręce karentyńczyków, co oznaczało przeniesienie produkcji na północ.

Być może Willa Dount chciała coś pokręcić w sprawie Amirandy. Za dziesięć marek gotów byłem wziąć wszystko, co ma do zaoferowania. Niekończące się remonty i naprawy naszej rudery to studnia bez dna.

- Powiedz strażnikowi w bramie, że już idę. Załatwię tylko parę drobnych spraw i zjem lunch.

Czerwona gęba Slauce'a poczerwieniała jeszcze bardziej. Ależ jestem bezczelny. Kiedy Góra mówi: skacz, powinienem skakać jak żaba. Miał wyraźną ochotę dać mi w mordę, ale otrzymał chyba inne instrukcje i musiał się ich trzymać.

- Doskonale. Jestem pewien, że doceni to, że zjawi się pan najszybciej, jak jest to możliwe. Wydawała się nieco roztargniona.

Wyliczył mi na biurko pięć złotych dwumarkówek.

- Zjawię się nie dalej, niż za pół godziny. Dean! Odprowadź pana Slauce'a do wyjścia.

Lubię wiedzieć, że moi goście rzeczywiście wychodzą, kiedy zbierają się do odejścia. Niektórzy czynią to tak powoli, że zdają się zapominać, po której stronie drzwi powinni się znaleźć po ich zamknięciu.

Morley wrócił do pokoju.

- Sprawdź lepiej zębami, czy te cacka są prawdziwe, Garrett. Ktoś tu w coś pogrywa.

- Jak to?

- To był właśnie ten facet, który śledził wczoraj twoją panią.

- Serio? W ciemności wydawał się wyższy.

- Może nosił koturny. Chyba już czas, żebyś pomyślał, jak się z tego wyplątać.

- Jeszcze się nie wplątałem.

- Znam cię, Garrett. Jeśli teraz nie zwiejesz, wleziesz w to po uszy. Morley z reguły nie jest zbyt dobrym prorokiem. Udałem, że nie słyszę, podziękowałem mu i obiecałem, że ta usługa znacznie zmniejszy jego dług wdzięczności za wampiry. Odprowadziłem go do wyjścia, po czym pozwoliłem, by Dean podał mi lunch.

A potem wyruszyłem w świat, żeby zapracować na moje dziesięć marek w złocie.

Willa Dount była szczerze oburzona tym, że nie zadrzałem, kiedy zmierzyła mnie wzrokiem, ale dobrze to ukryła. Wszyscy ukrywali irytację w mojej obecności. Wszyscy, z wyjątkiem Truposza. Uznałem, że lepiej trzymać się za kieszenie.

- Dziękuję, że pan przyszedł, Garrett.

- Pani człowiek powiedział, że porywacze dali o sobie znać.

- Tak. Przysłali kolejny list. Dostarczyli go tak samo jak pierwszy.

Ta sama ręka i tą samą paskudną ortografią poinformowała panią Dount, że wartość rynkowa Juniora wynosi "200000 Marków Złotem". Instrukcje dostarczenia kwoty zostaną przesłane w późniejszym terminie.

- Dwieście kawałków? Smarkacz jest w kłopotach, co? Sam Imperator nie zapłaciłby aż tyle.

- Ta suma jest możliwa do zebrania, panie Garrett, i zostanie zapłacona. Nie na tym polega problem.

- A na czym?

- Mam przed sobą podwójny dylemat. Z jednej strony nie będę w stanie ukryć wydatku tego rzędu przed Strażniczką. To moja sprawa i będę musiała stawić czoło jej niezadowoleniu, kiedy przyjdzie na to czas. Nie spodoba jej się taki wydatek, ale chyba jeszcze mniej chciałaby stracić syna.

- Domyślam się, że pani system wartości jest nieco odmienny.

- Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy, panie Garrett. Znajdujemy się w domu Strażniczki, gdzie jej wola i kaprysy są prawem.

- A do czego ja tu jestem potrzebny?

- Potrzebuję rady, jak fizycznie dostarczyć taką ilość złota.

- Faktycznie, żeby je przenieść, będzie pani potrzebować sporej kieszeni.

- Płacę panu sowicie za pański czas, Garrett. Proszę go nie marnować na mędrkowanie. Nie mam poczucia humoru.

- Jeśli pani tak powiada...

- Dwieście tysięcy marek w złotych monetach waży cztery tysiące funtów. Przemieszczenie takiego ciężaru wymagać będzie dużego wozu i przynajmniej czterech koni

w zaprzęgu. Chyba nie spodziewają się po mnie, że dostarczę to wszystko w takie miejsce, gdzie nikt nie zobaczy wypłaty okupu?

- Przy takim okupie na pewno wyznaczą miejsce gdzieś daleko poza miastem, ale wcześniej przegonią nas po okolicy, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi.

- Będą nalegać na złoto w monetach, prawda? Sztabki byłyby dla mnie łatwiejsze do zdobycia i przeniesienia, ale dla nich stanowiłyby większy kłopot. Zgadza się?

- Prawdopodobnie.

- Tak właśnie myślałam. Już zaczęłam wymieniać zapas sztabek na monety. Co jeszcze powinnam wiedzieć?

- Nie improwizować. Robić wszystko, co pani każą i kiedy pani każą. Będą bardzo nerwowi i skłonni do paniki. Jeśli zobaczą, że choćby najmniejszy szczegół odbiega od ich instrukcji, mogą zrobić dosłownie wszystko. Jeśli chce pani wziąć rewanż, proszę czekać, aż wszyscy będą bezpieczni w domu. Taka suma pieniędzy nie zniknie bez śladu i to najprawdopodobniej krwawego.

- O to będę się martwiła, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Przypuszczalnie będę musiała czekać, aż wróci Strażniczka. Dziękuję, panie Garrett. Pańskie doświadczenie potwierdziło prawidłowość mojego rozumowania. Można powiedzieć, że nasze stosunki układają się pomyślnie i korzystnie. Jest jednak coś, dzięki czemu mogłyby się stać doskonałe.

- To znaczy?

- Niech się pan trzyma z daleka od Amirandy Crest.

- Od dwudziestu lat nie pozwalam nikomu, aby mi wybierał przyjaciół, Domino. Jest pani słodka, ale gdybym zrobił dla pani wyjątek...

- Nie jestem przyzwyczajona do nieposłuszeństwa.

- Powinna pani częściej stykać się z prawdziwym życiem. Szybko nabrałaby pani praktyki.

- Proszę stąd wyjść, zanim stracę cierpliwość. Uznałem, że to dobra rada. Ruszyłem w stronę drzwi.

- Proszę trzymać się z daleka od Amirandy. Podejrzewam, że Amiranda otrzymała podobną radę, jeśli chodzi o niejakiego Garretta.

Omam nie podeptałem córki Strażniczki, Amber. Starannie zamknąłem drzwi.

- Rozwieszamy uszy?

- Ona ma rację.

- Na jaki temat? - Miała lepszy słuch, niż ja, jeśli dotarło do niej coś zza tych drzwi.

- Powinieneś zapomnieć o Ami. Jestem o wiele bardziej interesująca.

Dokładnie w tym momencie stwierdziłem, że się myli. Amiranda Crest to kobieta, natomiast ona miała jedynie ciało kobiety, kryjące wewnątrz zepsute, zrozumiiałe, snobistyczne stworzenie, prawdopodobnie niezbyt inteligentne. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Kiedyś o tym jeszcze pogadamy.

- Mam nadzieję, że wkrótce. Zdaje się, że jęknąłem.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy. Mały, uparty diabeł.

Drzwi gabinetu otwarły się nagle.

- Co ty tu robisz, Amber?

- Rozmawiam z panem Garrettem.

Willa Dount przyodziała oblicze we wściekły grymas i wycelowała go w moją stronę. Jeśli kobiety w domu Strażniczki mnie napastują, to wyłącznie moja wina.

- Wracaj do swoich apartamentów, Amber. Wiesz, że nie wolno ci przebywać w tym skrzydle.

- Ugryź się w nos, stara wiedźmo.

Domina była kompletnie zaskoczona. Już się zacząłem bać, że wybuchnie, ale chyba dobrze stała na nogach.

- Jeśli masz zamiar podważać mój autorytet pod nieobecność matki, może przedstawimy sprawę twojemu ojcu.

- Jasne. On powie wszystko, co mu każesz, prawda? Domina Dount z bólem serca zachowała świadomość mojej obecności.

- Amber!

- Jakim sposobem tak go przekabaciłaś? Chyba nie tym, że jesteś kobietą. Nawet woda zamarza, kiedy się kąpiesz.

- To całkowicie wystarczy, Amber.

- Panie, wybaczcie mi. Nie czuję się zbyt pewnie na takich kwocznych sejmikach. Może jednak sobie pójdę.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać! Domina Dount myślała, że udam głuchego w obliczu jej poniżenia, Amber spodziewała się wsparcia.

IX

Wyszedłem. Rozglądałem się za Amiranda, ale się nie pokazała.

Truposz wciąż był pochłonięty grą wojenną. Nawet w swoich najlepszych czasach stanowi marną kompanię, ale kiedy jest w takim stanie, kiedy angażuje cały swój geniusz, naprawdę żadne z niego towarzystwo. Pocieszałem się podejrzeniem, że może rzeczywiście znajdzie coś, co przeoczyli dowódcy większości armii w Kantardzie. No i miałem spokój od jego złośliwości.

Stary Dean był jeszcze gorszą kompanią. Każdy posiłek wieńczyło spotkanie z kolejną wyposzczoną i bardzo chętną kuzynką, która - jak twierdził - jest właśnie tym, czego trzeba tego domowi. Amiranda nie pojawiła się, choć czekałem z niecierpliwością. Po kilku dniach poczułem się parszywie smutny i stwierdziłem, że powinienem wydać część zarobków na kilka baryłek piwa w charakterze pierwszej pomocy, do konsumpcji na miejscu.

To też mi nie wychodziło. Z dwóch pierwszych knajp po prostu mnie wyprosili, bo siedziałem i zajmowałem miejsce, tuląc do serca przez cały wieczór ten sam kufel piwa.

Nie mogłem przestać myśleć o porwaniu. Powinienem się cieszyć, że dostałem sto dziesięć marek za nicnierobienie - ale nie. Coś tu paskudnie nie grało, jak dźwięk fałszywego kryształu.

Mimo to, choć patrzyłem i patrzyłem, nie mogłem wykryć, skąd wydobywał się ten smród.

Niewiele mogłem z tym zrobić. Nie miałem klienta. Nikt nie wtyka nosa w sprawy Góry tylko po to, by zaspokoić ciekawość zawodową. Zbyt wiele perspektyw oberwania w łeb, a za mało na zysk.

W trzecim barze, bliżej domu, pozwolili mi siedzieć i dumać. Zawsze byłem dla nich dobrym klientem i będę nim także w przyszłości. Kiedy naprzeciwko mnie usiadł jakiś facet, przypuszczałem z początku, że posadzili go tu, bo chcą wykorzystać do maksimum wolne stołki.

Nie spojrzałem na niego do chwili, gdy się odezwał:

- Ty jesteś Garrett? - warknął.

Podniosłem wzrok. Facet był potężny, szeroki w barach, koło trzydziestki, z miną twardziela i odziany w szmaty, jakie znaleźć można tylko na Górze. Ale nie nosił liberii. Wynajęty pętał, który działa z ukrycia. Nic nie zdradzało, do kogo należy.

- Kto chce wiedzieć? -Ja.

- Mam wrażenie, że się nie polubimy. Nie przypominam sobie, żebym cię zaprosił do kompanii i stołu.

- Nie potrzebuję zaproszenia od takiego gówna jak ty.

Na pewno był z Góry. Woda sodowa uderza im do głowy, kiedy znajdują tam punkt zaczepienia.

- Wiedziałem, że nie będziemy kumplami.

- Łamiesz mi serce, cwaniaczku.

- Wolałbym raczej złamać ci inną część ciała, ramię lub nogę. Co sobie życzysz, Bruno?

Bruno to pogardliwe określenie tępego dupka. Rozejrzałem się szybko i stwierdziłem, że mój gość ma kilku kumpli, którzy jednak są zbyt daleko, aby udzielić mu szybkiej pomocy. Stali przy barze, udając, że są stąd.

- Powiadają, że kręcisz się wokół domu Raver Styx. Dostaniesz kataru, jeśli będziesz wtykać nos w nie swoje sprawy. Chcemy wiedzieć, co kombinujesz.

- Co to znaczy my? - Był takim chamem, że nie odpowiedział. Zaproponowałem więc:

- A może zapytasz Strażniczkę?

- Ciebie pytam, Garrett.

- Tracisz czas. Wynoś się, Bruno. Przeszkadzasz mi w picciu.

Wyciągnął rękę, złapał mnie za nadgarstek i ścisnął. Miał dobry chwyt, ale moja prawa ręka spadła na jego dłoń. Wbiłem kciuk w miejsce, gdzie łączy się palec wskazujący i środkowy, i przycisnąłem mocno. Oczy wylazły mu na wierzch, gęba pobladła. Uśmiechnąłem się przyjaźnie.

- Dobra, Bruno. Teraz powiesz mi, dla kogo pracujesz i dlaczego tu przyszedłeś i próbujesz straszyć przyzwoitych ludzi.

- Idź do cholery, ty tani... uch!

- Musisz nauczyć się myśleć, zanim zaczniesz mówić. Z taką gębą jak twoja to cud, że dotąd w ogóle jeszcze żyjesz.

- Garrett, pożałujesz, żeś się kiedykolwiek... uch!

- Powiadają, że ból jest najlepszym nauczycielem. W twoim przypadku jednak chyba nawet on nie pomoże. Mam rację?

Ktoś podszedł do stołu. Zbliżył się niezauważony, ponieważ akurat obserwowałem kumpli Bruna, którzy chyba już przewąchali, że nie pozostają w najlepszych stosunkach z ich koleśkiem.

- Pan Garrett?

DaPena to grzeczny ludek.

- Junior? Siadaj. Bruno właśnie wychodzi.

Puściłem jego rękę. Wstał i zgiął ją kilkakrotnie, usiłując posłać mi na pożegnanie swoje najlepsze mordercze spojrzenie.

Chciał mi przyłożyć, ot tak, na pamiątkę, ale zanim się zamierzył, dałem mu kopniaka pod stołem trafiając w goleń. Znowu wywalił ślepska, wydał z siebie cichy dźwięk, dziwnie przypominający szloch, po czym odszedł, póki jeszcze był w stanie chodzić.

- Widzę, że Domina Dount wyciągnęła cię w jednym kawałku.

-Tak.

- Gratuluję szczęścia. Ale jak to się stało, że włóczysz się po takich spelunach?

Syn był żywym odbiciem ojca, jeśli nie liczyć śladów upływu lat i rozpusty. Skąd pojawiła się kwestia ojcostwa? Może, kiedy był mały, nie przypominał tak uderzająco swego najbliższego przodka po mieczu. Takie rzeczy ciągną się potem za człowiekiem.

- Chciałem panu osobiście podziękować.

- Dziękować? Mnie? Za co? Przecież nic nie zrobiłem. - Chłopak miał jęklivy, zawodzący głosik, który nasuwał przypuszczenie, że każdym słowem przeprasza za to, że żyje.

- Ależ tak. Przynajmniej tak to wyglądało. Porywacze... słyszałem, jak rozmawiali. Ktoś obserwował nasz dom. Kiedy pana zobaczyli, przedyskutowali to i stwierdzili, że muszą wszystko rozegrać najprościej, jak się da. Znali pańską reputację. Widzi pan zatem, że winien mu jestem wdzięczność. Mogło mnie tu nie być, gdyby...

Oprócz innych wyjątkowych uroków, Junior lubił się kołysać w tył i w przód za każdym razem, kiedy otwierał usta. Gapił się przy tym przed siebie, w przestrzeń. Cóż to musi być za radość: spędzać młodość w domu Strażniczki.

Miałem dziwne przeczucie, że chciał powiedzieć znacznie więcej, że wdzięczność to tylko pretekst, aby mnie odnaleźć. Ciężko jednak przycisnąć takiego faceta, jeśli nie ma się na niego haka. Załamują się, żeby ich nie męczyć. Dlatego tylko odchyliłem się i usiłowałem wyglądać na zadowolonego z jego pochwał, nie mówiąc już o zainteresowaniu tym, co jeszcze ma do powiedzenia.

Wkrótce stało się widoczne, że Junior coś kombinuje. Zaczął się jąkać. Nie dane mu jednak było otworzyć usta.

- A, tu pan jest, milordzie. - A otóż i on, Slauce, kwitnący przydupas Dominy, z bezczelnym uśmiechem na gębie i ślepiami, w których ostatnia iskra humoru zgasła sto lat temu. - Wszędzie pana szukałem.

Wątpiłem w to. Musiał śledzić Juniora, żeby wyskoczyć w tak odpowiednim momencie.

- Courter! Właśnie mówiłem panu Garrettowi, jak bardzo jestem mu wdzięczny. -
Znow się zakołysał.

Zdradziły go oczy. Bał się tego typu Courtera, który w kontaktach ze mną używał nazwiska Slauce.

- Domina prosi, aby pan natychmiast przyszedł, milordzie. Był to rozkaz starannie zamaskowany uprzejmością, wyłącznie na mój użytek. Junior wzdrygnął się.

Po drugiej stronie sali Bruno i jego kompania naradzali się przez chwilę między sobą. Zdaje się, że obecność Juniora i jego strażnika sprawiła, iż zrezygnowali z dalszych zakusów. Wyszli, choć Bruno zdążył jeszcze posłać mi ponure spojrzenie.

Junior wstał i Courter ujął go pod ramię. Niezbyt mocno, ale tak, jakby uważał, że chłopak może mu zwiąć. Przeszedł na tyle blisko, że mogłem podstawić mu nogę. Chciałem nawet spróbować, ot, tak, żeby zobaczyć, co z tego wyjdzie, ale na chęci się skończyło.

- Do zobaczenia, Karl.

Pełne rozpaczy spojrzenie rozbłysło nagle. Widocznie przyjął to na serio.

Courter spojrział na mnie. Po raz pierwszy od początku spotkania. W ślepiach miał żądzę krwi i obraz krwawej jatki. Uśmiechnąłem się i mrugnąłem doń przyjaźnie, ale i tak wyglądał, jakby miał wrzody.

X

Próbowałem, jak umiałem, ale za nic nie mogłem się upić. Po chwili przegadywania się z samym sobą ogłosiłem referendum i w jego wyniku postanowiłem wrócić do domu, aby oczyścić duszę, poddając ją torturom starego Deana, recytującego niekończące się listy swoich niezameżnych kuzynek, albo po prostu przespać wszystko przy akompaniamencie potężnej porcji złośliwego humoru Truposza.

Rozczarowali mnie. Obaj. Zdaje się, że podczas mojej nieobecności wszystko sobie przemyśleli. Kiedy wszedłem, Dean gwizdał pod nosem.

- Co się stało? Czyżby twoje samice zasadziły się na oddział huzarów i wzięły ich w słodki jasyr?

Był w za dobrym nastroju, żeby się obrazić. Nie mogłem wydobyć z niego nawet najmniejszego dąsa.

- Co się tu dzieje? - zapytałem. - Czemu tak szczerzysz zęby jak lis, który ma jeszcze gęsie piórka na wąsach?

- To jego kościstość. On szaleje. Roznosi go. Jest w ekstazie.

- Wszystko naraz? Ejże, muszę to zobaczyć.

- To trzeba upamiętnić, panie Garrett.

- Nad czym teraz pracujesz?

- Pieczeń jagnięca.

- Jagnię to baranina. Nie znoszę baraniny. - Nazarłem się baraniny więcej, niż chciałem, kiedy byłem w Marines. Jedliśmy ją przy każdym posiłku, z wyjątkiem chwil, kiedy musieliśmy zadowolić się twardymi jak rzemień kawałami solonej wieprzowiny, albo gdy okoliczności zmuszały nas do zjadania własnych koni lub, co gorsza, korzonków i jagód.

- To panu będzie smakować. Zobaczysz pan - mówił jak chodząca książka kucharska.

- Baran zawsze pozostanie baranem i jest to tylko baran - mruknąłem i wyszedłem. Czulem, że będę musiał zjeść to świństwo z wielkim pokazem mlaskania i zachwalania. Jeśli gotowanie Deana mi nie zasmakuje, a on to zauważy, następny posiłek z całą pewnością będzie zawierał zieloną paprykę. Nie ma na całym świecie nic równie obrzydliwego jak zielona papryka. Nawet świnia - bardzo głodna świnia - ma dość rozumu, żeby nie tknąć zielonej papryki. Ale nie ludzie. Naprawdę, nie mogę wyjść z podziwu, czym to sobie ludzie potrafią zapychać żołądki.

W takim właśnie humorze wparowałem do pokoju Truposza. *Ach, Garrett. Dobry*

wieczór. Miło, że wpadłeś. Jak tam twoje sprawy z porywaczami?

- Chłopak wrócił do domu w jednym kawałku. - Wyszedłem z pokoju, rozejrzałem się i wróciłem do środka.

Gratuluje. Dobra robota. Musisz mi o tym wszystko opowiedzieć. Dlaczego tak tańcowałeś przed chwilą?

- Upewniłem się tylko, że jestem we właściwym domu z właściwym Truposzem. Nie przyjmuję gratulacji. Nie mam z tym nic wspólnego. - Usiadłem i opowiedziałem mu wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu, z wyjątkiem jednonocnych wakacji Amirandy poza domem Strażniczki.

Interesująca sytuacja, aż się roi od anomalii. Prawie szkoda, że nie masz z tym nic wspólnego. To prawdziwe wyzwanie, żeby zgnieść skorupę i dostać się do mięska.

- Ależ nam się dzisiaj geniusz rozhulał, co?

Istotnie. Rzeczywiście. Tajemnica magii Glory'ego Mooncalleda nie jest już tajemnicą. Można to oczywiście udowodnić na bazie obserwacji

- Wiec wiesz już, jak on to robi? Teraz, kiedy Rada Wojenna Venageti potrafi tylko dreptać w kółko?

W istocie.

- Jak?

Rozumowanie, mój chłopcze.

Mój chłopcze? Zdaje się, że to poważna sprawa...

Myślenie. Dedukcja. Indukcja. Powtarzane doświadczenia, manipulujące możliwymi przebiegami zdarzeń w zakresie znanych parametrów. A stąd wypływa hipoteza o ciężarze gatunkowym bliskim pewności. Wiem, jak Glory Mooncalled zrobił to, co zrobił, i z dużą dozą pewności mogę powiedzieć, co zrobi potem.

- Wiec jak to robi? Czy staje się niewidzialny? Czy może zakrada się i wykrada podziemnymi tunelami?

Muszę na razie zachować dla siebie odpowiedź na pytanie "jak". Hipoteza nie jest w pełni przeanalizowana, oparta na jednym tylko, nie do końca sprawdzonym założeniu. Dalsze obserwacje powinny to potwierdzić, a ty będziesz pierwszy, który się o tym dowie.

- Bez wątpienia. - Będzie piał jak stado kogutów obserwujących wschód potrójnego słońca. Jeśli już nie zaczął. - Dlaczego więc nie...

- Panie Garrett? - Dean wsadził głowę w drzwi. - Przepraszam. Jest tu młoda kobieta, która chce się z panem zobaczyć.

Zadarł nosa i sam fakt, iż użył słowa "kobieta" zamiast "dama", powiedział mi, że

uważa ją za łajzę i jakąś moją przyjaciółkę, niewartą nawet lizać pięt ani jednej z jego tuzina bratanic.

- Kto to taki?

- Nie chciała powiedzieć. Ale zdaje się, że zna pana doskonale. - Znowu ten nos u sufitu.

Przeprosiłem i ruszyłem w stronę drzwi, pewien, że to Amiranda. Po prostu nie mogą bez ciebie żyć, Garrett.

To była Amber. Kiedy ją wpuszczałem, obdarowała mnie jednym ze swoich kusząco-drwiących uśmiechów. Dean dostał instrukcje, żeby nie wpuszczać nikogo bez poprzedniego porozumienia się ze mną lub z Truposzem.

Wyrząłem na ulicę za jej plecami. Nie dostrzegłem Courtera Slauce'a, ale przyjąłem, że gdzieś tam stoi i patrzy.

Amber pokręciła tyłeczkiem w tę i z powrotem, pokazując swoje najlepsze strony, których miała co najmniej kilka.

- Ależ się wystroiłaś, jak na łowy! Co to za okazja?

Jeszcze raz wyrząłem na ulicę. Nic. Jednakże kobiety z Góry nie chodzą sobie po dolnej części miasta bez przyzwoitki. No, chyba że są tak kompletnie nieświadome istniejącego niebezpieczeństwa, że opryszkowie cofają się przed nimi jak przed świętymi szaleńcami.

- Na łowy... w pewnym sensie. - Obdarowała mnie uśmiechem pełnym obietnic.

- Rozumiem. Ile masz lat, Amber?

- Dwadzieścia. - Skłamała. Na pierwszy rzut oka była to osiemnastka udająca trzydziestkę.

- Tędy proszę. - Grałem na czas, prowadząc ją do własnego biura. Mam w sobie takie coś, co bardzo lubi kobiety. Takie drugie coś jest jednak nieufne wobec tych, które nieproszone dają prezenty. A kiedy są bliskie centrum władzy, zepsute i zmienne, jak prawdopodobnie była ta, która stała przede mną, musiałem rozgrywać partię bardzo ostrożnie. Zdaje się, że ujrzałem pewne wyjście.

- Jestem czarującym łajdakiem, wiem o tym. I, choć bardzo mnie to boli, jestem dość stary, dość biedny i pospolity, aby podejrzewać, że sprowadziła cię tu raczej moja profesja, niż coś innego.

- Może - dalej próbowała flirtować. Miałem złe przeczucia, że to jedna z tych dziewczyn, które nie potrafią sobie poradzić z mężczyzną, jeśli nie udowodnią sobie, że nad nim panują. Ten typ uważa skonsumowanie związku za coś, czego należy unikać za wszelką

cenę. Była młoda, ale znała swoich mężczyzn dość dobrze, by wiedzieć, że przez oddanie im się w istocie niweczy jej kontrolę.

Uznałem, że gra właśnie w tę grę, więc robiłem wszystko, aby myślała, że dostanie to, czego potrzebuje bez niepotrzebnego narażania cnoty.

Była ładna. Do schrupania. Zanim jednak podejmę to ryzyko, muszę poznać córkę Strażniczki o wiele lepiej.

- Możesz zrobić tylko jedno - przyznała. - To jednak może poczekać. Czy nie wydaje ci się, że strasznie tu tłoczno? Nie można przejść gdzie indziej? Ten stary człowiek może tu w każdej chwili wejść.

W tym momencie popełniłem błąd i usiadłem. Zaledwie mój tyłek znalazł się na miejscu, a już ta setka funtów potencjału zaparkowała swój kuperek na moich kolanach.

I to tyle, jeśli chodzi o nieomylną opinię Garretta na temat okazów samiczego gatunku.

Już-już mnie miała... przez minutę. Dopóki nie zachichotała. Nie znoszę, kiedy moje kobiety chichoczą. To sprawia, że zaczynam powątpiewać w ich dorosłość.

Jednakże, kiedy taki egzemplarz siedzi ci na kolanach i merda ogonkiem...

- Panie Garrett. - To był właśnie wyżej wspomniany stary człowiek. - Przyszedł pan Dotes. Mówi, że to ważne.

Uratowany!

Szkoda, cholera.

XI

- Czy naprawdę musisz, Garrett?

- Nie znasz Morleya Dotesa. Jeśli tu przychodzi, to znaczy, że ma coś ważnego.

Zdażyłem niemal całkowicie uwolnić się spod Amber, kiedy wpadł Morley. Zamurowało go, rozdziawił gębę, a potem w oczach pojawiły mu się iskierki. Kiedyś nasypię mu do nich pieprzu, może łyzy je zgaszą.

- Siadaj, stary. Co się dzieje?

Amber udawała, że poprawia na sobie sukienkę. Zdaje się, że wiedziała, co robi i nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie pokazać.

- Chodzi o twojego kumpla Saucerheada. Leży w Bledsoe, porznięty tak, że mamut by tego nie przeżył.

- W jego zawodzie to się zdarza. - Był to ten sam, choć nieco bardziej publiczny zawód co Morleya, więc półelf posłał mi ponure spojrzenie, skoro tylko udało mu się oderwać wzrok od Amber.

- Jak to się stało?

- Jeszcze nie wiem wszystkiego. Wytoczył się z jakichś krzaków daleko w polu. Mówią, że nie powinien tego przeżyć, ale znasz go. Jest za uparty i za głupi, żeby umrzeć. Jednak oni myślą, że nie wyżyje.

- Oni, to znaczy kto? A w ogóle to co on tam robił? Morley spojrzał na mnie nieco dziwnie.

- Myślałem, że wiesz. Wyszedł wczoraj wieczorem, ponieważ dostał zadanie. Powiedział, że to z twojego polecenia.

- Mojego? Nigdy... o, cholera. Chyba lepiej tam pójść. - Poczulem na plecach ciarki wielkości kota. To Amiranda. Na pewno.

- Przejdę się z tobą. Nie ćwiczyłem dzisiaj. - Niejaki Morley Dotes nigdy w życiu nie przyznałby się, że ma przyjaciela w znanej części wszechświata.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Czekaj, Garrett - szepnęła Amber. Jej głos nie był już ani trochę melodyjny.

- Czy to ważne?

- Dla mnie tak.

- Morley, poczekaj na mnie przy frontowych drzwiach. No, dobra. Mów.

- Mój brat wrócił do domu dziś rano. Wypuścili go.

- To dobrze.

- To znaczy, że Domina zapłaciła okup.

- Chyba tak. No i co?

- No i to, że gdzieś tam jest sobie te okrągłe dwieście tysięcy złotych marek, które należy do mojej rodziny, i nikt nie podniesie alarmu, jeśli mu się je odbierze. Myślisz, że potrafisz je odnaleźć?

- Może, jeśli naprawdę będę bardzo tego chciał. Taki szmal w rękach amatorów pozostawi ślady jak mamut w rui. Sztuka będzie polegała na tym, żeby dorwać się do złota, zanim zrobi to ktoś inny.

- Pomóż mi je znaleźć, Garrett. Możesz dostać połowę.

- Chwilunia, dziewczyno. To oznacza duże kłopoty bez żadnej gwarancji na...

- Może to moja pierwsza, ostatnia i jedyna szansa, żeby wykrecić numer, który pozwoli mi uciec od matki. Jeśli uda mi się dorwać tę forszę, zniknę tak dokładnie, że nie znajdzie mnie nawet przy pomocy całej armii. Tobie też chyba przyda się setka tysięcy, co?

- Przydałoby się. Przydało. Zaczęła się krygować.

- Są jeszcze dodatkowe korzyści.

- Tak. Ależ tak. Muszę mieć trochę czasu, żeby przemyśleć to, czego potrzebuję i co muszę zrobić. W międzyczasie musisz mi wybaczyć, bo mam w szpitalu przyjaciela, który usiłuje umrzeć. Chciałbym go zobaczyć, zanim mu się to uda.

- Jasne. - Nie wydawała się zachwycona wzmianką o obowiązkach, jakie nakłada przyjaźń. - Wrócę jutro, jeśli uda mi się zwać Courterowi i jego chłopakom. Pojutrze na pewno. Może dasz staremu wychodne na cały dzień? - Przypomniała sobie o niewykorzystanym limicie uśmiechów.

- Pomyślę i o tym... może. Zachichotała.

- No pewnie! Poklepałem ją po odwłoku.

- No, no. Spływaj. Morley będzie się niecierpliwił - odprowadziłem ją do drzwi frontowych. Szedłem za nią i doprawdy nie mogę się uskarżać na krajobraz rozciągający się z tej perspektywy.

Dean czekał, żeby wyskoczyć za mną, co oznacza, że znowu podsłuchiwał. Rzuciłem mu mrozące krew w żyłach spojrzenie, ale spłynęło po nim jak przysłowiowa woda po kaczce.

Morley stał na zewnątrz. Oczekałem, aż Dean zamknie zasuwę, a tymczasem obaj podziwialiśmy odejście Amber.

- Gdzie ty je wynajdujesz, Garrett?

- Nie szukam. To one mnie znajdują.

- Pieprzysz.

- Naprawdę. Siedzę tu sobie zaczajony jak wielki, tłusty pajak krzyżak w sieci i łapię je, kiedy przechodzą. A potem włączam do akcji garrettowski urok i po prostu same wpadają mi w ramiona.

- Tym razem nie masz do czynienia z mdlejącą panienką, Garrett. Tamta zeszłej nocy też taka nie była. Obie mewki z Wysokiej Góry, mam rację?

- Z Góry. Ale nie nazwałbym ich mewkami.

- Nie. Chyba nie - westchnął ciężko. - Dlaczego ktoś taki nie może się choć raz zjawić u mnie?

- E, z tego, co widzę, jakoś sobie radzisz. Ale jej akurat nie bierz sobie za bardzo do serca. To tak, jakbyś się spodziewał wizyty tornado. Ona jest córką Strażniczki.

- Kolejny sen rozwiany w pył przez twardą rzeczywistość. A jednak szkoda. Szkoda... to takie urocze. Chodź, zobaczymy się z Saucerheadem i zobaczymy, na co można postawić w tej grze.

Szpital Bledsoe to ośrodek imperialnej dobroczynności, co oznacza, że powinien otaczać opieką medyczną maluczkich. Jeśli jednak znajdziesz się w takim miejscu, masz znacznie większe szansę na przeżycie, jeśli ty albo twój przyjaciel przypadkiem macie trochę grosza przy duszy. Zgaduję, że to ludzka natura. Nie zawsze jestem absolutnym fanem mojego własnego gatunku.

Z początku nawet nie chcieli mnie wpuścić do Saucerheada. Podobno był w naprawdę złym stanie i wkrótce mieli go wypisać nogami do przodu. A potem ktoś zobaczył błysk złota pomiędzy moimi palcami i usłyszał słowo lub dwa na temat zmiany miejsca pobytu pewnego metalu, jeśli prognoza okaże się nieco lepsza, i nagle cały szpital zmienił swój stosunek do mnie. Hopla! I w jednej chwili wraz z Morleyem znaleźliśmy się na oddziale Saucerheada, otoczonego bandą doktorów i uzdrowicieli, którzy wreszcie zaczęli robić to, co do nich należy.

Kiedy zaczynali, Saucerhead wyglądał okropnie. Był blady na skutek utraty - na oko - kilku galonów krwi. Kiedy skończyli, nie wyglądał o wiele lepiej, ale oddychał spokojniej i miał mniej skłonności do charakterystycznych ostatnich westchnień. Rozdałem kilka marek i pokazałem, że mam ich więcej i że być może zechcą one dotrzymać tamtym towarzystwa.

Przez kilka godzin Saucerhead nie robił nic, tylko oddychał. Dla mnie wystarczyło. Od razu wysunęliśmy się o kilka punktów przed śmierć.

W ciągu całego tego czasu Morley odezwał się tylko raz, szeptem:

- Gdybym kiedyś stał się takim desperatem, żeby tu wylądować, pozwalam ci przyjść tutaj i skrócić moje cierpienia jednym dobrym cięciem przez gardło.

Ta uwaga odsłoniła mi inną stronę charakteru Morleya Dotesa - śmiertelną obawę przed cierpieniem. Po tej wizycie będzie przez najbliższe dwa tygodnie na podwójnych racjach, magazynując zielone listki wszędzie, gdzie tylko się da.

Nie, Bledsoe nie było niczyją wizją niebios. Jedno spojrzenie wokoło mogłoby zmrozić krew w żyłach wampira. A ten oddział służył wyłącznie do umierania. Oddziały dla psychicznych prawdopodobnie zostały przerobione z wyłączonych z eksploatacji korytarzy piekielnych.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Saucerhead wybrał właśnie to miejsce. Nie był rekinem, ale i nie biedakiem.

Po wyjściu personelu zobaczyliśmy tylko jeszcze jedną postać ludzką w pozycji pionowej. Był to duchowny, prawdopodobnie jedyna pocziwa ludzka istota pracująca w Bledsoe. Znałem go trochę. Był jednym z największych nazwisk w jednym z najmroczniejszych i najdziwaczniejszych z kilkuset kultów religijnych rządzących TunFaire. Podeszedł bliżej i objął wzrokiem ogromną masę mięśni i ciała, jaką przedstawiał sobą Tharpe. Nawet w tej skrajnej sytuacji leżącego Saucerheada cechowała jakaś dziwna szlachetność, przypominająca szlachetność lwa lub mamuta. Dobrze go mieć po swojej stronie, źle po przeciwnej. Prosty, godzien zaufania i twardziel jakich mało.

- Czy odbył już rytuały?

- Nie wiem, ojcze.

- Jakich bogów czcił? Odsunąłem na bok pokusę.

- Nic nie wiem o żadnych bogach. Nie potrzebujemy sakramentów. Czuwamy nad zdrowiejącym, nie nad umierającym. Da sobie radę.

Duchowny sprawdził nazwisko, wypisane kredą na ścianie nad pryczą Saucerheada.

- Odmówię za niego modlitwę. - Uśmiechnął się lekko. - To nie zaszkodzi, nawet, jeśli sprawa jest pewna.

Odszedł do tych, którzy potrzebowali go bardziej, a ja pozostałem z niejasnym podejrzeniem, że wystrychnięto mnie na dudka.

Saucerhead musiał się obudzić wcześniej, niż dał nam znać. Pierwsze jego słowa, wypowiedziane chrapliwym, słabym głosem brzmiały:

- Garrett, przypomnij mi, żebym się trzymał z dala od twoich cholernych bab.

Mruknąłem coś i czekałem.

- Wywiezienie tej jednej z Kantardu omal nie kosztowało mnie życia. Już myślałem,

że mnie załatwiła na dobre.

- Aha. A dlaczego się znalazłeś właśnie w tym miejscu.? Jeśli miałeś dość sił, żeby dojść aż tutaj, mogłeś dowlec się do kogoś, kto pomógłby ci naprawdę.

- Tu się urodziłem, Garrett. Wbiłem sobie do głowy, że już po mnie, i wydawało mi się, że powinienem skończyć tam, gdzie zacząłem. Zdaje się, że to nie był najlepszy pomysł.

- Pewnie. Ty wielki, dumy palancie. No dobrze, wyjdiesz z tego, na przekór sobie i tym hienom. Masz dość sił, żeby opowiedzieć mi, co się stało?

- Tak. - Pociemniał na twarzy.

- No więc? Co się stało?

- Ona nie żyje, Garrett! Zabili ją. Sam wykończyłem pięciu lub sześciu, ale było ich zbyt wielu, przebili się i zamordowali ją. - I, niech mnie szlag trafi, zaczął zwlekać się z posłania!

- Przytrzymaj go, Morley. Co u licha robisz, Saucerhead?!

- Muszę iść. Nigdy jeszcze tak nie spieprzyłem roboty. Nigdy, przenigdy!

Morley ułożył go z powrotem jedną ręką. Saucerhead trzymał się w pionie wyłącznie dzięki własnej silnej woli. Miał w oczach łzy.

- Była taka śliczna, Garrett. Słodka jak cukierek i śliczna jak kwiatusek. Nie powinni byli jej tego zrobić.

- Masz rację. Nie powinni. - Jakaś część mojej osoby wiedziała o wszystkim od początku, ale ta druga, która wierzy i ma nadzieję, dopiero zaczynała przyswajać wieści.

Saucerhead znowu próbował wstać.

- Muszę, Garrett.

- Musisz wyzdrowieć. Ja się zajmę resztą. Mam w tym interes, który jest ważniejszy od twojego. Kiedy powiesz mi już wszystko, co wiesz, Morley zabierze cię stąd i zawiezie tam, gdzie będziesz chciał. A ja ruszę na poszukiwanie.

Morley spojrzał na mnie, nic nie mówiąc. Nie musiał.

- Nie udawaj mądrali, Morleyu Dotes, i tylko mi nie mów, że zaangażowanie jest wliczone w koszt. Zrobiłbyś to samo, nawet, gdybyś chciał udawać, że to coś innego. Chodź, Saucerhead. Wyduś to z siebie. Zaczynaj od początku, od chwili kiedy po raz pierwszy na nią spojrzaleś.

Saucerhead może nie jest umysłowym sprinterem, ale jego rozum idzie tam, gdzie chce i potrzebuje. Widzi, co dzieje się wokół niego, i pamięta wszystko.

- Po raz pierwszy zobaczyłem ją z tobą u Morleya. Pomyślałem sobie: jakim sposobem taki kurdupel jak Morley albo taki domator jak Garrett zawsze wyłapią najlepsze kąski?

- On nie umiera - oznajmiłem. - Wisielcze poczucie humoru to pierwsza *rzecz*, jaka wraca do życia. Wyobraź sobie, nazywa mnie domatorem. Pomiń tę noc, Saucerhead. Kiedy zobaczyłeś ją znowu?

- Wczoraj po południu. Sama do mnie przyszła.

Znalazła go w domu i powiedziała, że poleciłem go jej, gdyby potrzebowała jakiegokolwiek ochrony. Chciała coś zrobić tej nocy, ale była zdenerwowana i przestraszona, i choć uważała, że nie powinno być problemów, pomyślała, że dobrze byłoby mieć kogoś ze sobą. Na wszelki wypadek. Tylko po to, żeby ją podnieść na duchu. Potem Saucerhead zgodził się pozostać z nią, dopóki nie uzna, że już go nie potrzebuje. Wyszła i wróciła dopiero na krótko przed zmierzchem, przyprawdzając mały, otwarty powóz.

- Czy miała coś ze sobą?

- Kilka kufrów z tyłu. Takie, w jakich kobiety przechowują ubrania i rzeczy osobiste. Chyba nie planowała powrotu.

- Uhm. Czy nie powiedziała, co zamierzała?

Po raz pierwszy wydawał się nieco zbity z tropu, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Uznał jednak, że muszę wiedzieć wszystko.

- Nie mówiła, co chce zrobić. Miała się jednak z kimś spotkać i na pewno nie zamierzała wrócić.

- Zatem, gdyby ciebie tam nie było, mogłaby zniknąć i nikt naprawdę nie wiedziałby, co się stało. - Bogowie, czasem oślepiam sam siebie własną błyskotliwością.

- Tak. To co, może ty opowiesz resztę, a ja się zdrzemnę?

- Jeszcze chwilkę i będziesz mógł sobie chrapnąć. Zapłata. Jak i kiedy?

- Z góry. Zawsze każę im płacić z góry... no, nie, dla niej omal nie zrobiłem wyjątku. Zabrałem jej wszystko, co do grosza, a i tak jeszcze była mi winna pół marki. Przebaczyłem jej to i poradziłem, by zatrzymała na razie część zapłaty, żeby nie została splukana. Ona jednak stwierdziła, że to nie problem, bo jeśli dotrzemy tam, gdzie się wybieramy, dostanę swoje pół marki plus ładną premię za to, że jestem taki kochany.

- No tak. To cały Saucerhead Tharpe. Prawdziwe kochanie. Dobrze. Mów dalej.

XII

Wyruszyli o zmierzchu. Saucerhead jechał na koniu za powozem. Był słabo uzbrojony, ale to nie niezwykle. Zawsze wolał polegać na sile własnych mięśni i sną szybkości. Nie musiałem pytać, czy widział kogokolwiek, kto by się przyglądał albo szedł za nimi. Rozglądał się i nie zobaczył nikogo. Opuścili miasto o zmierzchu i w spokojnym tempie skierowali się na północ. Nie spieszyli się, nie wlekli, słowem, starali się nie zwracać na siebie uwagi. Ponieważ przez większość drogi jechał za powozem, nie rozmawiali zbyt wiele. Księżyc jednak znajdował się w trzeciej kwadrze i było dość jasno. Widział, że w miarę upływu czasu dziewczyna staje się coraz bardziej nerwowa i zatroskana. Pamiętała jednak i o nim, i o zwierzętach, bo kilkakrotnie zatrzymywali się na popas.

Około trzeciej nad ranem dotarli do skrzyżowania w lesie, o kilka mil od słynnego pola bitwy pod Lichfield, gdzie, jak mówią niektórzy, szkielety imperialnej armii wciąż jeszcze wstają spod ziemi i kręcą się wokoło w poszukiwaniu zdrajcy, który wydał ich dowódcę.

Zgodnie z obyczajem, na dużych skrzyżowaniach, pośrodku, znajdował się trawnik w kształcie rombu z opiekuńczym obeliskiem. Amiranda zatrzymała się obok obelisku, gdzie zaprzęg mógł spokojnie skubać trawę. Powiedziała Saucerheadowi, że tu zaczekają. Kiedy tylko pojawi się osoba, na którą czeka, może ruszać z powrotem do TunFaire.

Saucerhead zsiadł z konia. Przeciągnął się, oparł o powóz i czekał. Amiranda nie miała wiele do powiedzenia. Minęła godzina. Z każdą minutą dziewczyna stawała się coraz bardziej niespokojna. Saucerhead próbował ją pocieszać, ale bezskutecznie, ponieważ nie wiedział, o co chodzi. I tak uważała, że sprawdzają się jej najgorsze przewidywania.

Księżyc już miał zachodzić, a na wschodzie pojawił się jasny pas, kiedy Saucerhead zorientował się, że nie są już sami. Powiedziało mu o tym milczenie ptaków wśród drzew. Zaledwie zdążył ostrzec Amirandę, kiedy tamci wyskoczyli na nich z cienia.

W chwili, kiedy ich zobaczył, zrozumiał, że to nie patrol drogowy.

- Było ich co najmniej piętnastu, Garrett. Wilkołaki. Niektóre czystej krwi, takie jakich już dzisiaj prawie się nie widuje. Mieli noże i ostre pałki, maczugi i wielkie gnaty. Widać było, że mord to ich specjalność. Przeklinali po swojemu, że tam byłem. Nie spodziewali się mnie.

Saucerhead nie potrafił opowiedzieć dokładnie, co było dalej. Stwierdził tylko, że znalazł się pomiędzy wilkołakami a Amirandą, plecami do powozu, i wziął się do roboty własnym nożem i pałką. Kiedy je stracił, nadrabiał gołymi rękami i brutalną siłą.

- Zabiłem pięciu lub sześciu, ale jeden człowiek naprawdę nie może zrobić wiele, kiedy ma tyłu przeciwko sobie. Włazili na mnie, cięli i bili. A ta dziewczyna nie miała dość

roзумu, żeby uciekać. Też próbowała walczyć, ale przewrócili ją i zabili... chyba ich potem trochę stłukłem, bo wszyscy uciekli na skraj lasu.

A potem upadłem i już nie mogłem biec dalej. Nie mogłem się nawet ruszyć. Myśleli, że nie żyję. Przeciagnęli mnie, i wrzucili w krzaki, potem zrobili to samo z resztą. Potem zaczęli przetrząsać jej rzeczy, klnąc, bo nie było tam nic wartościowego. I tak kłócili się o każdą rzecz, jak sroki. I nawet nie pomyśleli, żeby ratować swoich pobitych kumpli.

A potem usłyszeli, że ktoś nadchodzi. Rozbiegli się, zacierając ślady, i odjechali powozem i na koniu Saucerheada.

Kiedy Saucerhead pozbierał się na tyle, żeby stanąć na nogi, odszukał Amirandę, wziął ją na rękę i ruszył przed siebie.

- Nie myślałem zbyt jasno - mruknął. - Nie chciałem, żeby umarła, więc wierzyłem, że żyje. Jest taka wiedźma, która mieszka około trzech mil dalej, w lesie. Powiedziałem sobie, że jeśli doniosę dziewczynę do niej, to wszystko będzie w porządku. Znasz mnie. Kiedy sobie coś postanowię...

Aha. Próbowałem to sobie wyobrazić. Półżywy Saucerhead, ociekający krwią, wlecze się przez las, niosąc martwą kobietę. A potem wraca do TunFaire, żeby znaleźć się w odpowiednim miejscu, kiedy będzie umierał.

Zadałem wtedy jeszcze mnóstwo pytań na temat wilkołaków i tego, co mówili, kiedy myśleli, że nie żyje. Nie usłyszał nic, co mogłoby mi się przydać. Dowiedziałem się tylko, gdzie mieszka wiedźma.

Potem Saucerhead osłabł trochę, ale jeszcze pozbierał siły.

- Odpocznij trochę - zaproponowałem. - Jeśli nie załatwię tej sprawy, będziesz mógł ją przejąć, jak wyzdrowiejesz. Morley, musisz go stąd zabrać. Chodź. Saucerhead, Morley wróci tu po ciebie.

Morley przemówił dopiero, gdy wyszliśmy na ulicę.

- Paskudna sprawa.

- Słyszałeś o kimś, ktoby się dzisiaj wzbogacił?

- Nie. - Łypnął na mnie spode łba.

- Masz jakieś kontakty w Dzielnicy Wilkołaków? - Jeśli nie ma się wilkołaczej krwi, nie można tam wejść nawet w dzień. Znałem tam kilka osób, ale nie na tyle, żeby poprosić je o pomoc w tej sprawie.

- Parę. Ale nikogo, kto by mi powiedział coś o umowie z Raver Styx jako druga strona.

- To mój problem.

- Chcesz się tam wybrać i rozejrzeć?
 - Może jutro. Dziś muszę najpierw posprawdzać pewne luźne fakty i powiązać je ze sobą.
 - Chcesz, żebym poszedł z tobą? Naprawdę miałem dzisiaj mało ruchu. Udawał, że interesuje go wszystko inne, tylko nie to, co interesowało go naprawdę.
 - Chyba nie. Ktoś musi tu zresztą zostać i przypominać Saucerheadowi, że jest ranny.
 - To coś osobistego, nie?
 - Bardzo osobistego.
 - No to bądź przynajmniej ostrożny.
 - Będę, i to cholernie. A ty miej uszy otwarte. Interesują mnie nowiny na temat wilkołaków i kogoś, kto nagle ma pełne kieszenie złota.
- Rozstaliśmy się. Poszedłem do domu i wlałem w siebie kilka galonów piwa.

XIII

Humor Truposza nie zmienił się do następnego poranka. Zacząłem się martwić. Czyżby to miał być początek końca? Nie miałem wystarczającej wiedzy na temat Loghyrów, żeby wiedzieć, czego symptomem może być uporczywy dobry humor. Opowiedziałem mu o Saucerheadzie, nie pomijając żadnego szczegółu.

- Masz jakieś pomysły?

Kilka. Nie podałeś mi jednak dość informacji, żeby sformułować więcej niż jedną ostateczną opinię.

- Jedną? Ostateczną? Ty? Jaką opinię?

Twoja słodka nocna przekąska była aż po śliczne uszka zaplątana w porwanie syna Strażniczki. Jeśli nawet nie brała udziału w samym spisku, doskonale o nim wiedziała.

Nie zaprzeczyłem. Sam podejrzewałem coś podobnego. Dobrze wiedzieć, że mój umysł jest prawie tak bystry jak jego, jeśli nawet nie tak stanowczy, gdy chodzi o podejmowanie decyzji. Jednak on jest geniuszem, a to uwalnia go od wątpliwości nurtujących zwyczajnych śmiertelników.

- Mógłbyś przedstawić mi swój tok rozumowania?

To chyba dość proste i oczywiste, żeby nawet taki ograniczony mózdek mógł pojąć, o co chodzi.

Wyszczrzyłem do niego zęby. W ten sposób postanowił mnie ukarać za to, że ośmieliłem się sprowadzić kogoś na noc do mojego własnego domu. Niestety, nie potrafił całkiem pozbyć się dobrego nastroju.

Kobiety stają się kłopotliwe, kiedy wychodzą ze swojej roli spiskowców, manipulatorów, plotkar, złośliwców, oraz nosicielek i karmicielek młodych, ale zabijanie ich nie jest dopuszczalną formą kary. Namawiam cię, żebyś prowadził dalej tę sprawę, Garrett. Oczywiście, z należytą ostrożnością. Nie chciałbym patrzeć, jak podzielasz los tej kobiety. Jak mógłbym pójść na pogrzeb?

- Jesteś sentymentalnym głupcem, co?

Za często i za bardzo dla mojego własnego dobra.

- Ha! Ponura prawda wyłazi na wierzch jak paluch z dziurawej skarpety! Gdyby mnie posiekali, mógłbyś zostać zmuszony do opuszczenia tego błęgiego stanu lenistwa, a twój geniusz musiałby popracować trochę, żebyście wspólnie utrzymali dach nad głową.

Jestem artystą, Garrett. Ja nie...

- A ja jestem księciem zamienionym w żabę zaklęciem złej czarownicy.

- Panie Garrett?

Obejrzałem się. W drzwiach stał Dean.

- Co się stało?

- Znowu przyszła ta kobieta.

- Ta, która była tu wczoraj?

- Ta sama. - Patrząc na jego minę, można by pomyśleć, że wykrył we własnej spizami zgniłą cebulę.

- Zaprowadź ją do biura. Nie pozwól, żeby cię dotknęła. To może być zaraźliwe. - Pozwoliłem, żeby odszedł poza zasięg głosu, zanim dodałem: - Mógłbyś to zanieść swoim bratanicom i sprawić, że nagle staną się seksowne.

Za mocno go ujeżdżasz, Garrett. To wrażliwy człowiek i bardzo się troszczy o ukochane osoby.

- Pozwoliłem, żeby odszedł, zanim zacząłem mówić, czyż nie?

- *Nie chciałbym go stracić.*

- Ja też nie. Musiałbym zacząć sprzątać po sobie. - Wyszedłem, udając, że nie słyszę, jak koniecznie chce mieć ostatnie słowo. W ten sposób moglibyśmy strawić cały dzień.

Amber wyglądała, jak mogła najlepiej, i wyczuła od razu, że to zobaczyłem i doceniłem. Próbowwała toczyć dalej przerwana grę.

- Zdecydowałem, że znajdę dla ciebie te pieniądze - przystopowałem ją. - Musimy myśleć o tym, co robimy, i działać cholernie szybko, jeśli nie chcemy, żeby ślad wystygł. Wczoraj nachodziłem się, zaglądając pod kamienie, i wróciłem z pustymi rękami. Zaczynam sądzić, że to wszystko zostało zaplanowane poza miastem.

- Garrett! - Chciała się bawić, ale potrafiła zrozumieć, że za dwieście tysięcy marek w złocie może z tym trochę poczekać. Stwierdziłem, że może być typem, który chętnie stawia czoło wyzwaniu, i to mógł być mój następny problem.

- Co to znaczy: poza miastem?

- Tak jak powiedziałem wczoraj, sprawa, w której chodzi o dwieście tysięcy marek i porwanie syna Raver Styx, wymaga wielkiego planowania i pozostawia wyraźne ślady, nawet jeśli zajmują się tym najlepsi profesjonaliści. Jeden sposób, by zatrzeć za sobą ślady, to przeprowadzenie planowania, rekrutacji, zakupów i prób gdzieś daleko poza miastem. Wtedy również i złoto można zabrać daleko stąd. Z drugiej strony, kiedy chodzi o taką ilość złota, można zatrzeć ślady w inny sposób: poprzez zlikwidowanie wszelkich powiązań między sobą i ofiarą.

- To znaczy, pozabijać ludzi, którzy ci pomagali?

-Tak.

-To okropne. To... to po prostu straszne.

- Bo to straszny świat. A na nim kupa strasznych ludzi, żeby nie wspomnieć o wilkołakach i upiorach, a także wampirach i ludziach-wilkach, którzy uważają ludzi za ofiary, choć sami kiedyś nimi byli.

- To okropne.

- Oczywiście. Ale czegoś takiego właśnie możemy oczekiwać. Wciąż chcesz się w to bawić? Jesteśmy partnerami, będziesz musiała nieść swoją część ładunku.

- Ja? Jak mogę pomóc?

- Możesz dopomóc mi w skontaktowaniu się z twoim bratem i Amirandą.

Wyglądała na zdumioną. Czyżby moja Amber nie była zbyt bystra? Za to jest dekoracyjna. Zdecydowanie dekoracyjna.

- Do tej pory mam tylko jedną poszlakę, która sama w sobie nie jest wiele warta.

- Co to takiego?

- Uuh, wolę trzymać karty zasłonięte, dopóki nie uzyskam lepszego obrazu sytuacji.

- Dlaczego chcesz porozmawiać z Karlem i Amirandą?

- Z Karlem dlatego, że tylko on miał bezpośredni kontakt z porywaczami... z wyjątkiem może Dominy Dount, która przekazała okup. Z Amirandą dlatego, że pracuje dla Dominy i może spostrzegła coś użytecznego. Nie mogę przycisnąć samej Willi Dount. Sama chciałaby odzyskać to złoto, gdyby wiedziała, że go szukamy. Mam rację?

- Aha. Ale Karl też chciałby swoją działkę, gdyby się dowiedział, co robimy. Chce wyrwać się z tego domu tak samo jak ja. Amiranda też.

- Pomóż mi z nimi porozmawiać, a ja już wymyślę powód.

- Dobrze. Ale bądź ostrożny. Zwłaszcza z Amirandą. To mała wiedźma.

- Nie lubisz jej.

- Nie za bardzo. Jest sprytniejsza ode mnie, a jeśli zechce, potrafi być prawie tak samo ładna. Nawet moja własna matka zawsze traktuje ją lepiej niż mnie. Ale chyba jej nie nienawidzę. Chciałabym tylko, żeby się wyniosła.

- I pomimo tego, że jest lepiej traktowana niż ty i twój brat, ona także chce odejść? Równie bardzo jak wy?

- Lepiej niż źle, to jeszcze nie znaczy dobrze, Garrett.

- Jak szybko możesz mnie skontaktować z Karlem?

- Będzie trudno. Nie da rady wymknąć się z domu właśnie teraz. Domina każe

Courterowi pilnować go dzień i noc. Mówi, że porwanie nie utrzyma się w tajemnicy, a jeśli się rozniesie, jaki był okup, ktoś może spróbować jeszcze raz. Myślisz, że to możliwe?

X

- To się zdarza. Jest mnóstwo leniwych, głupich łajdaków, którzy próbują naśladować czyjeś sukcesy. Twoja rodzina będzie w stanie zagrożenia, dopóki wasza matka nie podejmie jakiegoś działania, które udowodniłoby, że ci, którzy z nią zadzierają, żyją krótko i boleśnie.

- Jej to chyba nawet nie obejdzie.

Obejdzie ją, nawet gdyby nie potrzebowała lub nie kochała własnego potomstwa, ale nie miałem zamiaru oświecać Amber, jakie są symbole i oznaki władzy i co trzeba zrobić, aby zawsze błyszczały i budziły respekt.

- Następnym krokiem będzie twój brat. Jeśli nie może tu przyjść, ja spróbuję dotrzeć do niego. Wymyślisz coś. Pójdę za tobą do domu w odległości około pół godziny i gdzieś tam będę się kręcił. Dasz mi znak, kiedy będę mógł wejść. Jeśli dasz radę, mógłbym za jednym zamachem porozmawiać z Amirandą. Jaki będzie sygnał?

Przybrałem konspiracyjny ton. Zdziałało. Weszła w rolę osoby zamieszanej w ponure i tajemnicze sprawy.

- Błysnę lusterkiem z okna. Daj mi potem pięć minut i spotkamy się przy tylnym wejściu.

- Które to okno?

W czasie, kiedy mi wyjaśniała, pomyślałem sobie, że ma ten trik doskonale opanowany i nie mogła go wymyślić na poczekaniu. Mam wrażenie, że w ten sposób wprowadzała do domu swoich kochanków. Jeśli im się udawało, mnie też może się udać. No, chyba że robi mnie w konia...

Nie miała powodów, które mógłbym od razu zauważyć. Zdaje się, że naprawdę jedynym obszarem jej zainteresowania było złoto matki...

W tym biznesie szybko stajesz się paranoikiem. A może paranoicy są właśnie tacy, ponieważ wszyscy na nich polują.

- Teraz już lepiej spływaj - poradziłem jej. - Zanim zatęsknią za tobą i zaczną się zastanawiać.

- Pół godziny w tę czy w drugą stronę chyba nie zrobi wielkiej różnicy?

- Pół godziny może zadecydować o wszystkim.

- Garrett, kiedy czegoś chcę, potrafię być naprawdę uparta.

- Wierzę ci na słowo. Mam nadzieję, że się uprzesz, żebyśmy dostali złoto, jeśli ziemia zacznie nam się palić pod nogami. - Do-holowałem ją do frontowych drzwi.

- Palić się? Czy to może być niebezpieczne?

- Żartujesz chyba. Nie chcę być melodramatyczny - akurat, tu mi się zgina... - ale zanim dorwiemy się do złota, może na nas czekać długa, wąska i ciemna przepaść pomiędzy twoją matką a porywaczami.

Wytrzeszczyła na mnie oczęta. Informacja docierała do niej powoli, ale skutecznie. Po chwili jednak uśmiechnęła się.

- Niech ta złota marchewka przez cały czas wisi na kiju, a muł nawet nie zauważy gór i dolin.

No. Może nieco powolna, ale z jajami. Stary Dean gapił się na nas z korytarza, przyodziany w swój grymas dezaprobaty. Poklepałem Amber po pośladkach.

- Tak trzymaj, mała. Pamiętaj. Wychodzę w pół godziny po tobie. Nie pozwól mi zbyt długo czekać na ulicy.

Okręciła się na pięcie i pocałowała mnie tak, że Dean musiał od tego dostać mrówek w piętach i jeszcze gdzie indziej. Bo ja dostałem.

Odsunęła się, puściła oko i zniknęła.

XIV

Zawróciłem i zafundowałem sobie jedno duże zimne na wzmocnienie przed nadchodzącą kampanią. Musiałem sobie sam nalać, bo Dean ogłuchł i ośleplł na wszystko, co nie było duchem. Widocznie doprowadziłem go do rozpacz.

Wychyliłem jedno większe, nalałem drugie, ukatrupiłem dzbanek i poszedłem opowiedzieć Truposzowi nowiny. Trochę burczał i warczał, ot, tyle, żebym się poczuł u siebie. Zapytałem, czy już jest gotów wyjawic tajemnicę Glory'ego Mooncalleda, ale odpowiedział, że nie, i wyłączył się. Podejrzewam, że jego hipoteza ma luki. Hipoteza z lukami może być śmiertelnym ciosem dla ego Loghyra.

Odstawiłem pusty kufel w kuchni i poszedłem na górę. Przekopałem szafę służącą jako domowy arsenał, wybrałem kilka niepozornych kawałków stali i obciążoną ołowiem, obciążoną skórą pałę, która już nieraz wiernie mi służyła. Poprosiłem Deana, żeby zamknął drzwi, kiedy duchy pójdą do domu, i wyszedłem na ulicę.

Był przyjemny dzionek, jeśli komuś nie przeszkadza nieustanne przepychanie się między mgłą a mżawką. Taka pora roku.

Plantatorzy winogron lubią ją, chyba że trwa za długo. Gdyby pozwolić im rządzić, każdy strażnik burz miałby pełne ręce roboty na cały etat, dokonując precyzyjnych regulacji pogody tak, by zmaksymalizować dochód ze zbiorów.

Zanim dotarłem do domu na Górze i znalazłem sobie miejsce, gdzie mógłbym się przycząić, byłem już całkiem mokry i wymięty. Sąsiedztwo było zaprojektowane w tak głupi i bezmyślny sposób, aby uniemożliwić zaczajanie się. Musiałem zatem dreptać w tę i z powrotem, przystając to tu, to tam, i udając, że właśnie tu mam stać. Wmówiłem sobie, że jestem inspektorem bruku i przyszedłem sprawdzić, czy kamienie zostały właściwie ułożone. Po piętnastu minutach, które trwały półtora dnia, pochwyciłem kątem oka sygnał Amber - świeczka zamiast lusterka - zacząłem sunąć w stronę tylnej bramy. W dobę później brama została otwarta i Amber wyjrzała na zewnątrz.

- Ani o minutę za wcześnie, kochana. Właśnie przybywają dragoni.

Ludzie z Góry składają się do wspólnej kasy, żeby mieć na swoje zawołanie bandę zbirów, która ma ich chronić przed niewygodami i kłopotami związanymi z przestępczością. My, mieszkańcy części miasta znajdującej się bliżej rzeki, musieliśmy to zaakceptować jako część naszego życia, jak paskudną pogodę.

Parka tych właśnie zbirów nie dała się nabrać na mój romans z kocimi łbami i właśnie

zbliżała się w moim kierunku pod pełnymi żaglami. Zbyt długo byli w zawodzie. Mieli piki większe od nich samych i poważnie traktowali własne zajęcie, toteż nie byłem zainteresowany wejściem w bliższy i bolesny kontakt z ichmościami, którym wystarczy gwizdnąć, aby mieć po swojej stronie poważniejsze i bardziej szkodliwe dla zdrowia argumenty.

Wszedłem przez bramę, a im na czubkach pik zawisł jedynie śmiech Amber.

- To Meenie i Mo. Są braćmi. Eenie i Minie mieli cię chyba zająć od drugiej strony. Kiedy byliśmy mali, nabijaliśmy się z nich w okropny sposób.

Przyszło mi do głowy kilka komentarzy, ale siłą męskiego postanowienia zatrzymałem je tam, gdzie się zrodziły.

Amber przeprowadziła mnie przez labirynt pomieszczeń dla służby, wesoło trąkając o tym, jak wraz z Karlem korzystali z tych korytarzy, aby umknąć czujności Willi Dount. I znów powstrzymałem się od komentarzy.

Weszliśmy po schodach: najpierw w jedną, potem w drugą stronę, minęliśmy apartamenty, których dawno nie używano albo dawno nie sprzątno. Nagle Amber zatrzymała się i położyła palec na ustach. Wyrzała zza kotary, zasłaniającej przejście do części zamku, w której urzędowali żywi ludzie z żyłami pełnymi krwi.

- Nie ma nikogo. Szybko. - Pobieгла.

Posłusznie podreptałem za nią, rozkoszując się widokiem. Nigdy nie zrozumieję kultur, które nakazują swoim kobietom iść trzy kroki za mężczyzną. A może mają rację. Więcej jest kobiet zbudowanych jak Willa Dount niż jak Amber.

Przepchnęła mnie przez drzwi do jakiegoś pustego pokoju i okręciła się na pięcie, wyciągając ramiona. Objąłem ją w pasie.

- Wyprowadziłaś mnie w pole, co?

- Nie. Będzie tu za chwilę. Musi się wymknąć. W międzyczasie... znasz stare powiedzenie.

- Mieszkam z martwym Loghyrem. Znam wiele starych powiedzeń, niektóre tak pieprzne, że same góry rumienia się ze wstydu, kiedy je przytaczam. Które z nich masz na myśli?

- To, że praca bez zabawy sprawia, iż Garrett nie jest ciekawy. Powinienem był się domyślić.

Była zdecydowana mnie zmęczyć. I właśnie jej się to udało.

Lup! Krawędź drzwi trzasnęła mnie w plecy akurat w momencie, gdy pochylałem się w przód, rozważając możliwość kapitulacji.

I tak to się toczy w moim życiu...

Rozpęd poniósł mnie kilka stóp poza orbitę wokół Amber. Roześmiała się.

Karl wpadł do pokoju, zachłystując się przeprosinami, czerwony jak burak. Gdyby nie miał zajętych rąk, pewnie by je załamywał.

- Czuję napitek - mruknąłem. Elixir bogów.

- Przypomniałem sobie, że tamtego dnia pił pan piwo. Pomyślałem sobie, że uprzejmie byłoby podać napoje orzeźwiające i dlatego...

Gaduła.

Byłem zdumiony. Nie tylko udało mu się sklecić jakiś własny pomysł, ale również zdołał wykonać go samodzielnie i bez pomocy sługi dostarczyć tacę. Może rzeczywiście pozostało w nim coś z dziadka. Kawalek genu lub coś w tym rodzaju.

Podał mi potężny kufel. Natychmiast zabrałem się do roboty. On tymczasem skubał piankę z mniejszego naczynia, a to wszystko tylko po to, żeby pokazać, jaki to on jest demokratyczny.

- Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać, panie Garrett? Nie mogłem nic zrozumieć z tego, co mówiła Amber.

- Chciałbym zaspokoić swoją zawodową ciekawość. Zostałeś porwany w najbardziej niezwykły sposób, jaki zdarzyło mi się widzieć. Chciałbym przestudiować wszystkie szczegóły dla własnych potrzeb, na wypadek, gdybym kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji. Sukces porywaczy mógłby zachęcić kogoś do wykręcenia podobnego numeru jeszcze raz.

Karl wyglądał na bardzo zakłopotanego. Rozsiadł się w fotelu i objął kufel obiema dłońmi. Przycisnął go do kolana w nadziei, że ukryje jego wyraźnie dostrzegalne drżenie. Pozwoliłem mu myśleć, że mnie oszukał.

- Ale co mógłbym panu powiedzieć pożytecznego, panie Garrett?

- Wszystko. Od samego początku. Kiedy i jak cię złapali. Po kolei, aż do końca. Kiedy i jak cię wypuścili. Postaram się nie przerywać, chyba że przestanę nadażać. W porządku? - Pociągnąłem tęgi łyk - Całkiem dobre.

Karl kiwnął głową. On także pociągnął ze swojego kufła. Amber podeszła do tacy i stwierdziła, że Karl przyniósł również wino, choć nie raczył jej nic zaproponować.

- To się zaczęło pięć lub sześć dni temu - rozpoczął Junior. -Zgadza się, Amber?

- Nie patrz na mnie. Do tej pory o niczym bym nie wiedziała, gdybym nie zaczęła podsłuchiwać.

- Chyba sześć dni temu. Spędziłem wieczór z przyjacielem. -Pomyślał przez chwilę, zanim mi powiedział: - Knajpa pod Półksiężycem.

- To miejsce o złej sławie - podpowiedziała Amber, na wypadek, gdybym nie wiedział.

- Słyszałem o nim. Mów dalej. Złapali cię właśnie tam?

- Kiedy wychodziłem. Wracałem tyłem, żeby mnie nikt nie widział.

To nie wyglądało na zachowanie zawadiaki, jakiego miał opinię.

- Dlaczego się kryłeś? Myślałem, że to nie w twoim stylu.

- Żeby Domina o tym nie usłyszała. Myślała, że wyszedłem do pracy.

To mnie zaskoczyło.

- Powiadają, że kiedy wasza matka jest poza Kantardem, Domina trzyma wszystkich bardzo krótko. A jednak wy dwoje chyba chodzicie wszędzie, kiedy i gdzie wam się podoba.

- Nie kiedy nam się podoba - wtrąciła Amber. - Kiedy możemy. Courter i Domina nie mogą się roztrzącać.

- Myślałem, że pan nie będzie przerywał, panie Garrett.

- Oczywiście, oczywiście. Mów dalej, Ostatnio widzieli cię, jak wychodziłeś po kryjomu z domu Lettie Faren.

- Tak. Zatrzymałem się, żeby się z kimś pożegnać, tuż przy wyjściu, plecami zwrócony byłem do zewnątrz. Ktoś wsadził mi na głowę skórzany worek. Musiał być ściągany u góry sznurkiem, bo zanim zdążyłem krzyknąć, już mnie przydusili. Bałem się okropnie. Wiedziałem, że mnie mordują, a ja w żaden sposób nie mogę temu zapobiec. A potem straciłem przytomność. - Wzdrygnął się.

Odstawiłem mój kufel.

- Z kim się zegnałeś u wyjścia? - starałem się, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale on też nie był kompletnym głupcem. Nie odpowiedział. Spojrzałem mu wprost w oczy. Odwrócił wzrok.

- On nie chce w to wierzyć - szepnęła Amber. - W co?

- Że jego ulubiona ślicznotka siedzi w tym po uszy. Bo chyba musiała, prawda? To znaczy, musiała widzieć tego, kto się zbliżał zza jego pleców. Mam rację? A gdyby nie była w to wpłątana, miała czas, żeby go ostrzec!

- Rzeczywiście, warto byłoby wyjaśnić tu coś niecoś. Czy ta dama ma jakieś imię?

Amber spojrzała na Karla. Usiłował odgadnąć przyszłość z mętów w piwie. Może nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo złapał dzbanek z tacy i dolał sobie drugą porcję, mrużąc przy tym coś pod nosem.

Chwyciłem dzbanek w locie i poszedłem za jego przykładem.

- Kto to był?

- Powiedział, że miała na imię Donni Pell.

Minus jeden dla chłopaka. Mogła to powiedzieć w każdej chwili, ale czekała, aż sam będzie gotów wykrztusić prawdę. Karl zaczął robić z siebie typową kupę nieszczęścia.

- Nie mogę uwierzyć, że Donni była w to zamieszana. Znamy się cztery lata. Po prostu nie mogłaby...

Zachowałem dla siebie opinię o tym, co osoby typu Donni mogłyby zrobić dla pieniędzy, a czego nie.

- Dobrze. Idźmy dalej. Przydusili cię do utraty przytomności. Kiedy i gdzie się ocknąłeś?

- Nie jestem pewien. W nocy, gdzieś poza miastem. Tak mi się zdaje, sądząc po dźwiękach, jakie słyszałem. Miałem worek na głowie, związane ręce i nogi. Byłem chyba w jakimś zamkniętym wozie, choć nie jestem pewien. Ale to byłoby sensowne, prawda?

- Dla nich być może. Co dalej?

- Bardzo bolała mnie głowa.

- Nie dziwota, zawsze tak jest. Mów.

- Doprowadzili mnie tam, gdzie mnie wieźli. Był to jakiś opuszczony dom na farmie.

Zmusiłem go do podania dalszych szczegółów. Porywacze najłatwiej popełniają błędy w momencie przekazywania ofiary i okupu.

- Podnieśli mnie i wynieśli z powozu. Ktoś przeciął mi sznury wokół kostek. Wzięli mnie pod ramiona i poprowadzili do środka. Było ich co najmniej czterech. Może pięciu lub sześciu. Kiedy mnie wprowadzili, ktoś przeciął mi więzy na rękach. Jakieś drzwi zamknęły się za mną. Stałem tak dłuższy czas, zanim zdecydowałem się zdjąć z głowy worek.

Urwał, żeby zwilżyć sobie gardło. Kiedy już zaczął, postanowił skończyć. Jako dobrze wychowany piwosz, szedłem z nim łyk w łyk, choć nie pracowałem gardłem aż tak ciężko.

- Farma, mówisz? Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Dojdę do tego. W każdym razie zdjąłem z głowy worek. Byłem w pomieszczeniu dwanaście na dwanaście stóp, nie sprzątanym od wieków. Było tam kilka koców... wszystkie stare i brudne i śmierdzące... nigdy nie opróżniany nocnik, rozchwiane krzesło i mały stolik ze złamaną nogą.

Miał zamknięte oczy. Wyobrażał to sobie.

- Na stole stały naczynia z gliny: dzbanek i miska, z zardzewiałym metalowym czerpakiem do picia. Dzbanek był pęknięty i woda przeciekała do miski. Wypiłem od razu z kwartę. Potem podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Próbowałem wziąć się w garść. Byłem śmiertelnie przerażony. Nie wiedziałem, co się dzieje. Dopóki nie wróciłem tutaj i nie

dowiedziałem się, że Domina zapłaciła za mnie okup, byłem przekonany, że to jakiś polityczny przeciwnik matki porwał mnie, żeby ją zmusić do ustępstw.

- Opowiedz mi o oknie. Zdaje się, że to był ich wielki błąd.

- Raczej nie. Miało zamkniętą okiennicę, która została przybita gwoździami od zewnątrz. Dom był jednak bardzo stary i w okiennicy była dziura, przez którą mogłem wyrzeć. Jak się jednak okazało, to, co widziałem na zewnątrz, nie miało żadnego znaczenia.

- Jak to?

- Chodzi o sposób, w jaki mnie wypuścili. Po prostu odeszli i zostawili mnie tam. Zorientowałem się po tym, że przestali mnie karmić.

- Czy widziałeś któregoś z nich? -Nie.

- Więc jak dawali ci jeść?

- Kazali mi stawać twarzą do ściany, przynosili jedzenie i zabierali stary talerz.

- Czy wtedy mówili coś do ciebie?

- Jeden z nich. Ale tylko zza drzwi, i tylko tyle, że czas stanąć twarzą do ściany. Nieraz jednak słyszałem, jak rozmawiali między sobą. Niezbyt często. Nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

- Nawet o tym, jak wydadzą swoje udziały w łupie?

- W ogóle nie słyszałem ani słowa o pieniądzach. Dlatego właśnie uznałem, że ta cała sprawa ma charakter polityczny. I jeszcze to, że po wstępnym przyduszeniu przez cały czas obchodzili się ze mną bardzo ostrożnie. Nie spodziewałbym się tego w sytuacji, gdyby ktoś porywał mnie dla zysku.

- To nie jest w ich zwyczaju.

Wciąż miał przymknięte oczy. Myślami był w przeszłości. Chyba mnie nawet nie słyszał.

- Tej nocy słyszałem tylko jedną rzecz, która mogłaby stanowić jakąś wskazówkę. To było ostatniego popołudnia przed ich ucieczką. Ktoś przyszedł do nich i zawołał. "Hej, Skredli, dzisiaj wieczorem będzie po wszystkim". Ale nie usłyszałem o co chodzi.

- Skredli? Jesteś pewien? -Tak.

- Myślisz, że to nazwisko?

- Tak to wyglądało. A mogło to być nazwisko?

Jasne, że mogło. Skred to wilkołaczy odpowiednik naszego Smitha, tyle że występuje dwa razy częściej. Skredli można porównać ze Smitty. Zdaje się, że połowa wilkołaków na całym świecie nazywa się Skredli. To tyle, jeśli chodzi o szczęście w nieszczęściu.

Posiedzieliśmy nad tym przez chwilę, po czym podzieliliśmy między siebie resztę

zawartości dzbanka. Dobry to był napitek. Chciałbym, żeby coś takiego zdarzało mi się częściej. Z reguły jednak nie mogę sobie pozwolić nawet na to, żeby go chociaż powąchać.

- No to już jesteśmy prawie u końca drogi. Co się stało po tym, kiedy wywołali Skredliego?

- W zasadzie nic. O ile wiem, dla nich był to koniec całej sprawy.

Czekałem, aż rozwinie temat.

- Nie przynieśli mi kolacji. O północy byłem już tak głodny, że gotów byłem walić w drzwi i wrzeszczeć. To nic nie pomogło. Próbowałem spać. Trochę mi się udało, ale potem, kiedy nie było także śniadania, podniosłem się i naprawdę wściekłem. Waliłem w drzwi tak długo, aż je wyłamałem. A potem wystraszyłem się, że mnie pobiją i schowałem się pod kocami. Jednak nic się nie stało. Po jakimś czasie nabrałem odwagi na tyle, żeby wyrzeć na zewnątrz. Potem wysunąłem się i zacząłem szukać.

- Nie było ich?

- I to od dawna. Popiół w kuchni nawet nie był ciepły. Zjadłem trochę resztek, jakie po sobie zostawili. Kiedy zaspokoilem pierwszy głód, nabrałem nieco odwagi i zacząłem się rozglądać.

Karl urwał, zajrzał do kufła i zaklął, bo zobaczył dno, a na tacy nie pozostały już żadne rezerwy. A ja czekałem. Wreszcie się odezwał:

- Wtedy zorientowałem się, że to farma. Całkiem duże miejsce, zanim zostało opuszczone - podał mi wyczerpujący opis. Nie była to lepianka wieśniaka, ale i nie dwór dziedzica.

- Po jakimś czasie nabrałem więcej odwagi i ruszyłem śladami wozu w głąb lasu. Po jakiejś mili z kawałkiem natrafiłem na drogę. Przechodzący drwał powiedział mi, że to droga z Vorkuty do Lichfield, około trzech mil na zachód od pola bitwy.

Ciekawe. Karl został uwięziony w obrębie dwóch mil od miejsca, gdzie Amiranda dostała za swoje, a Saucerhead omal nie oberwał o jeden cios za wiele. Byłem tak zdumiony, że mógłbym chyba nawet zamrunąć.

- Więc po prostu poszedłeś do domu.

- Tak. Myślę, że doleję piwa do tego dzbanka. To trwa dłużej, niż sądziłem.

- Nie trzeba. Prawie skończyliśmy. Jeszcze tylko kilka pytań.

- Co pan o tym myśli? Czy to nie niezwykle porwanie?

- W pewnym sensie. Ale udało się i nie można powiedzieć, że nie poszło gładko.

- Nie wiem zbyt dużo o tych sprawach. Byłem tak okropnie przerażony, kiedy mi się to przytrafiło, że ani nie myślałem, ani nie rozważałem. Czy naprawdę było niezwykle?

Wysunął haczyk i chciał sprawdzić, czy nie uda mu się na nim wciągnąć w jakiś ciemny zakątek imienia swojej przyjaciółki

Donni Pell. Amber miała te samą nadzieję. Po raz pierwszy od pół godziny była czujna i niespokojna. Rozczarowałem oboje, ponieważ miałem własne pomysły i wołałem zachować Donni; dla siebie.

- Dwie szczególne cechy skaczą do oczu jak wilkołaki z pułapki. Jedna to ta, która martwi mnie najmniej, to znaczy, że zamknęli cię w pokoju, skąd mogłeś się wyrwać, ale ani cię nie związali, ani nie zasłonili ci oczu. To jednak można wyjaśnić na wiele sposobów. Nie, najważniejszym hakiem jest sposób, w jaki zachowała się Willa Dount. Przekazała kupę forsy łajdakom z krwi i kości nawet się nie starając sprawdzić, czy towar, za który płaci, jest w dobrym stanie. Zwyczajem kupującego jest żądanie dostawy do miejsca sprzedaży. W przeciwnym przypadku nie ma żadnej gwarancji, że porywacze pozostaną uczciwi.

Karl wymamrotał coś pod nosem, co brzmiało jak:

- Też się nad tym zastanawiałem.

Był w coraz gorszym humorze i zaczynał się niepokoić. Uznałem, że najwyższy czas na atak. Wypytałem go ostro o czas i rachuby, a kiedy zauważyłem, że Amber patrzy na mnie jakoś dziwnie, zaś Karl marszczy brwi, płacząc się w zeznaniach, uznałem, że przesadziłem.

- O co do diabła chodzi? Wykonuję tylko zawodowe ćwiczenie, a wy zachowujecie się, jakby to było na poważnie. Dzięki, Karl. Byłeś bardziej cierpliwy, niż byłbym ja, gdyby role się odwróciły.

- Czy to wszystko? - Znowu zaczął oglądać dno kufla.

- Tak. Dzięki. Wypij za mnie jednego i pomyśl o mnie coś dobrego, kiedy będziesz to robił.

- Jasne. - Wstał i wyszedł, przesyłając siostrze dziwne spojrzenie.

- Garrett, pod koniec zrobiłeś się bardzo natarczywy. Znalazłeś chociaż coś? - dopytywała się Amber.

- Chyba raczej nie. O ile nie przeoczyłem czegoś, co znajdowało się tuż pod moim nosem, to była to strata czasu.

- Więc po co traciłeś ten czas?

- Ponieważ nie wiedziałem, co może mi powiedzieć. Ponieważ nigdy nie wiadomo, jaki drobiazg może okazać się najważniejszą poszlaką. Dokładnie przepytalem go z synchronizacji akcji, ponieważ chcę ją znać na pamięć, kiedy usłyszymy, co ma do powiedzenia Amiranda. To pozwoli nam popatrzeć na wszystko oczami Dominy.

- Nie mogłam znaleźć Amirandy.

- Co?

- Nie wiem, gdzie jest. Nie odpowiadała na pukanie. Rozpytywałam, ale nikt jej nie widział. Wreszcie zakradłam się do jej pokoju. Nie było jej tam. Zniknęła też większość jej rzeczy.

Odegrałem - dość przekonująco, mam nadzieję - wielkie przedstawienie zaskoczenia i zadumy.

- Czy miała pokojówkę? Rozmawiałaś z nią? Co powiedziała?

- Rozmawiałam z nią. Nie wie nic, poza tym, że Amiranda zniknęła. Przynajmniej tak twierdzi.

- Cholera! To wywraca wszystko do góry nogami! - Wstałem i przeciągnąłem się.

- Co zrobimy?

- Zaczniemy z innego końca. Skubiesz, aż znajdziesz luźną nitkę. Ty dowiesz się możliwie najwięcej na temat roli Willi Dount. Jak, gdzie, a przede wszystkim kiedy zapłacono okup, ale także zwróć uwagę na wszelkie zdarzenia lub sytuacje, które wydarzą się niezwykle lub interesujące. Próbuju dalej odszukać Amirandę. Robiąc to staraj się jednak nie ściągać na siebie zbyt wiele uwagi. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, co robimy. Stawką jest dwieście tysięcy marek w złocie, a cena wciąż rośnie. Mój domowy geniusz twierdzi, że Glory Mooncalled wkrótce da o sobie znać.

Oczy jej zabłysły. Za każdym razem, kiedy Glory Mooncalled wkraczał do akcji, pozycja Venageti w Kantardzie słabła, Karentyńczycy rozkwitali, cena srebra spadała na łeb na szyję, a złota rosła w astronomicznym tempie.

- Z każdą minutą jesteśmy coraz bogatsi!

- Tylko w wyobraźni. Musimy najpierw znaleźć złoto. Ruszyła w moją stronę z wymownym błyskiem w oku, gotowa świętować.

- Co ty będziesz robił?

- Wszystko, co trzeba zrobić na zewnątrz. Szukał śladów. Pogadam z tą Donni.

- Jakżeby nie? Ale ja jestem o wiele ładniejsza, Garrett. I może równie utalentowana.

- Potem zjem kolację, pogadam z geniuszem i ruszę w drogę, żeby być jutro rano na farmie. Będę miał cały dzień na węszenie i szukanie śladów.

Znalazła się tak blisko, że omal mnie nie przewróciła. Moja cnota zaczęła zbierać się do wyjścia. Nagle Amber zeszywniała i cofnęła się.

- Co się stało?

- Właśnie przyszło mi do głowy coś okropnego. Matka może wrócić do domu w każdej chwili. Jeśli przed jej przyjazdem nie znajdziemy złota i nie zniknę stąd... - Odsunęła

się jeszcze dalej - Bierzmy się do roboty.

Biedne bogate maleństwo. Jakoś nie mogłem z siebie wykrzesać fali współczucia. Jeśli nie było jej wystarczająco źle, żeby uciekła w jednej koszuli, to wcale jej nie było źle.

Oczy zabłyśły jej nagle.

- Ale kiedy już to zrobimy, uważaj, Garrett!

Są granice, do których można kiwać ludzi i móc sobie jeszcze spojrzeć w oczy, ale są też granice, do których możesz kiwać sam siebie.

- Podziwiam twoją ufność. Jeśli je znajdziemy.

- Gdy je znajdziemy, Garrett.

- Dobrze. Kiedy je znajdziemy, uważaj, Amber! Wymieniliśmy idiotyczne uśmiechy.

- Czy mam wyjść tą samą drogą, którą wszedłem?

- Tak będzie najlepiej. Nie pozwól, żeby cię zobaczyła służba. I uważaj na dragonów.

Pocałowałem ją w sposób, który miał być oficjalnym przypieczętowaniem naszego paktu. Ona przemieniła go w obietnicę przyszłych rozkoszy. Wreszcie udało mi się oderwać się od niej i zwiać.

Byłem roztargniony. Tak właśnie działają na mnie małe wiedźmy. Zarzuciło mnie na zakręcie i omal nie staranowałem Karla Seniora i Dominy Dount.

Na szczęście oni także byli roztargnieni. Bardzo roztargnieni. Jeśli w ogóle kogoś zauważyli, prawdopodobnie uznali, że to jakiś zabłąkany sługa. Wycofałem się, aby rozważyć alternatywne marszruty.

Amber myliła się. Willa Dount nie zmroziłaby wody w wannie.

Teraz już wiedziałem, jakiego ma haka na Tatuśka. Może się przydać lub nie.

XV

Rozum nie pomógł mi wiele w poszukiwaniu innej drogi. W ciągu dwóch minut zorientowałem się, że zaraz się zgubię. Znalazłem miejsce, gdzie spoza zasłony mogłem widzieć świat prawdziwych ludzi. Rozpoznałem korytarz. Mogłem tylko wyjść i udawać, że jestem tu w uczciwych zamiarach.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie ruszyłem przez dziedziniec w stronę głównej bramy.

Od strony ulicy wszedł nagle puzaty Courter, zaczął mówić coś do strażnika, kiedy mnie zobaczył. Oczy mu wyszły na wierzch, gęba poczerwieniała i zaczął się nadymać jak królewska ropucha przed godami.

- Co pan tu u diabła robi?

- Do diabła, mógłbym cię o to samo zapytać. Trochę tu nie pasujesz, nie uważasz? Taki facet jak ty powinien siekać jarzyny...

Byłem dość blisko. Zamierzył się. Nie wiem dlaczego, ale nie ubiłem go na sztywną pianę. Złapałem tylko za nadgarstek i szedłem dalej, ciągnąc za sobą.

- Tsss. Powinniśmy być bardziej przyjaźnie nastawieni do lepszych od nas.

Puściłem go, kiedy wyszedłem na ulicę. On tymczasem ostygł. Cofnął się, klnąc pod nosem, a ja tymczasem rozglądałem się za tymi czterema błaznami, którzy otoczyli mnie, zanim wszedłem do pałacu. Zniknęli jak sen.

Miałem pecha, że pozwoliłem się tak złapać. Mogłem tylko mieć nadzieję, że to się jakoś wyrówna i nie wzbudzi afery w zamku. Amber poradzi sobie z Willą Dount, zwłaszcza mając przed oczami wizję złota, ale miałem pewne wątpliwości co do Juniora. Nie miał dość silnej motywacji, aby ukryć rozmowę ze mną.

Uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli natychmiast udam się do domu Lettie Faren.

XVI

Nie dotarłem tam tak szybko, jak planowałem, choć opóźnienie trwało tylko kilka sekund. Schodząc z Góry zauważyłem, że przyczepił się do mnie jakiś cień. Po krótkiej chwili stwierdziłem, że to mój kumpel Bruno z tawerny.

Czego on znowu chce ode mnie?

W pięć minut później wiedziałem już, że jest sam. Sprawa osobista. Zraniłem jego uczucia, więc czuł nieodpartą potrzebę, by odpłacić mi pięknym za nadobne.

Znalazłem odpowiednie do moich celów podwórze i wszedłem na nie. Wyszukałem kawałek cienia i ukryłem się. Bruno wparował w kilka sekund później, chyba chcąc skorzystać z mojej głupoty. Kiedy jednak znalazł się na miejscu, nie zobaczył nic. Zaczął kłąć.

- Nie zwalaj całej winy na bogów. Nic straconego. Tutaj jestem, Bruno. - Wyszedłem z cienia.

Był zbyt wściekły, by bawić się w grę wstępną. Cofnął podbródek i ruszył na mnie.

Ja także nie miałem nastroju do gry na ego. Przy pierwszym zamachu poklepałem go po nadgarstku moją rasowaną pałą i trzepnąłem w łokieć, tym samym zubażając go o władzę w jednym ramieniu. Pozwoliłem mu się pozbierać i dołożyłem kilka razy porządnie po durnej łepetynie, aż zwałił się na ziemię. Wtaszczyłem go w płamę cienia, żeby uliczne dzieciaki nie rozebrały faceta do naga, zanim dojdzie do siebie. Zastanawiałem się, czy doceni moją uprzejmość. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie jest aż tak beznadziejnie głupi, by zakończenie naszej drobnej sprzeczki było równoznaczne ze śmiercią jednego z nas.

Knajpa Lettie była wypełniona tłumem, który zwykle zjawiał się pomiędzy popołudniowymi dzentelmenami w interesach a nocnymi markami. Zbira w drzwiach minąłem bez kłopotów. Widocznie mnie nie znał.

Znalazłem Lettie na jej zwykłym miejscu, na zapleczu, gdzie liczyła zarobioną forszę. Była to groteskowo tłusta istota płci żeńskiej, krwi mieszanej, acz niemożliwej do zidentyfikowania. Truposz wyglądałby przy niej smukło, zwinnie i młodzieńczo.

- Garrett. Ty sukinsynu. Jak się tu u diabła dostałeś?

- Czarodziejskie stopy. Włożyłem magiczne buty i przyszedłem. Wyglądasz jak zwykle uroczo, Lettie.

- A ty jak zwykle masz łeb pełen wielbłądziego gówna. Czego u diabła chcesz?

Zrobiłem boleśnie urażoną minę.

- Dobra - warknęła. - Wynocha stąd.

Zabrzącałem monetami i pokazałem jej gębę dawno zmarłego króla na złotej dwumarkówce.

- Myślałem, że mottem tego domu jest "Klient, który płaci, zawsze zostaje obsłużony".

Złoto w tym czasie krzyczało w TunFaire wielkim głosem. Lettie zezem spojrzała na monetę.

- Czego chcesz?

- Nie: czego. Kogo. Nazywa się Donni Pell. Oczy Lettie zwięzły się, a wzrok stwardniał.

- Kurde. Chciałbyś. Nie możesz jej mieć.

- Wiem, że mnie nie lubisz i nigdy nie zostaniemy parką sklepikarzy, nie mówiąc o wspólnym wychowywaniu maleństw, ale odkąd to pozwalasz, aby osobiste uczucia wchodziły w drogę forsie?

- Ostatni raz zdarzyło mi się to, kiedy miałam trzynaście lat i byłam po uszy zakochana cielecą miłością. Ale nie o to chodzi. Nie mogę ci sprzedać towaru, którego nie mam na magazynie.

- Nie ma jej tutaj?

- Wreszcie do tego doszedłeś. Jeśli masz taki łeb, po co trzymasz w najlepszym pokoju tę kupę padliny?

- Sentymenty. Dzięki temu nie wychodzi na ulicę. Gdzie poszła Donni?

- Ale masz na nią ochotę, co?

- Muszę się z nią zobaczyć. Nie próbuj mnie zwodzić, Lettie. Masz pracowników, którzy powiedzą mi to samo za srebro.

- Cholerna ludzka natura. Zrobiłbyś to, nie? Daj mi chodź jeden dobry powód, żebym nie wezwała tu Leo. On już by ci przekręcił gębę tak, żebyś oglądał tył własnej głowy.

- Taki mały okruszek słońca. - Błysnąłem dwumarkówką.

- Zgoda. Wygrałeś, Garrett. Czego chcesz?

- Odeszła, więc dlaczego, jak, gdzie? A potem opowiedz mi o samej Donni Pell.

- Dlaczego? Dlatego, że dostała kupę forsę. Ta sama odpowiedź na pytanie "jak?". Przyszła tu trzy czy cztery dni temu i wykupiła swój kontrakt. Nie była zbyt mocno pogrążona. Podobno jakiś wujek na północy umarł i zostawił jej fortunę. Gówna prawda. Gdyby mnie kto pytał o zdanie, to złapała jakiegoś półgłówka z Góry. Miała na to styl, manieri i wygląd. Twierdziła, że wyjeżdża, żeby zarządzać domostwem wuja. Jeszcze

większe gównu prawda. Nie mogłaby wyżyć bez plutonów chłopa dookoła.

Po staremu uniosłem brew. Ona to lubi, ten mój stary trik. Używam go przy niej najczęściej jak mogę.

- Ta kobieta to był potwór, Garrett. Dziewięćdziesiąt procent na sto z nich nienawidzi mężczyzn. Ona uwielbiała swoją robotę. Gdybym jej nie sprzedawała, dawałaby za darmo.

- Pracująca dziewczyna, która lubi swoją robotę? Niezwykłe. Na pewno ściągała klientelę.

- Hordami. Chciałabym mieć ze setkę takich jak ona. Nawet, jeśli była zбочzona.

Poczęstowałem ją uniesieniem drugiej brwi.

- Wiesz, że w interesach trzeba być tolerancyjnym i wyrozumiałym, Garrett. Ale kiedy doskonale piękna młoda kobieta woli wilkołaki, to wykracza poza wszelkie zrozumienie i stawia tolerancję pod znakiem zapytania. Nawet samice wilkołaków nie chcą mieć z tymi łajdakami do czynienia. Wolałabym tu wpuścić wampira lub człowieka-wilka.

Rozpędziła się, więc pozwoliłem jej wyrzucić to z siebie, wyrzucić złość na obiekcie innym niż moja osoba. Tylko raz wtrąciłem:

- Istnieją seksualne mity. - Chciałem, żeby się upewnić, że wylała już cały jad.

- Pierdoły, Garrett. To wszystko pierdoły. Mówisz z ekspertem, Garrett - bredziła jak najęta.

Wreszcie się wypaliła. Położyłem przed nią dwumarkówkę.

- Zasłużyłaś sobie na nią tym kawałkiem o wilkołakach. Rzuć jeszcze coś takiego, a może zobaczysz więcej przodków królewskich.

Zmrużyła oczy.

- Chodzi o morderstwo, nie, Garrett? I cholernie dużego klienta. Znam to spojrzenie. Spojrzenie błędnego rycerza. Gnasz za czyjąś głową. Ty głupolu, ciągle grasz ze specami od mokrej roboty.

- Szukam dziwki nazwiskiem Donni Pell, która może powiedzieć mi coś, co chcę wiedzieć.

- Masz już wszystko, Garrett. Za resztę twojej forsy mogę dać ci co najwyżej buziaka na szczęście.

- Powiedz mi coś o niej. O jej rodzinie. Znasz je wszystkie. Jak długo tu była? Skąd pochodziła?

- Nie miała swoich. Umarli na zarazę cztery lata temu. Dlatego nie uwierzyłam w historię o wujku. Była tu przez trzy lata. Nieraz sprawiała więcej kłopotów, niż była warta za te sztuczki, które wyprawiała na swoich kogutkach. Sama opowiadała o sobie prawie same

kłamstwa, tak jak i pozostałe. Zwykle jednak wydobywam od nich prawdziwe dane, kiedy mają złą noc.

- Wiem o tym.

- Jej rodzina pochodziła ze wsi i miała dużą, własną farmę gdzieś w okolicy Lichfield.

- Trafiłbym tam jak po sznurku - mruknąłem. -Co?

- Nic takiego. Ta blaszka wygląda tam bardzo samotnie, nie uważasz? Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Donni?

- Wiesz już wszystko, Garrett. - Sięgnęła po monetę.

- A męska część Styxów? Dwaj Karlowie. Oczy jej zabłyśły.

- Ktoś zabił jednego z nich?

- Jeszcze nie. - Poczulem, że musi dostać kolejnego kopa, żeby zachować rozpęd. Pokazałem jej drugą monetę.

- Młody był jednym ze stałych klientów Donni. Zdaje się, że chyba go trochę lubiła. Traktował ją jak damę i nie wstydził się z nią pokazywać. Ojciec odwiedzał ją czasem, ale z nim to był czysty interes. Nie wiem, czy chcę jeszcze rozmawiać o tej rodzinie, Garrett. Ta kobieta to trucizna.

- Nie ma jej w mieście, Lettie.

- Wróci. Masz to, po co przyszedłeś. Wychodź. Wynoś się, zanim sobie przypomnę i zacznę wołać Leo.

Położyłem drugą złotą dwumarkówkę obok pierwszej.

- Chyba nie chcemy przerywać Leo drzemki, co?

- Wynocha, Garrett. I nie pokazuj tu więcej swojej paskudnej mordy, bo ci ją przefasonują.

Uwielbia mnie ta stara, tłusta Lettie.

XVII

Poszedłem do stajni i kuźni Kolesia i poprosiłem, żeby za kilka godzin przysłał mi do domu powóz wypchany wszelkim dostępnym u niego sprzętem. Spojrzał na mnie zezem, ale wiedział, że nie należy zadawać pytań. Mógłbym mu powiedzieć coś, czego nie chciałby wiedzieć.

Stary Dean myślał, że mnie przekupi. Wciąż nie odzywał, ale położył na stole najlepsze żarcie, jakie widziałem tu od miesiący. Uhonorowałem je należycie, więc kiedy poszedłem zobaczyć się z Truposzem, ledwie się turlałem.

Nie miałem nadziei na przyzwoity posiłek przez kilka najbliższych dni.

Garrett! Zwolnij natychmiast tego potwora. Wyrzuć go z mojego domu!

- Jak miło widzieć cię w normalnym, radosnym nastroju. Jakiego potwora? Dlaczego?

Tego Deana. Łajdak przyprowadził tu niejedną, nie dwie, ale trzy kobiety. Pozbądź się go, Garrett. Wyrzuć go

No właśnie. Znalazło się wyjaśnienie bajecznej kolacji. Dean chciał, żebym zobaczył, za czym powinienem tęsknić. Cóż, będziemy musieli sobie trochę porozmawiać, on i ja, jak mężczyzna z mężczyzną i wyjaśnić sobie pewne sprawy. Im szybciej, tym lepiej.

Usiadłem na moim gościnnym krześle, pociągnąłem parę łyków piwa i zacząłem mówić. Truposz dąsał się, udawał, że nie słucha, ale chłonał każde słowo. Musiał się czymś zająć i rozerwać w oczekiwaniu na następny ruch Glory'ego Mooncallea, który miałby potwierdzić jego hipotezę. Gadałem bez przerwy przez dwie godziny, a pocciwiec Dean pilnował tylko, żebym zawsze miał pełny kufel. Podobała mu się ta zabawna przygoda. Jego ciągle kręcenie się w tę i z powrotem świadczyło o tym, jak płytko sięgała uraza Truposza.

Zakończyłem swój raport, nie pomijając żadnego szczegółu.

Czegoś tu brakuje, Garrett.

- Wiem. Brakuje, albo wiem za dużo i to mnie rozprasza.

Nic cię nie rozprasza.

- Ciągle uważam, że stronę porywaczy mam rozpracowaną. Już trzy razy pod rząd uznałem, że Junior sam się porwał, a potem znowu okazuje się, że siedzę po tyłek w wilkołakach, które doskonale pasują do opisu czarnego charakteru. A jeśli chłopak sam się porwał, po co wrócił do domu? Wraz z siostrą tak bardzo chcą się stamtąd wydostać, że omal z portek nie wyskoczą. W taki sposób, jak się to odbyło, bez bezpośredniej wymiany, musiał jedynie zabrać złoto, odjechać i pozostawić mamuškę z ręką w nocniku.

Okup został zapłacony?

- Willa Dount wyskrobała dwieście kawałków i komuś je przekazała. Junior wrócił następnego dnia. Amber sprawdza to dla mnie. Ten robal, który mnie gryzie gdzieś głęboko, może okazać się tasiemką od majtek. Dlaczego Amiranda musiała umrzeć? Czy to było porwanie prawdziwe, czy fałszywe, z jej udziałem czy bez, dlaczego ją zabili?

Jestem pewien, że odkryjesz powód. Pozwoliłeś sobie na zaangażowanie emocjonalne. Znowu.

Widziałem już, jak wsiada na ulubionego konia, gotów jeździć mi po grzbiecie i nerwach. Minutę temu Dean poszedł otworzyć drzwi. Wstałem.

- Mój transport już przyjechał. Przemyśl to sobie dla zabicia czasu. Może zobaczysz związek, którego ja nie widzę.

Nie wątpiłem, że już zobaczył jeden lub dwa, ale nie raczył mi o nich powiedzieć. Żaden z nas nie włożył w to prawdziwych pieniędzy, a on nie był nawet zaangażowany emocjonalnie, więc czy zobaczył coś, czy nie, pozwolił mi przetrenować moje własne szare komórki.

Odwiedziłem zbrojownię. Nie jestem Saucerheadem, nie uważam, że ręce to moja najlepsza obrona. Wrzuciłem zawiniątko do bryczki, pod siedzenie, i już miałem ruszyć w drogę, kiedy z domu wyskoczył Dean, obładowany wielkim koszem.

- Panie Garrett, proszę poczekać!

- Co to takiego?

- Żywność. Wiktuały. Racje.

- Resztki?

- To także. Człowiek musi coś jeść. Co pan tam będzie robił? Cholera. Straszny ze mnie mieszczuch. Nie myślę o żarciu.

- Już miałem trochę poudawać Morleya i żyć przez parę dni korą i korzonkami, ale nie chcę urazić twoich uczuć, więc daj mi ten kosz. Zaparkuję go obok na siedzeniu i będę cierpiał.

Odprowadził mnie radosnym uśmiechem. Choćbym nie wiem jak długo siedział w tej dziczy, każdy kęs będzie mi przypominał o tym, że potrzebuję karmiciela i niańki, zaś żarcie jest najlepsze, jeśli zostało przyrządzone przez jedną z jego bratanic.

Ten facet jest opętany. Tylko tyle mogę powiedzieć. Pracuje dla mnie już tyle lat, że powinien wiedzieć, jaka za mnie partia. Żaden szanujący się wuj nie chciałby powierzyć mi swojej krewniaczki. On jednak jest niezmordowany.

Karenta jest królestwem w stanie wojny. Należałoby się spodziewać, że u wejścia do jednego z jej największych miast czekać powinny straże, na wypadek, gdyby jacyś

przedsiębiorczy Venageti zechcieli spróbować czegoś naprawdę zmyślnego. Ta wojna jednak trwa już od czasu, kiedy mój pradziadek nosił koszulę w zębach i rzadko wychodził poza Kantard i oblewające go morza. Strażnicy, jeśli nie śpią, zbyt są zajęci grą w karty, żeby wyjść i sprawdzić moją bonafides. Tylko nasi lordowie z Góry chcieliby, żeby zwyczajni ludzie dyszeli nienawiścią do wroga...

Znacznie łatwiej jednak dyszeć nienawiścią do Raver Styx i jej podobnych. Oni zawsze wychodzą z zyskiem, bez względu na wynik walki.

* * *

Jechałem drogą, której przedtem używali Saucerhead i Amiranda. Księżyc był teraz w pełni. Zaprzęg z godnością znosił nocną podróż, nawet ze mną na koźle, choć koński ród zawsze, odkąd pamiętał, darzył mnie serdeczną nienawiścią.

Była to spokojna, gładka jazda, gdzie nic nie było do oglądania. Jedynym zaprzęgiem, jaki minąłem, był nocny dyliżans z Derry, pół godziny przed czasem, który toczył się powoli z dwójką czy trójką sennych pasażerów i ładunkiem poczty. Strażnik i woźnica rzucili mi przyjazne pozdrowienie. Widać było, że nie czują się pewnie tej nocy.

Teoretycznie byłbym skłonny przypuszczać, że nawet na minutę nie powinienem zdejmować ręki ze srebrnego ostrza. Księżyc był w pełni. Jednak od czasu, kiedy wstąpiłem do Marines, nie odnotowano ani jednego potwierdzonego wypadku z człowiekiem-wilkim w tak niewielkiej odległości od miasta.

Kiedyś już rozwiązywałem sprawę morderstwa upozorowanego na robotę człowieka-wilka. Cholernie trudno jest tak załatwić starego, żeby cię nie skreślił z testamentu.

Dotarłem do skrzyżowania mniej więcej o tej samej porze co Saucerhead. Rozejrzałem się uważnie, stwierdzając, że księżyc na pewno świeci jaśniej niż ostatniej nocy. Nic nie zobaczyłem ani nie wyczułem, więc poluzowałem uprzęż koni, upewniłem się, że nie uciekną, wspiąłem się na siedzenie i uciałem sobie drzemkę.

Chyba chrapałem potężnie. Myślałem, że obudzi mnie pierwszy brzask, ale ten zaszczyt przypadł w udziale dziesięcioletniemu łobuziakowi, który potrząsnął moim ramieniem i zapytał:

- Czy wszystko w porządku, pszešana?

Policzyłem ręce, nogi i sakiewkę, stwierdziłem, że nie zostałem obrabowany, okaleczony ani zamordowany.

- W porządku, synu. Jeśli nie liczyć przypadku przedwczesnego uwiadu starczego.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie i zadał kilka typowo dziecięcych pytań. Starałem się

udzielać rozsądnych odpowiedzi i sarn też zapytałem go o kilka spraw. Szedł gdzieś pomagać komuś w pracy na farmie, ale pozwolił postawić sobie śniadanie. Widać z tego przykładu, jak łagodną sielanką jest w tej chwili okolica TunFaire, gdyż my, mieszcuchy, zapominamy o wsi. Żaden chłopak z miasta nie odważyłby się tak rozmawiać z obcym. Prawdziwe potwory mieszkają w mrocznych zakamarkach miasta, piwnicach i salonach.

Nie powiedział mi nic pożytecznego.

Działając zgodnie z zasadą, że pokusa czyni złodzieja, odprowadziłem bryczkę w stronę przeciwną do obszaru, który zamierzałem przeszukać. Upewniłem się, że bestie nie zaznają radochy, zwiewając gdzie pieprz rośnie, wróciłem do skrzyżowania i sprawdziłem, czy cały zaprzęg jest na pewno niewidoczny. A potem zacząłem przetrząsać krzaki.

Nietrudno było znaleźć miejsce, gdzie prowizorycznie wrzucono rannych i zabitych. Krzaki były połamane i zgniecione. Ciało usunięto, ale sprzątacze zapomnieli o tym, co z nich wyciekło. Potem przyszły i odeszły muchy i mrówki. Teraz każda plama krwi wyglądała jak szaroczarna lepka masa, dokładnie znacząca każdą kroplę i strużkę. Nic więcej się nie dowiedziałem, poza tym, że kupa ludzi porządnie się tu wykrwawiła.

Nie byłem lepszym tropicielem niż za czasów w Marines, ale nie trzeba było leśnego geniusza, żeby podążyć za obu śladami wiodącymi w głąb lasu. Pierwszy rozdział się po około pół mili, a większa grupa nagle odbiła na wschód. Wydawało się, że grupa czterech czy pięciu wilkołaków szło po śladach Saucerheada, ale potem zostali odwołani przez swoich kompanów. Drugi ślad prowadził wprost do lasu, na wschód od miejsca, w którym stałem.

Nie musiałem iść za śladem Saucerheada, żeby wiedzieć, dokąd trafił. Ruszyłem na wschód.

Po pięciuset jardach zatrzymałem się, oparłem kolanem o zwalone drzewo i kazałem mózgowi zabrać się do roboty. Wiedziałem, co zobaczę, jeśli pójdę jeszcze trochę dalej. Już teraz słyszałem brzęczenie much i dzikie psy, poszczekujące na sępy. Jeszcze parę kroków i poczuję to także nosem. Czy jednak muszę patrzeć?

W zasadzie nie miałem wyjścia. Była może jedna szansa na sto, że się mylę i że centralnym punktem tej upiornej fety jest martwy bizon. Jeśli miałem rację, istniała jedna szansa na dziesięć, że znajdę coś, co spowoduje objawienie. Ale nie mogę uciekać i iść na skróty. Szansę są zawsze przeciw tobie, dopóki nie wpadniesz na tę jedną z dziesięciu.

Jednakże trupy, leżące w lesie od kilku dni, naprawdę nie były zbyt wielką pokusą. Spędziłem kilka minut na oglądaniu pajęczyny, wciąż jeszcze ozdobionej perełkami rosy. A potem wziąłem się w garść i ruszyłem w stronę ciężkiego przypadku podrażnienia żołądka.

Pięć lat w Marines nie raz stawiało mnie oko w oko z nieświeżym nieboszczykiem, częściej nawet, niż chciałbym to pamiętać. Od tej pory samo życie dostarczyło mi kolejnych

takich smutnych spotkań, ale są rzeczy, do których po prostu nie mogę się przyzwyczaić. Nie pozwala mi na to świadomość własnej śmiertelności.

Konklawe nieboszczyków odbywało się u stóp wzgórka, na skraju otwartej, porośniętej trawą polany, szerokiej na dwadzieścia jardów i długiej na pięćdziesiąt. Z ziemi wystawały płyty omszałego granitu. Podniosłem około tuzina kawałków pasujących do ręki i zacząłem rzucać w psy. Uciekły, warcząc i szczerząc kły. Odnosiły się do ludzi z wielką ostrożnością, ponieważ łowcy nagród polowali na nie nieustannie, a zwłaszcza dzieciaki z farmy, które chciały zarobić kilka groszy na jarmarku.

Muszyska i sępy próbowały mnie wykołować. Ale ja nie blefowałem. Wzniosły się w powietrze i zaczęły krążyć cierpliwie w kółko, zaglądając w dół i myśląc: “Kiedyś i ciebie to czeka, człowieku”. W panteonie jednego z mniejszych kultów TunFaire sęp jest bogiem czasu.

Może dlatego tak nienawidzę tych drani. A może dlatego, że identyfikuję je z moją służbą wojskową, gdzie widziałem ich tyle krążących wokół pól, na których umierali za swój kraj młodzi Karentyńczycy.

Stałem tam, jak wielka człekokształtna mała, pan ziemi umarłaków. Zamiast jednak walić się w piersi i zmuszać do wdychania skażonego powietrza, stanąłem po nawietrznej i zacząłem szukać tego, po co tu przyszedłem. W kupie padliny nie było bizona.

“Powinienem był pamiętać o skłonności Saucerheada do przesady” mruknąłem.

Naliczyłem dość fragmentów, by ułożyć z nich przynajmniej siedem ciał. On mówił o czterech lub pięciu. Nawet porozrywane pozostały po wilkołacku brzydkie. Pochowano je płytko pod warstwą pyłu, liści i kamieni. Powiedziałbym, że niedbale, ale ja inaczej patrzę na kumpli niż wilkołaki. One nie czują więzi jak ludzie. Dla nich martwy wspólnik to ciężar, a nie powinność.

A poza tym chyba spieszili się, żeby opuścić to miejsce. Robię to, co muszę. Wszedłem w stertę padła i za pomocą kija zacząłem szukać osobistych drobiazgów, ale po chwili zorientowałem się, że wprawdzie żywi spieszili się trochę, ale nie na tyle, żeby nie ograbić trupów. Zdjęli im nawet buty.

Tak nie zachowuje się banda, która ma w perspektywie dużą forszę. Ale z wilkołakami nigdy nic nie wiadomo. Może ich matki wpajały im powiedzenie “Lepiej nosić niż się prosić”.

Okrążyłem cmentarzysko trzykrotnie, ale nie mogłem znaleźć innych śladów niż te, po których przyszedłem, i śladów drugiej grupy bliżej drogi.

Miejscami gleba była bardzo mokra od wód gruntowych. Takie miejsca długo

utrzymują tropy. Zacząłem je oglądać, usiłując wyodrębnić ślad faceta o kulach lub z przekreśloną stopą. Szukałem czegoś, co byłoby widoczne na pierwszy rzut oka, gdybym kiedyś przypadkiem stanął twarzą w twarz z bandą wilkołaków goszczącą któregoś z tych facetów. Nie spodziewałem się znaleźć czegokolwiek, ale szczęście nie zawsze sprzyja wyłącznie przeciwnikowi. Trzeba tylko szukać tego jednego na dziesięć.

Tak jak się spodziewałem, nie znalazłem niczego, ale niezupełnie dlatego, że nic nie było do znalezienia. Było to jedno z tych objawień, kiedy to nagle czujesz, że musisz szukać czego innego i zupełnie gdzie indziej.

W lesie za moimi plecami usłyszałem szelest. Niezbyt wyraźny. Pomyślałem sobie, że to któryś z psów nagle nabrał odwagi, obejrzałem się, zamierzając się kijem, którego jeszcze nie zdążyłem wyrzucić.

- Jasna cholera!

Na skraju lasu stał kosmaty mamut. Z mojego miejsca uznałem, że mógł mieć w łopatce ze trzy metry. Jak on mógł mnie podejść tak cicho, to przechodzi moje pojęcie, ale nie pytałem go o to. Kiedy przechylił łeb i mruknął, użyłem pięty i palców stóp zgodnie z boskim założeniem. Bestia posłała mi za plecami ryk jak sto trąb. Śmiał się ze mnie.

Zatrzymałem się za dębem o średnicy dobrych dwóch stóp

I przyjrzałem się. Mamut. Tutaj. Żaden mamut nie zbliżył się do TunFaire od ostatniego tuzina pokoleń. Najbliższe stada żyły na północy, wzdłuż granic krainy gromojaszczurów.

Mamut wytoczył się z lasu, wyśmiał mnie jeszcze raz i poskubał trawę w ilości kilku kęp naraz, wciąż zezując na mnie jednym ślepiem. Wreszcie chyba przekonał się, że nie jestem nieustraszonym łowcą mamutów, bo obrzucił wzrokiem sępy, obwąchał martwe wilkołaki, prychnął z niesmakiem i odmaszerował w głąb lasu równie cicho, jak się pojawił.

A ja jeszcze wczoraj wieczorem czułem się bezpieczny, ponieważ od czasu, gdy byłem dzieckiem, nie widziano tu człowieka-wilka!

Tak jak powiedziałem, szczęście nie zawsze trzyma z czarnymi charakterami.

Najwyższy czas przestać je kusić - tym jednym na dziesięć - i zawracać do bryczki, zanim konie zwęszą tego potwora i stwierdzą, że lepiej im będzie w mieście. Biedny Garrett musiałby wtedy wracać na piechotę.

Siedziałem na kozie bryczki, koło obelisku na środku skrzyżowania, i przyjmowałem defiladę rodzin farmerskich i oślich zaprzęgów w drodze do Derru Road. Nie widziałem ich. Usiłowałem dokonać wyboru pomiędzy farmą, na której więziono Karla Juniora, a wiedźmą Saucerheada.

Właściwie decyzję podjąłem już wcześniej. Siedziałem jak na pinezkach, ale wcale nie byłem przekonany, czy farmy nie wybrałem dlatego, by jeszcze na jakiś czas oszczędzić sobie bólu związanego z tym drugim miejscem. Inna sprawa, że w obu przypadkach musiałem jechać w tę samą stronę, a farma znajdowała się bliżej.

Nie zmieni się przeszłości, nie odwróci przypływu, nie wygra ze sobą poprzez poszukiwanie ukrytych motywów. I tak za każdym razem zaskakujesz sam siebie. I nikt nigdy nie wie dlaczego.

- Do diabła z tym. W drogę!

Jeden z koni odwrócił łeb i spojrział na mnie. Miał w ślepiach ten błysk. Końskie plemię będzie się teraz zabawiać kosztem Garretta.

Dlaczego one mi to robią? I konie, i kobiety. Nigdy nie zrozumieć żadnego z tych gatunków.

- Hej, szkapo, nawet o tym nie myśl. Mam kumpli w fabryce kleju. Wstawaj.

Wstały. W przeciwieństwie do kobiet, koniom można pokazać, kto tu jest szefem.

Ułamek sekundy wspomnień - i już rozgorzało we mnie na nowo pragnienie, aby dopaść ludzi odpowiedzialnych za ludzki odpowiednik posłania Amirandy do fabryki kleju.

Wyjazd z farmy znajdował się na skarpie, gdzie grunt był zbyt twardy, by zachować jakiegokolwiek ślady, i porośnięty roślinnością. Przejechałem tamtędy dwukrotnie. Za trzecim razem wysiadłem i poprowadziłem zaprzęg, uważnie przyglądając się zaroślom, i tym razem udało mi się. Dwa młode drzewka morwowe, które rosną szybciej niż perz, zasłaniały przejazd, ale za nimi droga była już łatwa, choć od odjazdu Donni nikt jej nie czyścił.

Musiałem przejechać około pół mili zaroślami, a nie milę, jak twierdził Junior. Las był tu gęsty, ciemny, cichy i wilgotny. Muchy i gzy tańczyły jak opętane, a co kilka kroków musiałem wycierać twarz z mokrych pajęczyn. Pocilem się, klepałem po ramionach, mamrotałem i wrywałem kolce ze spodni. Dlaczego nie wszyscy ludzie mieszkają w mieście?

Trafiłem na półko ogromnych, słodkich czarnych jagód i postanowiłem skosztować je na miejscu. Po pewnym czasie poczułem się lepiej usposobiony do wsi i lasu, dopóki Robale z krzaków nie zaczęły z kolei konsumować mojej osoby.

Ścieżka przez las wykazywała ślady niedawnego użycia, z przejazdem przynajmniej jednego ciężkiego pojazdu włącznie.

Miałem przecucie, że bez względu na nurtujące mnie podejrzenia, nie znajdę ani śladu dowodu, że wersja zdarzeń przedstawiona przez Juniora jest fałszywa.

Na skraju lasu trafiłem na łanię z młodym. Obserwowałem, jak w podskokach

przemierzają teren, który niegdyś był czymś *znacznie* więcej niż jednorodzinną farmą, choć teraz wszystko było porośnięte dzikimi różami i młodymi cedrami. Trawa sięgała mi do pasa, a niektóre kępy chwastów były nawet jeszcze wyższe. Wydeptana ścieżka prowadziła w dół zbocza do rudery, która niegdyś była okazałym domem. W zasięgu wzroku nie widziałem udomowionych zwierząt, psów czy dymu z kominów, ani żadnego innego śladu, że miejsce jest zamieszkane.

Pozostałem jednak jak przykuty do miejsca, czekając, aż dzicz uspokoi się po moim przybyciu.

Wzgórza Boga lśniły w oddali barwą indygo. Znajdują się tam najstynniejsze karentyńskie winnice. Ta kraina znajdowała się dość blisko, by udzieliło jej się nieco magii, jednak nikt nie pomyślał o tym, aby uprawiać tu winorośl. Ciekawe, czy komuś przyszło to do głowy, ale zrezygnował. Potem przypomniałem sobie Donni Pell.

Dość bogata dziewczyna, która chciała pracować dla Lettie, na kontrakcie, niby z tego powodu, że lubiła tę pracę. Teraz ta sama dziewczyna prawdopodobnie posiada majątek, który kilka lat temu był w wystarczająco dobrym stanie, by szybko sprzedać go zawsze żądnym ziemi lordom z TunFaire. Wątpiłem, by sprawa ta miała jakikolwiek związek z bieżącymi problemami, ale może ciekawe byłyby odpowiedzi na parę: dlaczego?

Dziesięć minut udawania, że czekam na kogoś, sprawiło, że miałem dość. Przywiązałem konie, pochyliłem się i zacząłem węszyć.

Teren był pusty jak stary but. Wróciłem do zaprzęgu, uwolniłem konie, żeby sobie poszczypały trawę, a sam powędrowałem dalej.

Raport Juniora był dokładny do najdrobniejszego szczegółu. Nie wspomniał jedynie o tym, że studnia była wciąż dobra, a jego porywacze wyposażyli ją nawet w nowy sznur i kubeł. Konie przyznały mi tymczasowy rozejm, kiedy je napoiłem.

Nie było wątpliwości, że banda wilkołaków - lub inna, równie niechlujna grupa - spędziła to kilka dni, kręcąc się po okolicy. W ciągu tego czasu musieli żywić się głównie drobiem, sądząc po ilości rozrzuconych wokoło łbów, łap i piór. Ciekaw byłem, jak udało im się ukraść taką ich liczbę, nie ściągając na siebie gromów z całej wsi.

Dokonałem spokojnych oględzin, poświęcając specjalną uwagę miejscu, gdzie zamknięty był Karl. Pomieszczenie wyposażono w rozchwiane meble, pęknięty dzban, brudne wyro i wspomniane, przepelniony nocnik. Ten nocnik był znaczącym elementem. Uznałem, że samo jego istnienie oznacza, iż muszę na dobre porzucić moje podejrzenia w stosunku do Juniora albo radykalnie zmienić ocenę jego inteligencji i zdolności działania. Jeśli zmajstrował tę scenografię, uczynił to z doskonałym wyczuciem realizmu i szczegółów, co

oznacza, że spodziewał się wrócić do domu cały i zdrowy, a to z kolei oznaczało, że...

Nie wiedziałem, co u licha miało to oznaczać, poza tym, że może miałem spodnie rozparkiem do tyłu.

Dlaczego Amiranda musiała umrzeć?

Odpowiedź na to pytanie prawdopodobnie wyjaśni wszelkie inne wątpliwości.

Świadom swojej tymczasowej powinności wobec Amber jako mojej klientki, przetrząsnąłem okolicę raz jeszcze z całą profesjonalną dokładnością, tak by niczego nie przeoczyć, czy byłby to ślad czterystufuntowego wilkołaka ze szpotawą nogą, czy też dwieście tysięcy złotych marek ukrytych w studni. Tak, tak. Rozebrałem się, zszedłem w dół i brodziłem w lodowatej wodzie, dopóki nie upewniłem się, że nie znajdę złotej bomby. Przeklinałem tak, że woda powinna była zawrzeć, ale nie zawrzała. Zdaje się, że po prostu nie mam drygu do tych rzeczy.

Cztery godziny i ryzyko zapalenia płuc dały w efekcie tylko jedną rzecz wartą wspomnienia, to znaczy srebrną monetę, która zapadła się pomiędzy kotami kurzu w miejscu, gdzie rzucono koce Juniora. Biedulka, nie zdołała sama znaleźć drogi do domu. Wyglądała na nową, ale nie miała królewskiej daty. Powinienem zatem odwiedzić świątynię, gdzie została wybita, żeby dowiedzieć się, kiedy ją wprowadzono do obiegu.

Sama jednak jej obecność podsunęła mi pewien pomysł. Poczulem niestrawność na myśl, że nie zadałem Juniorowi właściwych pytań, kiedy go miałem na patelni. Teraz będę musiał zdobyć odpowiedzi brutalniejszymi metodami- po drodze do domu. Metody może i były brutalne, ale odpowiedzi za to będą jasne i precyzyjne.

Słońce wędrowało ku zachodowi. Nie odbije się od tych wzgórz, na to nie ma szans. Miałem wizytę do odbębnienia, a jeśli chciałem to załatwić, zanim ludzie-wilki przyjdą zapolować na biednego mamuta, musiałem się ruszyć z miejsca.

Konie wciąż podtrzymywały rozejm. Nawet nie robiły numerów, kiedy podszedłem, żeby je zaprząć.

XVIII

Wskazówki Saucerheada, jak dotrzeć do jego przyjaciółki--wiedźmy, nie wspomniały ani słowem o notorycznym braku jakiegokolwiek drogi w pobliżu jej domu. W zasadzie nawet wszelkie podobieństwo do ścieżki było całkowicie przypadkowe. Było to terytorium wiedźmy z głębi lasu i każdy, kto zdołał się przedrzeć przez ten bałagan, zasługiwał na wszystko, co go spotkało.

Ja sam musiałem przejść ją na piechotę, prowadząc za sobą zaprzęg. Rozejm przetrwał jedynie dlatego, że konie wiedziały, iż będę im potrzebny w drodze powrotnej. Kiedy znowu wyjdziemy na równy trakt, wszelkie umowy szlag trafi.

Ostatnie kilkaset jardów nie było aż takie straszne. Podłoże się wyrównało, zarośla zniknęły. Jakby ktoś codziennie robił lasowi manikiur. Drzewa były wielkie i stare, a ich baldachim nad głową zatrzymywał większość światła zachodzącego słońca. Blask lampy, padający od uchylonych drzwi, dodał mi sił.

Czekała na mnie malutka, pulchniutka jak jabłuszko, dama o różowych policzkach. Miała może z metr trzydzieści wzrostu i wyglądała jak wiejska babunia w dzień chrzcina wnuka, z haftowanym fartuszkim włącznie. Otwarcie obejrzała mnie sobie od góry do dołu, ale nie mogłem stwierdzić, co pomyślała.

- Ty jesteś Garrett?

Wzięty z zaskoczenia, przyznałem się bez bicia.

- Długo się tutaj włokłeś. Skoro już jesteś, to równie dobrze możesz wejść do środka. Mam jeszcze trochę wody na herbatę i rogalik lub dwa, jeśli Shaggoth jeszcze się do nich nie dorwał. Shaggoth! Ty nicponiu! Wyłaż stamtąd i zajmij się końmi!

Już miałem zapytać, skąd wiedziała, że przyjadę, ale zaledwie zdołałem otworzyć jadaczkę, kiedy w drzwiach zaczął pojawiać się Shaggoth. I pojawiał się dalej. I jeszcze dalej. Drzwi były wysokie na siedem stóp, a to bydlę musiało przykucnąć, żeby się przez nie przecisnąć. Spojrzał na mnie tak, jak spojrzałbym na rozkładające się szczurze padło, prychnął i zaczął wyprzegać konie.

- Wchodź - zaprosiła mnie wiedźma.

Przemknąłem obok niej, nie spuszczać jednego oka z przyjaciela Shaggotha.

- Czy to troll? - wyskrzeczalem: -Tak.

- Ma szczęki jak szabrys tygrozęby. Tyżab szablo gry sty.... to cholerne warczące bydlę z kłami i pazurami.

Zachichotała.

- Shaggoth jest czystej krwi. Mieszka ze mną od dawna. - Wprowadziła mnie do kuchni, po czym do ogromnego kubka, który chętnie widziałbym wypełniony piwem, wrzuciła koszyczek z herbatą. - Reszta jego plemienia wyemigrowała, ponieważ ta ludzka zaraza zalała wszystko, ale on został. Lojalność przed rozsądkiem.

Powstrzymałem się od uwagi, że ona także była człowiekiem.

- To niezbyt bystra rasa. Chodź. Aha, czy zauważyłeś, że nie jest wrażliwy na światło? Nie. To do mnie nie dotarło. Widok zębów dotarł.

- Skąd znasz moje nazwisko? - Od razu było widać, że to wiedźma. - Skąd wiedziałaś, że przy... o, kurde!

Koło niewielkiego ogniska siedziała Amiranda. Dłonie miała złożone na kolanach, oczy wlepione w jakiś punkt ponad moim prawym ramieniem. Nie. To nie była Amiranda. Esencja Amirandy już dawno opuściła to ciało. Była to już tylko rzecz, a nie osoba.

Mniej by bolało, gdybym naprawdę tak myślał.

- Słucham? - Zerknąłem na wiedźmę.

- Mówiłam, że Waldo zapowiedział twój przyjazd. Spodziewałam się ciebie wcześniej.

- Kto to jest Waldo? Kolejny pupilek typu Shaggotha? I do tego przepowiada przyszłość?

- Waldo Tharpe. Powiedział mi, że jesteście przyjaciółmi.

- Waldo? - W moim chichocie musiała zabrzmieć nuta hysterii, bo spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami. - Nie wiedziałem, że ma imię. Nigdy nie słyszałem, żeby nazywali go inaczej niż: Saucerhead.

- Nie przepada za tym imieniem - przyznała. - Siadaj, pogadamy.

Usiadłem, zadumany.

- Więc Saucerhead nas wrobił. Ten wielki dupek nie jest aż taki głupi, na jakiego wygląda.

Nie mogłem powstrzymać się od ciągłego zerkania na nieboszczkę. Wyglądała jak żywa, całkiem nieuszkodzona. Już za chwilę pierś uniesie się oddechem, iskierki powrócą do oczu. Będzie się śmiała, że tak się dałem nabrać.

Wiedźma usiadła na krześle naprzeciwko mnie.

- Waldo mówił, że masz jakieś pytania. - Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem. - Trochę nad nią popracowałam. Poprawiłam jej urodę, nałożyłam czar, który powstrzyma rozkład, dopóki nie będzie można urządzić jej przyzwoitego pogrzebu.

- Dziękuję.

- Pytania, Garrett! Zadałam sobie sporo trudu z powodu Waldo. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Cokolwiek. Chcę wiedzieć, dlaczego ją zabito i z czyjego polecenia.

- Nie jestem wszystkowiedząca, Garrett. Nie potrafię odpowiedzieć na takie pytania.

Chociaż mogę przypuszczać... a i to może okazać się nic pewnego w obliczu posiadanych przez ciebie informacji... mogą domyślać się dlaczego. Była w trzecim miesiącu ciąży.

- Co? To niemożliwe.

- Gdyby dziecko się urodziło, byłby to chłopiec.

- Ależ ona spędziła pół roku praktycznie uwięziona w domu, w którym mieszkała.

- A co, nie było tam mężczyzn? A może to było cudowne poczęcie?

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale zamiast protestu wyskoczyło pytanie:

- Kto jest ojcem?

- Nie jestem czarownicą, Garrett. To nazwisko, jeśli je znała, umarło wraz z nią.

- Znała je. Nie była z tych, które nie znają... - Znowu zacząłem się gotować z wściekłości.

- Znałeś ją? Waldo nie znał. Wiedział tylko, jak ma na imię, i że to ty ją do niego przysłałeś.

- Znałem ją. Nie za dobrze, ale znałem.

- Opowiedz mi o niej.

Opowiedziałem. Ból trochę zelżał, kiedy pojawiła się żywa w moich słowach.

- Potrafisz coś z tego zrozumieć? - zapytałem, kiedy skończyłem.

- Tylko tyle, że stąpasz po śliskiej drodze. Rodzina Strażniczki, no, no. Czy Waldo powiedział ci, że mordercy byli spokrewnieni z wilkołakami?

-Tak.

- Niech będą przeklęte te bestie. Waldo pobił ich, ale za mało. Wysłałam Shaggotha, żeby ich poszukał. Znalazł tylko groby. Na ciałach nie było niczego, co mogłoby ich zdradzić.

- Wiem. Sam ich oglądałem. Powiedz Shaggothowi, żeby uważał na siebie w lesie. Jest tam coś większego niż on.

- Chyba żartujesz!

- Chyba. Kiedy oglądałem te trupy, zaszedł mnie od tyłu jakiś mamut.

- Mamut! W biały dzień, tutaj? To rzeczywiście niezwykle. -Wstała i podeszła do szafki, a ja popijałem herbatę. - Od wyjazdu Waldo zastanawiam się nad twoją sytuacją. Wydawało mi się... i dalej mi się wydaje, teraz, kiedy wiem, kim ona jest... że najlepiej ci pomogę, ofiarowując parę zakłęb, którymi będziesz mógł zaskoczyć przeciwnika.

Spojrzałem na szczątki Amirandy.

- Doceniam to. Zastanawiam się tylko, dlaczego miałabyś się w to angażować.

-Dla Waldo. Dla tej kobiety. Może i dla ciebie, chłopcze. Może dla siebie. A już na pewno w imię sprawiedliwości. W każdym razie był to okrutny czyn i należy odplacić zań monetą równie nikczemną. Odpowiedzialny za to człowiek powinien zostać... Ale herbata ci stygnie. Postawię jeszcze jeden czajnik wody.

Dostałem świeżej herbaty, tym razem z hartowanymi w ogniu klockami, które musiały być wcześniej wspomnianymi rogalikami. Spróbowałem. Gospodyni należy okazywać jak najdalej posuniętą uprzejmość, zwłaszcza gdy jest wiedźmą.

Shaggoth wsadził głowę do izby i wybulgotał coś, co w jego dialekcie podejrzenie przypominało: "A kto zezarł moje rogaliki?", i spojrzał na mnie zwięzonymi oczami, kiedy wiedźma odpowiedziała:

- Nie zwracaj na niego uwagi. On tylko chce sobie pożartować. Aha. Jak mangusta żartuje sobie z kobrą.

Usiadła znowu i wyjaśniła mi, jak korzystać ze sztuczek, które dla mnie przygotowała. Kiedy skończyła, podziękowałem jej i wstałem.

- Jeśli Shaggoth mógłby mi pomóc, nie łamięc w żartach paru moich kości, to chyba już sobie pójdę.

Z początku wydawała się oburzona, potem górę wzięło rozbawienie.

- Zbyt wielu historii się nasłuchałeś o wiedźmach, Garrett. Będiesz bezpieczniejszy tutaj niż pod księżycem. Shaggoth jest najmniej złośliwym stworzeniem spośród tych, które jeszcze nie wyemigrowały. Pomyśl o księżycu. Pomyśl o niej.

Ci, którzy przeżywają w tym biznesie, mają doskonale rozwinięty instynkt, kiedy można się sprzeciwiać, a kiedy nie. Spryciarze wykoncypowali sobie, że nie należy się kłócić ze strażnikami burz, wojownikami, czarownikami i wiedźmami. Miejsce dla zastrzeżeń znajduje się dokładnie tuż poza linią zębów.

- Doskonale. Gdzie będę spał?

- Tu, przy ogniu. W lesie noc bywa zimna. Spojrzałem na to, co pozostało z Amirandy Crest.

- Garrett, ona nie wstanie, żeby spacerować przy księżycu. Ma to już za sobą.

Kiedyś spałem dość często w towarzystwie trupów, zwłaszcza wtedy, gdy byłem w Marines, ale niespecjalnie to lubiłem, a już na pewno nigdy nie dzieliłem kwatery z martwą kochanką. Wcale mi się to nie podobało.

- Shaggoth wstanie o świcie i pomoże ci załadować ją do bryczki.

Obrzuciłem wzrokiem ciało i pomyślałem sobie, że to będzie długa i ciężka droga do domu. A kiedy już się tam znajdę, będę musiał zadać sobie poważne pytanie: co z nią dalej robić?

- Dobranoc, panie Garrett. - Wiedźma okrążyła pokój, zdmuchując świece i zbierając zastawę do herbaty, którą zaraz zaniósła do kuchni. Słyszałem, jak szczęka naczyńmi, zostawiając mnie samemu sobie. Zacząłem się zastanawiać, do czego służą jaja, jeśli się z nich nie korzysta, po czym złożyłem na kupę kilka poduszek i wałków, zastanawiając się, czy to już łóżko, czy jeszcze nie.

Dorzuciłem do ognia kilka kawałków drewna i położyłem się. Gapiłem się w sufit jeszcze długo po tym, jak szczękanie naczyń w kuchni ucichło i zgasło światło. Migotanie ognia sprawiało, że wciąż wydawało mi się, iż Amiranda porusza się tuż poza zasięgiem mojego wzroku. Przemyślałem sobie wszystko od początku. A potem jeszcze raz. Gdzieś tu krył się jakiś malutki, uporczywy szczegółik, który w połączeniu z monetą z farmy powodował, że znowu stałem się cholernie podejrzliwy wobec Juniora.

Nieraz intuicja wcale nie jest intuicją, tylko podświadomą pamięcią.

Wreszcie go miałem. Buty, które Willa Dount pokazała mi, kiedy po raz pierwszy znalazłem się na Górze.

Buty. Należało poświęcić im dużo uwagi, i to pod każdym względem.

W międzyczasie jednak musiałem odpocząć. Jutro będzie kolejnym w serii, długim i trudnym dniem.

XIX

Śniadanie z Shaggothem było ciekawym przeżyciem. Ależ on jadł! Trójka takich mogłaby wpędzić w głód całe narody. Nic dziwnego, że ten gatunek jest taki rzadki. Gdyby było ich tylu co nas, musieliby nauczyć się żreć kamienie, bo nic innego już by nie zostało.

Przyprowadził bryczkę przed front domu i zaczął zaprzęgać konie z łatwością, której mu pozazdrościłem. Te cholerne bestie potulnie i chętnie podreptały na miejsce i stały tam, chichocząc, bo wiedziały, że będę na nie wściekły za to szybkie ustępstwo.

Niech szlag trafi całe końskie plemię!

Wiedźma wyszła z domu, niosąc zapakowany lunch. Podziękowałem jej za trud, i za gościnność i za całą resztę. Jeszcze raz powtórzyliśmy instrukcje, jak używać zaklęć, które mi dała. Instrukcje te były mniej więcej tak samo skomplikowane jak instrukcja rzucania kamieniem. Specjaliści jednak zawsze uważają, że niewtajemniczeni nie poradzą sobie bez pomocy technicznej.

Jeszcze raz zaproponowałem jej zapłatę za pomoc.

- Nie zaczynaj, Garrett. Pozwól mi dokonać tej odrobinki sprawiedliwości. Gdzieś tam jest ktoś o duszy głodnego krokodyla

Ktoś, kto rozkazał zamordować ciężarną kobietę. Znajdź go. Wyrównaj rachunki. Jeśli z jakiegoś powodu uznasz, że sam nie dasz mu rady, przyjdź tu znowu.

Na swój cichy sposób była wściekła o Amirandę. A przecież nawet nie знаła tej dziewczyny. To ciekawe, jak wielu sprzymierzeńców Amiranda znalazła tylko dlatego, że dała się zamordować. Szkoda, że nie miała przy sobie żadnego z nich, kiedy ich najbardziej potrzebowała, choć Saucerhead naprawdę zrobił, co mógł.

Nie kłóciłem się więcej.

- Dam ci znać, jak sprawy się potoczyły. Dzięki za wszystko. - Wymieniłem ponure spojrzenia z końmi i zrobiłem odpowiednio groźną minę, żeby uwierzyły w ten blef.

- Uważaj na siebie, Garrett. Grasz z bandą twardzieli.

- Wiem. Oni też.

- Prawdopodobnie wiedzą, kim jesteś, i mogą domyślać się, że węszysz. Ty za to nie wiesz, kim oni są.

- Mam praktykę w paranoi nabytej. - Wskoczyłem na siedzenie, obejrzałem się na tłumok, który zabierałem do domu, i pognałem konie. Dobry stary Shaggoth podreptał przed zaprzęgiem, prowadząc nas przez las - skrótem, którego ja sam nie zauważyłem, jadąc w tę

stronę. Bestie ciągle się oglądały, milcząco oskarżając mnie o tchórzostwo.

Zacząłem od pierwszej farmy za drogą wiodącą do miejsca, w którym przetrzymywano Juniora. Nie, nikt nie widział młodego człowieka idącego piechotą w tym dniu, kiedy Karl miał wrócić do domu. Na pewno nikt, żadnej rasy, nie przyszedł wynająć ani kupić żadnej bryczki czy konia.

To właśnie spodziewałem się usłyszeć. Nie zrobiłby tego tak blisko, ale należało sprawdzić wszystkie możliwości. Przyszedł czas roboty durnia, szukania igły w stogu siana. Nie miałem nic konkretnego, co mogłoby potwierdzić lub obalić moje podejrzenia.

Dom po domu dostawałem wciąż tę samą odpowiedź. Niektórzy odpowiadali chętnie, inni mniej, jak to ludzie, ale końcowy wynik był zawsze ten sam. Nikt nie wyżebrał, nie kupił, nie pożyczył, nie wynajął ani nie ukradł żadnego środka transportu. Czas obiadu nadszedł i minął, a ja zacząłem rozważać kolejną przebudowę moich hipotez.

Może Karl Junior rzeczywiście szedł piechotą. Na bosaka. A może ktoś go podwiózł, albo udało mu się złapać któryś z dziennych dyliżansów jadących do miasta. A może wilkołaki pozostawiły mu jakiś sposób, żeby się dostał do domu.

To wydawało się z kolei cholernie nieprawdopodobne. Pójście na piechotę, łapanie okazji, zatrzymywanie dyliżansu także przedstawiały pewne trudności związane z charakterem i oczywistą łatwością wykrycia. Woźnica z reguły pamięta ludzi, których zabierał po drodze.

Jednakże łapanie okazji wydawało się najlepszym i najbardziej logicznym wyjściem. Ja sam właśnie tak udawałbym się do miasta. Wątpiłem jednak, by zepsute dziecko Góry pomyślało o tym, żeby odwoływać się do litości obcych ludzi.

Jeśli jednak dotarł do domu właśnie w ten sposób, moje szansę na odkrycie tego, kto mu pomógł, były jeszcze mniejsze niż przyjmując obecną, najbardziej przeze mnie faworyzowaną hipotezę. Robiłem zatem dalej to, co zacząłem. Uznałem, że gdyby ktoś go podwiózł, na pewno on sam wspomniałby o tym. Bardzo ostrożnie udzielał informacji o tego rodzaju szczegółach.

Teraz miałem już prawie pewność, że Junior maczał paluchy w swoim własnym porwaniu. Musiałem uważać, żeby nie przekonać się o tym do tego stopnia, że zaczęę odrzucać wszelkie dowody świadczące przeciwko tej hipotezie.

Ten widok przeniósł mnie na chwilę w moją wojenną przeszłość. Farmer, jego synowie i kilku innych szli przez pole szeregiem, rytmicznie wymachując kosami. Wyglądali, jak ostrożnie posuwający się strzelcy. Zatrzymałem konie i przez chwilę przyglądałem się w milczeniu. Zauważyli mnie, ale udawali coś wręcz przeciwnego. Ojcowie rodzin spojrzeli w

zasnute chmurzyskami niebo i zdecydowali, że będą kosić dalej.

XX

Doskonale. Rozegram to na ich nutę.

Wysiadłem, podszedłem do skraju pola, tam gdzie siano było już skoszone - tylko po to, żeby pokazać, jaki jestem ostrożny i zbliżyłem się do tłumu od flanki. Kobiety i dzieciaki, grabiące siano i ładujące je na grzbiety kilku żałosnych osłów, były o wiele bardziej ciekawe od mężczyzn. Przechodząc, rzuciłem im krótkie powitanie i nic więcej. Cokolwiek innego mogłoby zostać uznane przez panów małżonków za ordynarną próbę podrywu.

Zaparkowałem się w sporej odległości od faceta, który wyglądał na przywódcę tej bandy goryli, i jeszcze raz się przywitałem.

Burknął coś i dalej machał kosą, co mi wcale nie przeszkadzało. Spróbowałem być uprzejmy.

- Mógłbyś mi pomóc?

Tym razem pomruk był aż ciężki od powątpiewania.

- Szukam mężczyzny, który przechodził tędy trzy lub cztery dni temu. Mógł szukać konia do wynajęcia lub kupienia.

- Dlaczego?

- Dla tego, co zrobił mojej kobiecie.

Rytmicznie odwrócił głowę i posłał mi spojrzenie, które mówiło, że powinienem się wstydzić zebrania o pomoc, skoro nie mam w sobie na tyle męskości, by upilnować własną kobietę.

- Zabił ją. Dowiedziałem się o tym wczoraj. Mam ją tu, w bryczce. Zabieram ją do swoich. Potem chcę znaleźć tego typu.

Farmer przestał wymachiwać kosą. Spojrzał na mnie przez zmrużone powieki, oczami, które widziały już zbyt wiele wschodów i zachodów słońca. Inne kosy także przestały pracować i kosiarze oparli się na nich dokładnie tak samo, jak żołnierze opierają się na swoich włóczniach. Kobiety i dzieci przestały grabić i ładować. Wszyscy gapili się na mnie.

Farmer lakonicznie skinął głową, delikatnie odłożył kosę i podszedł do bryczki. Przechylił się przez poręcz i zajrzał pod derkę okrywającą Amirandę.

- Ładna dziewczuszka.

- Była. I maleństwo w drodze.

- Na to wygląda. Wadiów, chodź no tu!

Podszedł do nas jeden ze starszych farmerów. Postawił kosę oparł się na niej.

Wydawał się jeszcze bardziej lakoniczny niż jego szef.

- Kiedy sprzedałeś tę kulawą kobyłę tamtemu cwaniaczkowi z miasta?

Drugi farmer popatrzył w niebo, jakby spodziewał się znaleźć tam wypisaną odpowiedź.

- Pięć dni dzisiaj będzie. Koło południa. - Spojrzał na mnie jakby się obawiał, że zażądam zwrotu pieniędzy.

Wiedziałem już to, co chciałem wiedzieć, ale musiałem grać dalej.

- Nie mówił, dokąd jedzie?

Wadiów spojrzał na mojego towarzysza, a ten powiedział tylko:

- Masz mówić mu wszystko, co chce wiedzieć.

- Powiedział, że jedzie do miasta. Że ukradli mu konia. Nie mówił nic więcej.

- Mam nadzieję, że go dobrze obejrzałeś. Miał buty? - To było ostatnie, niezbyt pasujące do reszty pytanie, ale musiałem je zadać. Była to jedna z ostatnich rzeczy, jakich chciałem się dowiedzieć. Może jeszcze poza jednym: - Czy był sam?

- Nie miał butów - odpowiedział Wadiów. - Trzewiki. Eleganckie trzewiki bogatego chłopaka. Tu nie wytrzymałyby nawet tygodnia. I był zupełnie sam.

- To chyba wszystko - odpowiedziałem.

- Wiesz wszystko, co chciałeś? - zapytał starszy farmer.

- Przynajmniej domyślałem się, gdzie szukać. - To była prawda. - Bardzo dziękuję - Spojrzałem na niebo. - Jeszcze raz dziękuję.

Odwrociłem się, żeby odejść.

- Powodzenia. Była śliczna.

Ramiona mi zadrżały i ugiąłem się pod nagłym przyplywem uczucia. Uniosłem rękę i odszedłem. Miałem męską robotę do zrobienia. Ci farmerzy rozumieli mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Może z wyjątkiem Saucerheada Tharpe.

Zanim dotarłem do bryczki, strzelcy podjęli na nowo swoją kampanię, a kobiety i dzieci wróciły do pracy. Może przy kolacji znajdą czas, żeby o mnie pogadać.

XXI

Kiedy dotarłem do miasta, było już późno, ale promień światła wciąż jeszcze utrzymywał się na niebie. Rozpętałem burzę mózgow. Było jeszcze trochę za wcześnie na wyciąganie wniosków, ale kto wie, może coś się ruszy.

Posadziłem ciało Amirandy obok siebie. Czar wiedźmy robił swoje, migotliwe światło też. Może ktoś, kto wie, że dziewczyna nie żyje, zobaczy ją i pomyśli, że chybił.

W tym celu wykonałem kilka ostrożnych podjazdów pod kranie Dzielnicy Wilkołaków, a potem okrążyłem dom Lettie Faren, znieważ właśnie tu większość panów Bruno z Góry przepuszcza-a swój zarobek.

Zarobek za grzech, który wydzierają im oszustwem.

Potem skierowałem się do domu, podjeżdżając z tyłu, żeby nikt nie widział, jak wnoszę ciało.

Dean był na nogach mimo późnej godziny. Przytrzymał mi drzwi i rozdziawił gębę.

- Co jej się stało, panie Garrett? Nie byłem w najlepszym nastroju.

- Nie żyje. To jej się stało. Zamordowana.

Zająknął się, przeprosił, jękał się jeszcze przez chwile, więc i ja także przeprosiłem i dodałem:

- Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że była w ciąży. Może za dużo wiedziała. Zabierzmy ją do jego kościści. Może on coś z tego wywnioskuje.

Truposz nie zawsze jest taki twardy i niewrażliwy, jak czasami udaje. Odczytał mój nastrój i zaoszczędził mi zwykłej gadaniny.

To ta, która spędziła tu noc.

Po raz pierwszy przyznał, że wie coś na ten temat.

-Ta sama. Pozwól, że ci opowiem, dopóki jestem w odpowiednim nastroju.

Pozwolił mi opowiadać do momentu, kiedy ją tu przywiozłem. Dean nalewał mi kufel za kuflem, i między jednym a drugim stał z boku troskliwy jak niańka. Wiedziałem, że odstawiłem kawał dobrej roboty w opowiadaniu i w węszeniu, ponieważ Truposz nie przerwał mi ani razu, a jedyne pytanie, jakie zadał potem, dotyczyło mamuta. Zwykła, osobista ciekawość.

Garrett, wiesz co, niech to przemyśle. A ty idź się upij. Dean, pilnuj go.

- Pilnować? MNIE? Dlaczego?

Zaczynasz skłaniać się ku donkiszoterii. W takim nastroju stajesz się nierozsądny i niemądry. Radzę ci, pohamuj się trochę. Informacje, które zebrałeś, to kupa zbiegów

okoliczności i trudno na tej podstawie wskazać kogoś palcem. Jutro zaproponuję ci parę ruchów, które być może dostarczą bardziej konkretnych dowodów.

- Bardziej konkretnych? Dla mnie to i tak za dużo.

Zamierzasz skierować oskarżenia na pupilka i syna Strażniczki Raver Styx na podstawie pary butów i starej kobyły? Wiesz przecież, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż będzie go osłaniała, nawet gdyby go przyłapano na wrywaniu serc niemowlętom na środku ulicy! A poza tym może wybrałeś złego czarnego typa na obiekt swego gniewu.

- No to kto inny?

Właśnie to musisz odkryć. Istnieje rozsądne prawdopodobieństwo, wierzę w to, że młody daPena i ta kobieta byli uwikłani w zaaranżowane porwanie. Ale to nie jest żadna pewność. Jeden zwyczajny fakt może roznieść w puch wszystkie dowody, jakie zebrałeś na niekorzyść młodego Karla.

- I znowu bawisz się w łamigłówki z moją głową. Jak zatem to wszystko wyjaśnisz?

Dwa tysiące marek w złocie. Być może okup tej wysokości byłby w stanie obudzić litość w bestii nawet tak odrażającej jak wilkołak. Może nie widzieli powodu, żeby ogołocić swoją ofiarę z zaskórniaków.

Cholera. On może mieć rację. Ten problem miał jedną wadę zamiast za mało było w nim za wiele odpowiedzi.

- Nie wierzę w to - powtórzyłem z uporem.

No więc zabierz ten problem ze sobą i pomyśl o nim nad kolejnymi kuflami. Co stało się ze złotem?

-He?

O ile wiesz, złotem zapłacono okup. Mam rację? Mówi o tym bezpośrednio stwierdzenie kobiety Amber, a także pośrednie informacje od innych osób. Wszyscy młodzi ludzie chcieli się wydostać z domu Strażniczki. Ale młodszy daPena powrócił. Czy zrobiłby to, gdyby to on otrzymał złoto? A może uciekłby? Prawdopodobnie będziesz musiał rozważyć ten problem od strony pieniędzy. A może od strony tej rozrywkowej dziewczyny, Donni Pell, która dla mnie wygląda na osobę łączącą ludzi z wilkołaczą społecznością.

Tym razem powiedziałem to na głos:

- Cholera!

Obdarzył mnie porcją mentalnego hałasu, który służył mu za chichot.

Wróć rano, Garrett. Zaproponuję ci pewne ciekawe podejście. Już chciałem wyjść, ale zatrzymało mnie to, co niegdyś było Amirandą, a raczej pusty wzrok tego czegoś.

- A co z tym?

Zostaw ją. Razem będzie nam dobrze.

- A to co? Czy oprócz geniusza rozumowania jesteś także nekrofilem? A może chowasz pewne swoje zalety pod kocem?

Nie. Mówiłem w przenośni. Wynoś się, Garrett. Nawet moja nieograniczona tolerancja okazuje się mieć granice, a ty właśnie do nich dotarłeś.

XXII

Wyszedłem i na smutno wlałem w siebie kilka galonów piwa. Wierny wydanym rozkazom Dean kręcił się w pobliżu i, kiedy nadszedł czas, zmiotł resztki mojej smętnej osoby na łóżko. Niech cholera weźmie tego Truposza. Czemu on zawsze musi komplikować całą sprawę?

Stary Dean wiedział, jak mnie rankiem postawić na nogi. Zmusił mnie do zjedzenia porządnego śniadania, a kiedy wydawało mu się, że zaczynam rezygnować, wszczął za pomocą garnków i patelni taki rejwach, że wybrałem mniejsze zło i dokończyłem posiłek.

Dobre, potężne śniadanie z odpowiednio dużą porcją soku jabłkowego i słodczy naprawdę likwiduje, mojego kaca, ale żarcie śmierdzi mi zwykle tak potwornie, że nie chce mi się w to wierzyć.

Kiedy już napchałem się dostatecznie, aby zadowolić Deana, postawił przede mną ogromny, parujący kubas herbaty ziołowej o lekko przydymionym smaku, w posiadanie której weszliśmy jakiś czas temu, dzięki uprzejmości Morleya Dotesa. Herbata ta miała działanie lekko przeciwbólowe.

- Jego kośćistość jest już gotów, panie Garrett. Może pan zabrać kubek ze sobą.

Czyżby zamierzał zaufać mi na tyle, że pozwoli mi osobiście wynieść coś z kuchni? Posłałem mu spojrzenie, które zostało prawidłowo zinterpretowane.

- Ten pokój był dość upiorny z jednym trupem w środku - burknął. - Jeśli chce trzymać tam tę drugą, może sam po sobie sprzątać.

Wstałem.

- Może się pobiorą - rzuciłem od drzwi. Słabizna, ale nie byłem dzisiaj w najlepszej formie.

Dean posłał mi mroczne spojrzenie i sięgnął po największy garnek, jaki miał pod ręką.

Kiedy wszedłem do pokoju Truposza, ten akurat próbował zasnąć. Już dawno powinien był zapaść z swoją trzytygodniową drzemką, ale nie teraz, o, nie!

- Zbudź się, Kupo Gnatów. Podobno miałeś dla mnie parę sugestii na dziś.

Miał, i to niejedną. Kilka pierwszych, niestety, nie nadaje się do powtórzenia.

- Rozumiem, że jesteś na tyle pewien swojej teorii dotyczącej Glory'ego Mooncalleda, że możesz pozwolić sobie na krótką słodką drzemkę.

Ostatnie nowiny z Kantardu nie zawierają żadnych sprzeczności.

- Złamiesz się i powiesz mi?

Jeszcze nie.

- A co z obiecany wczoraj podejściem, jakie miałeś mi zasugerować?

Myślałby kto, że już zobaczyłeś najlepsze rozwiązanie. Miałeś całą noc na przemyślenie kolejnych ruchów.

- Miałem wolną noc na spanie. Gadaj.

Pozwalasz sobie na zależność od mojego geniuszu. Powinieneś ćwiczyć własny, Garrett.

- My ludzie jesteśmy leniwi do szpiku kości. Gadaj. Płać czynsz.

Młodszy Karl. Przyprowadź go do mnie. Zdaje się, że jest to najslabsze ogniwo w tym łańcuchu okoliczności. Jeśli ma w sobie poczucie winy, otworzę go i obnażę. Jedno moje spojrzenie na to biedne dziecko powinno być dla niego takim szokiem, że zmięknie.

- I tylko to muszę zrobić, he? Wywlec go z tego fortu, który on nazywa domem, i zmusić, żeby tu przyszedł i dał ci możliwość przerobienia go na aniołka?

Garrett, ja za ciebie nie odwalę żadnej bieganiny.

- Ba! - Stary Kościotrup zaczął nabierać sarkastycznego tonu. Może potknie się na swojej teorii o Glorym Mooncalledzie i zleci z tego wysokiego konia.

Och, jak on lubi truć!

W obramowaniu frontowych drzwi zobaczyłem nieznaną mi przedmiot. -Dean! Przybiegł pędem.

- Słucham, panie Garrett?

- Co to u diabła jest?

W zasadzie wiedziałem, co to takiego. Mój kumpel Bruno, zmrożony w pół kroku o metr od drzwi wejściowych i oparty o ścianę. Na gębie obnosił wyraz świętego przerażenia, ręką chwycił powietrze gdzieś przed własnym nosem. Dean wykorzystał go, żeby powiesić sweter i wełnianą czapkę, w której przychodzi co rano. Nagle ujrzałem w starym rys charakteru, którego istnienia przedtem nawet nie podejrzewałem.

- Przyszedł pod drzwi, kiedy pan był poza miastem. Kiedy otworzyłem, po prostu wpadł i odepchnął mnie na bok. Jego kościstość musiał to usłyszeć.

Lepiej niż system alarmowy.

- I nikt nie raczył mi o tym powiedzieć?

- Miał pan co innego na głowie.

- Jak znalazł się pod ścianą?

- Zepchnąłem go z drogi, bo zawadzał. Muszę wchodzić i wychodzić po zakupy.

Stałem przed Bruno.

- I co ja mam z tobą zrobić? Po prostu ciągle wracasz. Może wrzucić cię do rzeki i zobaczyć, jak szybko pływasz? Muszę o tym pomyśleć, bo inaczej tylko będziesz się plątał pod nogami.

Odwrociłem się do Deana.

- Powinniśmy chyba założyć jakiś łańcuch, żeby takie rzeczy się więcej nie zdarzały.

- Jego kościstość mógł spać - przyznał Dean.

XXIII

Problem ego Bruna umknął mi, skoro tylko zaatakowałem drogę na Górę. Miałem większy kłopot. Jak u diabła mam się dostać do Juniora, nie mówiąc już o wywabieniu go na zewnątrz? Biorąc pod uwagę pewne osoby w tym domu, mogę nie zbliżyć się nawet do ogrodzenia. Może już czekają na mnie wynajęte zbiry?

Nie czekali. Dyskretnie okrążyłem dom daPena trzy razy, mając nadzieję, że Amber spostrzeże mnie, zanim Eenie, Meenie, Meinie i Moe zaczną mnie podchodzić od tyłu. Bo wtedy musiałbym pokazać Górze błyskające w ucieczce obcasy. Nie udało się. Musiałem odejść. Postanowiłem udać się na długi spacer. Czasem rozruszanie krwi likwiduje najmroczniejsze humory, a mózg w bólach rodzi jakąś myśl.

Po trzech godzinach marszu stwierdziłem, że prochu nie wymyślę. Mógłbym posłać Juniorowi liścik z adnotacją, że wiem, gdzie jest złoto, a jeśli wpadnie do mnie, moglibyśmy to obgadać. Problem polegał na tym, że to rozwiązanie zajęłoby znacznie więcej czasu, niż go miałem.

Mógłby namyślać się nawet kilka dni. A może nie udałoby mu się urwać ze smyczy? Albo list mógłby w ogóle do niego nie dojść, co z kolei daje szansę na wysoce nieprzewidywalne skutki. A ciało Amirandy nie będzie trwało wiecznie.

W poszukiwaniu jakiejś konstruktywnej pracy wybrałem się do Saucerheada, żeby zobaczyć, jak się czuje. Jakaś jego przyjaciółeczka, której nie znałem, oznajmiła mi, że Saucerhead ma się dobrze, a ja mam się wynosić, jeśli nie chcę mieć wydrapanych obu oczu. Była wielka jak pięć minut na małym zegarku, ale trzymała się prosto i wyglądało na to, że potrafi nieźle przyłożyć.

To tyle, jeśli chodzi o Saucerheada. Może Morleyowi wpadło coś w ręce, oczywiście, poza kolejną cudzą żoną i jajeczno-roślinnym stekiem na kolację.

Morley nie miał ochoty na gości o tak wczesnej porze, ale nie spał, więc otrzymałem audiencję. Przywitał mnie ponurym grymasem bez cienia drwiny.

- Wyglądasz jak facet, który nie dostaje dość celulozy w diecie. Co się stało? Czyżby w lasach okry zmiotło wszystkie plony?

Mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak "Goddim fraggle jig-ginitz".

- Czy chciałbyś, aby twoje dziewicze córki przysłuchiwały się takiemu językowi?

- Snacken schtereograk!

Aha! Rzeczywiście kłął, ale w jednym z niskoelfickich dialektów. Wiedziałem od

dawna, że kiedy zaczyna mamrotać po swojemu, to znaczy, że ma problemy finansowe.

- Znowu grałeś na wodnych pająkach, co?

- Garrett, jesteś przekleństwem mojego domu! - W istocie użył karlego idiomu, który oprócz "przekleństwa" czasem oznacza również "teściową". Ale ja jestem takim wspaniałym facetem, że chyba nikt nigdy nie posądziłby mnie o teściowanie. - Jesteś krukiem w negatywie, wiesz? Odwrotną maskotką. Za każdym razem, kiedy mam pecha, pojawiaasz się ty i pech zaraz narasta lawinowo. Mogę na to liczyć.

- Jeśli nie chcesz, żebym się tu kręcił, przestań stawiać na robale. To tylko prościutki związek przyczynowo-skutkowy - taki sam, jak stawianie na robale i wychodzenie z gołym tyłkiem.

Powtórzył śpiewkę o przekleństwie domu.

- Czego chcesz, Garrett?

- Chcę wiedzieć, czy usłyszałeś jakieś nowiny, które mogłyby mi się przydać.

- Nie. w Dzielnicy Wilkołaków spokojnie jak w rodzinnym grobowcu. Ci faceci przyszli skądinąd. A kiedy wracali, zabrali ze sobą złoto. W mieście nie ma ani śladu po złocie. Gdyby pojawiła się choćby wzmianka o takiej kupie metalu, wśród naszych twardzieli zaroiłoby się jak w stadzie pędraków. Saucerhead ma się dobrze.

- Wiem, dowiedziałem się w brutalny sposób. Ma tam jakąś małą diablicę, która udaje strażnika. Myślałem, że wypruje ze mnie flaki, zanim zamknę drzwi. Kto to jest, do diabła?

Po raz pierwszy od początku wizyty obdarzył mnie błyskiem zębów.

- Może siostrzyczka?

- Pieprzysz. Niczyja siostra się tak nie zachowuje. Wyszczrzył zęby.

- Właściwie usłyszałem coś, co mogłoby cię zainteresować ale nie wiem, na co ci się to może przydać.

-No?

- Jakiś pijany majtek z nocnego statku przyturlał tu dziś rano tuż przed zamknięciem. Bogowie tylko wiedzą, po co przylazł.

- Ja też się nad tym zastanawiam. Wiedzą to tylko ci, którzy tu bywają. "Nocny statek" to eufemizm oznaczający przemytnika. Szmuglerzy to trzecia dziedzina handlu rzecznego TunFaire.

- Chcesz posłuchać, czy wolisz się wymądrzać i umrzeć w niewiedzy?

- Mów, mów, Kapuściana Wyrocznio.

- Wspomniał, że statek Raver Styx zawinął do portu w Leifmold tego samego popołudnia, kiedy oni wyruszyli do TunFaire. Ona wraca do domu, Garrett. Będzie tu za kilka

dni. Nie wiem, czy to wpłynie jakoś na sposób, w jaki zrobisz to, co uważasz, że powinieneś zrobić.

- Może i tak. Junior wymaga specjalnej uwagi z powodu Saucerheada i Amirandy. Mamuśka w zasięgu wzroku może narobić kłopotu.

- No to była ostatnia kropla przepełniająca kufel gorzycy. Odejdź, żebym mógł się nad sobą poużalać.

- Właśnie. Następnym razem, kiedy zaczniesz stawiać na robale, daj mi znać, żebym zdążył wyjść drugimi drzwiami i posprzątać.

- Nie będzie następnego razu, Garrett.

- Morley, to wspaniała wiadomość dla ciebie.

Wyszedłem z pokoju, przypominając sobie, że już to kiedyś słyszałem. Może przez jakiś czas rzeczywiście będzie się tego trzymał, ale prędzej czy później znów usłyszy o jakimś pewniaku i gorączka powróci.

Barmanowi na dole powiedziałem:

- Podaj mu na górę kilka kawałków polędwicy z purchawki obtoczonej w cebuli i podwójną porcję pięciogwiazdkowego soku z selera. Na mój rachunek.

Nawet się nie uśmiechnął.

Ruszyłem do domu z głową pełną wizji steku tak krwistego, że Morley zemdlałby na sam widok.

Dean zamknął dom na cztery spusty. Ma chłopina szczęście, bo nieraz zapomina. Zacząłem walić w drzwi. Podszedł i wyjrzał przez judasza. Z wielką pompą zaczął sprawdzać, czy nie jestem pod niczyją presją. Następnie z brzękiem i szczękiem odsunął zasuwę i na koniec otworzył drzwi.

- Dobrze, że pan wreszcie wrócił, panie Garrett. - Rzeczywiście, chyba się ucieszył. Cofnął się. Wszedłem w ślad za nim i zacząłem zamykać drzwi, ale nie skończyłem.

- A to co, do licha? Co to za śmieć?

W przedpokoju znajdowała się nowa ozdoba. Zanim stała się sprzętem ogólnego użytku domowego, nazywała się Courter Slauce.

-Dean!

Wezwany pędził już w stronę kuchni z prędkością turbo i zupełnie nie miał odwagi walczyć z momentem, jaki rozwinął. Rzucił mi tylko odpowiedź przez ramię, ale ta, mizerota, nie miała dość sił, żeby dolecieć i upadła na podłogę, zanim do mnie dotarła.

Zatrzymałem się koło Slauce'a.

- Co to, forsa ci się skończyła? Nie dorobisz się majątku włamując się do domów.

Zabawne. Nie odpysknął.

Chyba jednak do niego dotarło, bo prawie mogłem usłyszeć paskudne myśli, jakie krążyły mu pod kopułą.

- Będziesz świetnym towarzystwem dla Bruno. - Uśmiechnąłem się. - Wprost umierał z braku ramienia, na którym mógłby się wypłakać.

Minąłem Bruna. Co za dylemat. Czy powinienem wpaść do Truposza i powiedzieć mu, że nie udało mi się zwabić Juniora do jego jaskini? Czy może wytropić Deana w kuchni i dowiedzieć się, po co nam drugi wieszak w korytarzu?

Dean wygrał. Był bliżej piwa.

Wchodząc w drzwi, usłyszałem:

- No już, już. Wszystko będzie dobrze. Pan Garrett już przyszedł. Zajmie się wszystkim.

No pewnie. Właśnie wszedł, żeby się lepiej zorientować, od czego zacząć.

Dean obejmował ramionami Amber, która wyglądała jak osiemnastka, udająca przerażoną dziesięciolatkę, zamiast trzydziestolatki. Dean klepał ją po plecach i usiłował ocierać łzy dziewczyny. Ten sam Dean, który już przypieczętował ją szkarłatną pieczęcią dezaprobaty.

Coś nią mocno wstrząsnęło. A miękkie serce w skorupie starego kraba zmiękło na widok jej przerażenia.

- No dobrze - stwierdziłem, podchodząc do studni-chłodni. -Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Amber wydała z siebie dziki pomruk, wyrwała się Deanowi i rzuciła na mnie, otwierając po drodze śluzę powodziowe. No to tyle, jeśli chodzi o moje piwko.

Dean był na tyle uprzejmy, że podchodząc do chłodni, udał zakłopotanego.

Pozwoliłem, żeby się wyrzycała. Nie ma sensu przerywać beczącej babie. Jeśli nie wyleje z siebie wszystkiego za jednym zamachem, będzie kapała po kilka kropli w najmniej spodziewanych i odpowiednich momentach... Tymczasem Dean nabrał dla mnie kufelek.

Kiedy Amber doszła do etapu pochlipywań i szlochów, posadziłem ją na krześle i poleciłem Deanowi, żeby popuścił trochę brandy, którą trzymał na specjalne okazje. Usiadłem naprzeciwko niej, w zasięgu ręki, i zająłem się swoim kuflem. Pierwsza połowa poszła szybko i łatwo.

Kiedy uznałem, że dziewczyna już dojrzała, zapytałem:

- Czy możesz już o tym mówić?

Zanim skinęła głową, pociągnęła od serca swojej brandy.

- Już się opanowałam. To... to chyba zbieg okoliczności. Najpierw Domina i mój ojciec zaczęli się kłócić i wrzeszczeć na siebie tak, że wszyscy się pochowali, a potem dowiedziałam się o Karlu. Kiedy wreszcie udało mi się wymknąć, żeby z tobą porozmawiać, Courter dogonił mnie na ulicy, a gdy nie chciałam wracać do domu, wydawało mi się, że mnie zaraz zabije. Chyba oszalałam, bo pognałam przed siebie z wrzaskiem. Ale jeśli cały świat oszalał, to czy ja też nie mam prawa odrobinę zgłupieć?

Słowa wylatywały z niej jedne przez drugie, jakby się spieszyły wydostać na świeże powietrze.

- Czekaj! Stój! Dobra dziewczynka. A teraz odetchnij głęboko. Trzymaj się. Policz do dziesięciu, powoli. Dobrze. Teraz powiedz mi, co się stało. Zaczynaj od początku, żeby to miało sens.

Dean wziął ode mnie kufel, który wymagał już dopełnienia, jednocześnie wtrącił się:

-Jeśli mi pan pozwoli, panie Garrett, najważniejszą rzecz trzema powiedzieć na początku. Jej brat nie żyje.

Otworzyłem szeroko oczy jak spodki i wlepiłem wzrok w Amber. Zadygotała, skinęła głową. Policzyła już chyba dużo dalej niż do dziesięciu.

- Jak?

- Mówią, że popełnił samobójstwo.

To zbiło mnie z nóg. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zanim uporządkowałem myśli, mój stały nieruchomy rezydent złamał w drobny mak wszystkie precedense i dosięgnął mnie poza granicami swego lokum.

Przyprowadź ich do mnie, Garrett.

Dean także to pochwycił. Spojrzał na mnie uważnie, oczekując instrukcji.

- Zrób, co mówi. Tak mi się wydaje. Amber, chodź ze mną. Mój współnik chce, żebyśmy rozmawiali w jego obecności.

- Czy muszę?

- Myśl o dwustu tysiącach marek w złocie.

- Nie wiem, czy chcę brnąć w to dalej... Nie, no oczywiście, że chcę. Muszę wyrwać się z tamtego miejsca, bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy już nie będę się tam czuła bezpieczna.

- No to chodźmy. Nie bój się go. Jest nieszkodliwy dla tych, którzy nie życzą mu źle.

Zapomniałem o pewnym drobiazgu.

XXIV

Amber wydała z siebie krótki okrzyk, który w połowie był wyrazem bólu, w połowie przerażenia. Myślałem, że zemdleje, ale chyba została ulepiona z twardszej gliny, niż myślałem. Kiedy pożerała wzrokiem Amirandę, zwiśla mi odrobinę z ramienia, ale opanowała się, odsunęła i spojrzała na mnie.

- Co tu się dzieje, Garrett?

- To właśnie znalazłem zamiast złota. Podeszła bliżej do trupa.

Garrett, przyprowadź tu Slaucea, może taki sam szok pozwoli nam dotrzeć do niego.

- A ten drugi?

Kiedy skończymy, po prostu pozbądź się go. Chyba już dostał nauczkę.

- Pomożesz mi, Dean? - Nie wątpię, że sam poradzę sobie z panem Slaucem. W ostateczności mogę go przewrócić i poturlać, ale po co się nadwyręzać?

Wciągnęliśmy go do środka i zgodnie z instrukcją posadziliśmy naprzeciwko Amirandy. Amber wydawała się już prawie opanowana.

- Chyba macie mi coś do powiedzenia - szepnęła.

- Opowiem ci moją historię, a ty opowiesz swoją.

Mniej więcej w tej samej chwili Truposz rozluźnił uchwyt na Courterze Slacue'u. Podeszedłem do drzwi, by się upewnić, że nie użyje ich, zanim z nim nie skończymy. Cały dygotał. Nie blefował, kiedy rozglądał się wokół siebie, ale milczał. To mnie trochę rozczarowało. Spodziewałem się potoku słów, a także inwokacji do Strażniczki.

- Chciałbym wiedzieć parę rzeczy - oznajmiłem mu. - Myślę, że panna daPena też ma parę pytań. Możliwe też, że i panna Crest chciałaby się dowiedzieć, dlaczego została zabita.

Szybko zerknął w stronę trupa.

- Nic o tym nie wiem. Skąd się to wzięło? Myślałem, że uciekła. Domina truła mi całymi dniami, że udało jej się zwać z domu razem z bagażem. Nieważne, że kiedy uciekała, byłem w drodze do miasta z listem do jednej z dziewczynek Baroneta. To i tak nie byłoby żadne usprawiedliwienie, ponieważ nie mogłem jej tego powiedzieć.

Mówi prawdę i wierzy w nią, Garrett.

- Więc nie ma z tym nic wspólnego?

Nie w sposób świadomy, chociaż nie dalbym za to głowy.

- Dobra. Slauce, kto porwał Juniora?

- Co u diabła? Skąd mam to wiedzieć? A w ogóle, w co wtykasz swój parszywy nos?

Dostałeś forszę. Twoja robota skończona.

- To znaczy, że oprócz Willi Dount nikt by mnie nie zaangażował. Slauce, myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie. Ale i tak ci powiem, na wszelki wypadek. Nikt go nie porwał. Chyba, że facet może porwać sam siebie. Ale moim głównym obszarem zainteresowania jest kwestia, dlaczego Amiranda musiała umrzeć? I kto wypowiedział to słowo, które sprawiło, że umarła?

Amber otworzyła usta. Uniosłem dłoń, ostrzegając, by milczała. Slauce nie musi znać jej zdania na ten temat.

U silujesz przeskoczyć własny tytek, Garrett. Nie można w żaden rozsądny sposób grozić, ani manipulować tym człowiekiem, dopóki nie usłyszymy wszystkiego, co ma do powiedzenia panna daPena. Zapomniałeś już, po co tu przyszła? A może śmierć jej brata jest zbyt trywialnym szczegółem, żeby się nad nim zatrzymać?

Nie zapomniałem. Czekałem, bo miałem do czynienia z rozpaczą i histerią Amber, i w nadziei, że Slauce złamie się i podsunie mi rozwiązanie mego własnego dylematu. Ale nie byłem chyba sobą. Szaleństwem byłoby nie wysłuchać Amber.

Ponieważ jestem jednym z najsprytniejszych facetów w okolicy, lepiej było nie robić nic głupiego, co zniszczyłoby mój image.

- Wygrałeś, Kupo Gnatów. Ale to na twój łysy łeb spadną wszystkie deszcze.

To nie ja czułem się w obowiązku skoczyć na pomoc.

Można się od niego odciąć, ale kosztem dużej koncentracji... jeśli w tym czasie ma w głowie coś innego. Zawsze musi mieć ostatnie słowo. Nieraz łączy w sobie wszystkie wady, nie mając żadnej zalety starej żony.

- Amber, czy już czujesz się na siłach, żeby mówić? Wszystko w porządku?

- Dziewczyno - warknął Slauce. - Nic im nie powiesz, o niczym. Pomaszerujesz prosto do domu.

Skrzywiłem się i spojrzałem na Truposza z wyrzutem.

- Pozwoliłeś mu złapać drugi oddech. Amber zwróciła się do Slauce'a:

- Możesz mnie ugryźć tam, gdzie cię mam, Courter. Już się ciebie nie boję. Za kilka dni ty i Domina będziecie powiewać na wietrze. A co, może nie? Może uda wam się zamydlić mamie oczy co do Karła, ale nie co do Karła i Amirandy razem. A ja na pewno tam już nie wrócę i nie dam wam szansy tłumaczenia się z Karła i z Amirandy i ze mnie!

- A co to za głupia gadka, dziewczucho? Twój brat sam się zabił.

- Tak samo jak Amiranda uciekła. Pozwól, że lepiej znałam mojego brata niż ty. Moja matka też tego nie kupi. A ja już nie podejść do żadnego z was na sto metrów. Nie wówczas,

kiedy dwoje z trójki dziedziców rodziny nagle zostaje zamordowanych.

- Troje z czwórki - rzuciłem, ot, po to tylko, żeby zobaczyć, jak wysoko chlupnie woda w tym bajorku. - Amiranda była w ciąży. Trzeci miesiąc. Dziecko byłoby chłopcem.

Okazało się to niespodzianką zarówno dla Amber, jak i dla Slauce'a. Uciszyło ich. Jeśli jednak obudziłem pewne podejrzenia, oboje dobrze je ukryli.

Podszedłem do Truposza i pokazałem palcem na Slauce'a.

- Czy możesz go wyłączyć? Nie potrzebuję, żeby mełł ozorem, kiedy dama będzie opowiadać,

Jaka dama?

Slauce zeszywniał jak nieboszczyk.

Dobrze wycelowałeś, Garrett. Jest wstrząśnięty i dałeś mu do myślenia. Ale możesz za to zapłacić swoją opinią w oczach dziewczyny. Już zaczęła się domyślać, że nie całkiem byłeś szczery, kiedy opowiadałeś o swoich motywach.

Aha.

XXV

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od momentu, w którym się rozstaliśmy - zauważyłem.

Amber zająknęła się.

- Interesuje cię wyłącznie Ami.

- O? - przyznałem, że mnie to interesuje. -I chcę tego, który jej to zrobił. Nie lubię ludzi, którzy marnują atrakcyjne, młode kobiety. Jeśli jednak sądzisz, że jestem nieczuły na czar dwustu tysięcy marek w zlocie, to jesteś o wiele głupsza, niż ci się samej wydaje. Słuchaj no. Tak samo krążyłbym i deptał mu po piętach, gdybyś to ty była na jej miejscu, a ona na twoim. Chcę faceta, który za tym stoi. I założę się, że twoja matka też będzie go chciała, kiedy się tu zjawi.

- Ależ on za to zapłaci.

Ona to kupi, Garrett. Ty śliski nawijaczu. Spojrzałem na Truposza tak, jak na to zasługiwał.

- Amber, akurat teraz mogę pracować tylko z tym, co mi powiesz. Wahala się już dość długo, aby usatysfakcjonować swoje ego.

- Courter widział, jak wychodziłeś. Popędził wprost do Dominy. Naturalnie. A ona dostała jednego ze swoich słynnych ataków wściekłości. Tylko jeszcze silniejszego. Widziałam ją wściekłą wiele razy, ale teraz naprawdę straciła kontrolę nad sobą. Darła się, groziła i rzucała czym popadnie, i przestraszyła Karla tak, że powiedział jej wszystko, o czym rozmawialiśmy. Dobrze, że nie mówiliśmy o zlocie. O tym także by jej powiedział. Ja jej nie pisnęłam ani słowa. To znowu doprowadziło ją do szału, więc kazała Courterowi spuścić mi lanie i zamknąć w pokoju. Wypuścili mnie dopiero dziś rano.

Okręciła się na pięcie, podskoczyła do Slauce'a, dała mu w pysk i przetańczyła na swoje miejsce.

- Masz.

- Okazało się, że określenie "oni", odnosiło się do Karla, który przyszedł do niej, kiedy cały dom jeszcze spał. Wydawał się bardzo wzburzony, ale niczego nie wyjaśnił, poza stwierdzeniem, że dostał już tyle, ile mógł wytrzymać i nie zamierza więcej, więc wynosi się natychmiast i już nie wróci.

- Ale to nie oznacza, że chciał się zabić.

Ja też nie sądziłem, że to ten typ. Nie miałby dość odwagi.

- Powtórz lepiej dokładnie, co powiedział. Może kryć się w tym jakaś wskazówka.
Postaraj się przypomnieć sobie dokładnie jego słowa i gesty.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Poprosił mnie, żebym z nim uciekła.
Odpowiedziałam, że jeszcze nie jest mi tak źle, żeby się poddać i uciec bez żadnych perspektyw. Ale on miał dość, naprawdę. Coś nim mocno wstrząsnęło. Był bardzo blady. Nie mógł ustać na nogach. Był cały spocony.

- Innymi słowy, był wystraszony.

- Przerażony

- Tak, jakby zobaczył ducha?

- Zabawne.

- Co takiego?

- Dokładnie to samo wtedy pomyślałam. Że musiał zobaczyć ducha.

- Może zobaczył. Przynajmniej pośrednio. Co dalej? Wyszedł?

- Natychmiast, kiedy się zorientował, że z nim nie pójdę.

- Jak sądzisz, dokąd?

- W bezpieczne miejsce u starego przyjaciela. Tak mi powiedział.

- Donni Pell?

-Może. O tym pomyślałam, kiedy to powiedział. Donni Pell albo Ami. Wydawało mi się po prostu, że wie, gdzie pojechała Ami.

- Dlaczego właśnie Amiranda?

- Wychowali się razem. Byli ze sobą blisko. Zawsze coś między sobą szeptali. Jeśli uciekła, musiał wiedzieć, dokąd. Nie ode-szłaby, nie zostawiając mu jakiegś informacji. Nawet, jeśli był porwany, kiedy uciekła.

Im więcej wiedziałem, tym bardziej powiązania i czyny rodziny daPena mnie zaskakiwały.

- Dobrze. Mogłaby to być Amiranda, ale nie była, ponieważ już nie żyła. Musimy przyjąć, że miała to być Donni Pell. To także może być nieprawda, ale wszystko inne wydaje się nieprawdopodobne. Biorąc pod uwagę jego naturę, musiała to być kobieta. Zgadza się? Kogo jeszcze znał? Nikogo, o kim wiedziałabyś ty lub ja. Sądzę, że musimy tam pójść i zobaczyć.

Rozwiązywanie tej sprawy polegało wyłącznie na chodzeniu. Morleyowi spodobałyby się te ćwiczenia, którym musiałem się poddać.

- Opowiadaj dalej. Twój brat podał tyły i, przerażony, uciekł w nieznane. A co potem?

- W dwadzieścia minut później przyszedł Courter. Wiedzieli, że Karl wyszedł. Chcieli,

żebym im powiedziała, gdzie poszedł.

- Oni?

- Courter. Dopiero później okazało się, że to oni. Courter nie przyszedł z własnej woli.

Oni go przysłali.

- Myślę, że poczęstowałaś go praktyczną radą, gdzie się może ugryźć.

- Tak. Wtedy jego miejsce zajął ojciec. I miał w oczach coś takiego, że mnie przeraził. Jakby był tak przerażony, że gotów na wszystko. I tak nic nie wskórał. Zaczął wrzeszczeć. Mój ojciec chętnie i dużo wrzeszczy. W większości udawało mi się przebywać poza jego zasięgiem, dopóki nie zjawiała się Domina. Starła się mówić tak, żeby nie słyszała, ale i tak podsłuchiłam część tego, co powiedziała. Usłyszała od kogoś ze służby, że Karl dowiedział się, że matka jest już w Leifmold. Oznacza to, że może tu zjawić się lada chwila, ponieważ może się dostać do TunFaire równie szybko, jak wieści o jej przyjeździe. Wtedy ojciec naprawdę się podniecił.

- I co?

Amber wyglądała na zawstydzoną.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że kocham mojego ojca. Nawet, jeśli robi nieracjonalne rzeczy.

Spróbowałem wykonać mój trik z brwią. Dawno nie ćwiczyłem. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

- Wrzasnął na Domine, żeby posłała po Courtera. Wybija to ze mnie. Nie mogła go uspokoić, więc wybiegła, chyba po Courtera. Ojciec zaczął mnie gonić i rzeczywiście uderzył. Nigdy przedtem tego nie robił. Nie osobiście.

-I co?

- Złapałam buta i uderzyłam go w głowę. Uciekł. I nie wrócił. W kilka godzin potem usłyszałem, jak on i Domina kłócą się na cały głos, tak że słyhać było w całym zamku. Nie potrafię jednak powiedzieć o co. Pomyślałam, żeby się zakraść i podsłuchać, ale nie miałam odwagi. Bałam się wychodzić z pokoju. Wszyscy jakby oszaleli. A potem, w krótką chwilę później, stwierdziłam, że muszę się wynosić z tego domu. Natychmiast i na zawsze. Bez względu na wszystko. Nawet, jeśli nie znajdziesz złota.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeden ze służących powiedział mi, że Karl popełnił samobójstwo. Kiedy to usłyszałam, wiedziałam, że muszę odejść i to daleko. Bardzo daleko, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Albo ja też mogę zginąć. Tyle tylko, że chyba nie biegłam dość szybko. Courter mnie dorwał tuż przed twoim domem. Próbował nawet ściągnąć mnie z powrotem do zamku,

kiedy twój człowiek mnie wpuścił.

Spojrzałem na Courtera, potem na Truposza. Monitorowałem reakcje Slauce'a tak dokładnie, jak potrafił.

Ten facet jest na pewno opryskiem, ale chyba nie ma związku ze śmiercią Karla ani z jego porwaniem. Przynajmniej nie ma poczucia winy z tego powodu. Większość z tego, co tu usłyszał, było dlań nowością. Wygląda na takiego, co wolno myśli i chyba uważany jest za zbyt głupiego, by można mu było zaufać.

Spojrzałem na Amber.

- Jesteś pewna, że twój brat nie byłby w stanie odebrać sobie życia?

-Tak, już ci mówiłam.

- W porządku. To daje mi nową linię ataku. Kiedy, gdzie i jak się to stało?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? To znaczy, że tylko...

- Nie zaczynaj i ty na mnie wrzeszczeć! - Uniosła stopę, zdjęła but i zamierzyła się.

W trzy sekundy potem ryczeliśmy ze śmiechu. Opanowałem się, zerknąłem na Slauce'a, potem na Truposza. *On wie.*

- Dean, weź pannę daPena do pokoju gościnnego i pomóż jej się urządzić. A skoro już przy tym jesteśmy, sam także urządz się na parę nocy. Możemy cię tu potrzebować.

- Tak jest, sir. - Wyglądał na podnieconego. Przynajmniej brał w tym udział. - Panienko, proszę za mną.

Poszła, ale bardzo niechętnie.

XXVI

- Myślę, że muszę zmienić strategię - powiedziałem. - Chciałem wypuścić Slauce'a i pozwolić mu wrócić do domu. Niech namiesza.

Właśnie tak sądziłem. Myślę, że już czas, byś zwrócił się do pana Dotesa na zasadach czysto profesjonalnych, a nie przysługa za przysługę. Będziesz potrzebował więcej oczu.

- Racja. Sprawy są wystarczająco zagmatwane bez mojego udziału. Czy można sprawić, żeby zapomniał o wszystkim, co tu widział i słyszał?

Myślę, że tak.

Zobaczmy zatem, co ma do powiedzenia na temat wyprowadzki Juniora z tego świata.

Truposz uwolnił Slauce'a ze swego uchwytu.

Przyjaciel Courter był wrażliwy. Odpowiedział, skoro tylko zapytałem, i nie twardniał jeszcze przez dłuższy czas. Dał mi adres i podał przybliżony czas śmierci w około dwie godziny po opuszczeniu domu przez Karla.

- Jak to zrobił? - zapytałem, udając, że wierzę w bajeczkę o samobójstwie wyłącznie na użytek Courtera.

- Podciął sobie żyły.

To był ten trik.

- Ajajaj, nie gadaj! I ty w to uwierzyłeś? Znałeś chłopaka. Gdybyś powiedział, że się powiesił, uznałbym to za możliwą, choć naciaganą prawdę. Ale nawet ja znałem go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy by tego nie zrobił. Prawdopodobnie nawet golić się nie mógł, tak bardzo bał się widoku krwi.

Nie naciskaj, Garrett, bo zaczniesz myśleć, a to może być dla niego niebezpieczne i całkiem nowe doświadczenie.

Po prostu chciał, żebym mu ułatwił jego własne zadanie.

Idź, porozmawiaj z Dotesem. Zanim wrócisz, pan Slauce całkiem zapomni o wszystkim, co tu widział i słyszał. Będzie może trochę oghupiały. Weź to pod uwagę, kiedy zaczniesz zastanawiać się, jak go stąd wyprowadzić. Przy okazji mógłbyś zrobić to samo z tym drugim, skoro już zaczniesz.

Jasne. Cholera. A niech się cieszy.

Morley wynajął mi pięciu zbirów. Dzięki zniżce dla przyjaciół ich cena była rujnująca tylko w połowie. Postawiłem jednego, żeby pilnował mojego domu, na wypadek, gdyby zdarzyło się coś, z czym Truposz nie poradziłby sobie sam. Świat pełen jest ludzi, których

działań nie można przewidzieć.

Jeden dostał zadanie śledzenia Courtera Slauce. Pozostała trójka otrzymała przydział nie do pozazdrosczenia: śledzenie mieszkańców domu Strażniczki. Kazałem im raportować wszystko do Morleya. Gdyby stało się coś, o czym powinienem wiedzieć, Dotes będzie miał więcej szans znalezienia mnie.

Pięciu ludzi, to było trochę za mało, żeby wykonać robotę tak jak należy, ale płaciłem za nich z własnej kieszeni. Jedyne klient, jakiego miałem, trzymał mnie tylko warunkowo, a choć bardzo miałem ochotę na kawałek okupu, moje szanse wyglądały raczej pesymistycznie.

Odnutowałem w pamięci, że powinienem wypytać Amber o to, czego dowiedziała się na temat sposobu, w jaki Domina Dount dostarczyła złoto.

Pozbycie się Bruno i Slauce'a okazało się łatwym, półgodzinnym zadaniem przy użyciu pożyczonej bryczki. Nieprzytomny Bruno został zdeponowany w alejce, gdzie wkrótce obudzi się tak głodny, że gotów będzie nawet skumać się z kanibalami.

Courter nie był całkiem przyćmiony, a tylko pijany jak bela. Nie wiem, jak Truposz to zrobił. Nigdy mi nie wyjaśnił. Wprowadziłem po prostu Slauce'a do knajpy, posadziłem przy stole obok dzbana i odprowadziłem bryczkę na miejsce.

Teraz miałem czas sprawdzić wszystko, co było do sprawdzenia na scenie samobójstwa Juniora.

XXVII

Drewniane, trzy- i czteropiętrowe rudery opierały się o siebie jak ranni żołnierze po bitwie. Tu jednak wojna nie miała końca. Czas jest wrogiem, którego nie można pokonać, a brak rezerw nie pozwala przetrwać jego wpływu.

Była noc i jedynym światłem na ulicy był blask padający od okien i drzwi, otwartych na oścież w nadziei, że upał dnia uleci w chłód nocy. Nadzieja ta była tylko nieco mniej płonna od marzeń, że bieda uleci wraz nim. Ulica pełna była poważnych, niezgrabnych dzieci, a rudery roily się od rozjazgotanych dorosłych. Na rogach brakowało wąskookich młodzieńców, szukających okazji pod maską chłodnej obojętności. Tu nikt ani nie zaczepiał, ani nie szukał zaczepki.

Wszyscy są w Kantardzie, wypalając młodzieńczy energię w żołnierskiej bezcelowości i strachu.

Wojna miała jeden pozytywny skutek. Kiedy chciałeś pogadać o zbrodni, musiałeś znaleźć staruszka, który pamiętałby dobre stare czasy.

I tak musiałem uważać na siebie - i to z całkiem nieromantycznych powodów. Na ulicy było tyleż psów, co dzieci. A w każdej chwili mogły się otworzyć niebiosy, wyrzucając z siebie ulewę nieczystości.

Istniało prawo sanitarne, ale kogo ono obchodziło? Nie było nikogo, kto mógłby je wymusić.

Dom, którego szukałem, był jednym z najbardziej okaleczonych żołnierzy w szeregu, trzy piętra zapomniały o latach swej młodości jeszcze przed początkiem tego wieku. Stałem po drugiej stronie i zacząłem się przyglądać. Założenie: Junior uciekł do swojej przyjaciółeczki Donni Pell, kiedy zaczęło się robić gorąco. Założenie: Donni Pell maczała w tym łapki i pomogła zaaranżować porwanie Juniora.

Miejsce, w którym zginął młody Karl, wskazywało na to, że w obu założeniach krył się błąd. Gdyby zgarnęła największy okup w historii TunFaire, czy zagrzebywałyby się na takim śmietnisku?

A jeśli nie uciekł do Donni, to gdzie? Nie pojawiło się żadne inne nazwisko. Junior nie miewał przyjaciół.

Zdaje się, że ani jednego. W ciągu dwóch godzin z jego domu powiało śmiercią.

Całe podniecenie wygasło już dawno, wiele godzin temu. W tej części miasta nawet najbardziej groteskowa śmierć przestawała być czymś dziwnym, kiedy tylko krew przyschła.

Teraz ja sam, ponieważ stałem i tylko się przyglądałem, zacząłem być obiektem zainteresowania. Ruszyłem przed siebie.

W takich domach na drzwiach frontowych nie ma ani zamków, ani zasuw. Byłyby

jedynie zawadą dla ciągłego ruchu masy ludzi, która zamieszkiwała rudere. Wszedłem, przekraczając śpiącego pijaka, który leżał rozciągnięty na dziurawej podłodze. Schody skrzypiały i jęczały pod każdym moim krokiem. Nie było sensu się skradać.

I tak wszelkie próby skradania się byłyby śmieszne. Zanim dotarłem do właściwych drzwi na drugim piętrze, musiałem minąć dwa mieszkania, w których wcale nie było drzwi. Rodziny milkły i gapiły się na mnie.

Pokój śmierci posiadał drzwi, ale nie takie, które zamykałyby się dokładnie. Pchnąłem je, aż szurnęły po podłodze.

Było to miejsce odpowiadające dokładnie moim wyobrażeniom - jeden pokój trzy na cztery, bez mebli, jedno okno z okiennicą, ale bez szyby. Kupa koców leżała pod ścianą, udając łóżko, a wokół walały się rozmaite przedmioty. W jednym kącie podłoga i ściany poplamione były czymś brązowym. Musiało to przypominać rzeźnię, ale tak jest zawsze - ludzki owoc ma w sobie mnóstwo soku.

Musieli go jakoś przymocować. Nie można człowieka porznąć nożem, żeby nie wszczął awantury. Przekopałem całe pomieszczenie, ale nie znalazłem ani sznurów, ani rzemieni, ani niczego, czym możnaby go skępować. Zdaje się, że nawet wilkołaki mają czasami dość zdrowego rozsądku, żeby po sobie posprzątać.

Czy aby na pewno?

Wplątany w kłęb pościeli leżał przedmiot, który był mi znajomy z opisu Karla. Skórzana torba z długimi, ciężkimi rzemieniami. Odpowiednia, żeby wsadzić ją człowiekowi na łeb i przy-dusić do utraty przytomności.

Poplamiona była zaschniętymi wymiocinami. Wyobraziłem sobie, jak jakiś wytworny zbir odrzuca ją na bok z niesmakiem.

Niekoniecznie trzeba wiązać faceta, jeśli przydusisz go odpowiednio, zanim zaczniesz rznąć. Nim się ocknie, wykrwawi się na śmierć.

- Tak jak jest, pół marki w srebrze za tydzień. Jak chcesz mebli, to sobie przywieź swoje.

Obrzuciłem kobietę w drzwiach najniewinniejszym z moich spojrzeń.

- A co z tym bajzlem?

- Chcesz mieć posprzątane, marka z góry. Naprawy załatwiasz we własnym zakresie.

-I odliczam od czynszu? Spojrzała na mnie jak na durnia.

- Płacisz z góry co tydzień. Jak mi pokażesz, że można ci wierzyć, za kilka miesięcy mogę zrozumieć, jeśli spóźnisz się o dzień lub dwa. Po trzech dniach wynocha. Dotarło?

Była czarująca pod każdym względem. Gdyby nie miała tej oszalamiającej

osobowości jaszczurki, facet mógłby się pokusić o przepianie jej kudłów i szmat. Nie mogła mieć wiele ponad trzydziestkę, ale to co w środku, zostało kompletnie wypalone. To, co na zewnątrz, także wkrótce nie pozostanie daleko w tyle.

- Patrzysz tak, jakbyś myślał, że to pokój z gospożą. Uśmiechnęła się, pokazując miejsce na brakujące zęby. - To też za dodatkową opłatą.

Błysnęła mi pewna myśl. Może inspiracja z niebios. Co robią dziwki, kiedy są już za stare albo zbyt zdarte, by się liczyć w konkurencji? Nie wszystkie zostają Lettie Farens. Może był to ktoś kogo Donni знаła, zanim została dziedziczką.

- Nie interesuje mnie tak bardzo pokój, jak jego lokator. - Wyjąłem sztukę złota, błysnąłem jej w ślepią, które natychmiast omal nie wyskoczyły z orbit. A potem jej usta po prostu się zamknęły, całe w podejrzliwych grymasach, obramowanych rozkudłanymi, brudnymi włosami.

- Lokator?

- Lokator. Osoba, która mieszkała w tym pokoju. Oraz osoba, która za niego płaciła, jeśli to nie była jedna i ta sama.

Oczy pozostały podejrzliwe.

- Kto chce wiedzieć? Spojrzałem na monetę.

- Dister Gereteke. - Stary Gister to był zmarły król, jeden z wielu, którymi pobłogosławione zostało TunFaire. Teraz przydałby nam się jeden żywy - gdyby zrobił coś wartego wzmianki.

- Dubel?

- Tak mi się zdaje.

- To był chłopak, nazywał się Donny Pell. Nie wiem, co się z nim stało. Płacił za siebie. - Wyciągnęła rękę.

- Kpisz chyba. Donny Pell, he? Czy spotkałaś się z nim, kiedy jeszcze byłaś na fali?

Położyłem monetę na parapecie okna, odsunąłem się. Oblizła wargi, zrobiła krok. Już widziała, jak zamyka się nad nią pułapka, ale nie umiała otrząsnąć się z chciwości, a może myślała, że mnie spławi. Zrobiła kolejny krok.

W jednej chwili ona była przy oknie, a ja przy drzwiach.

- Powiesz mi?

- Co chcesz wiedzieć?

- Donni Pell, ale kobieta. Z domu Lettie Faren. Przyszła się tu ukryć jakiś tydzień temu. Zgadza się?

Skinęła głową. Miała jednak odrobinę wstydu.

- Znałaś ją wcześniej?

- Byłam już tam, kiedy przyszła. Była inna od reszty dziewczyn. Ambitna. Ale wtedy jeszcze porządna. Jeśli wiesz, co mam na myśli. Może stała się za ambitna. - Kostki jej prawej dłoni pobielaly, kiedy ścisnęła monetę. Już od jakiegoś czasu była poza intereselem i już od jakiegoś czasu nie widziała takich pieniędzy. Oczywiście, wtedy, kiedy jej tak łatwo przychodziły, nie myślała o oszczędzaniu. Jej spojrzenie powędrowało w stronę krwawych plam.

- Nabrała dziwnych gustów, jeśli chodzi o przyjaciół.

- Wilkołaki?

To ją zaskoczyło. -Tak. Skąd...

- Wiem o paru sprawach. O paru nie wiem. Ty też wiesz parę rzeczy i nie wiesz, czego ja nie wiem. - Wypożyczyłem sobie od Morleya Dotesa jego trik: wyjąłem nóż i zacząłem robić manikiur. - Może zatem powiesz mi wszystko co wiesz o niej i ludziach, którzy ją tu odwiedzali?

Jej blef był grubymi nićmi szyty i wiedziała o tym. Mimo to spróbowała:

- Jeśli krzyknę, zleci się tu cały dom.

- Zdaje się, że ten facet z kąta myślał tak samo. Jeszcze raz spojrzała na plamy krwi.

- Niech będzie. Chciałam tylko wiedzieć, czy nie zapłaciłbyś jeszcze trochę. Zgoda?

No to, co chcesz wiedzieć?

- Powiedziałem ci już. Wszystko. Zwłaszcza to, kto jeszcze był tu dziś rano i gdzie ona jest teraz - aby uniknąć dalszej serii wykrętów, dodałem: - Nie chcę jej zrobić krzywdy. Szukam jednego z jej chłopaczków. Wpakowała się w sam środek wielkiej i niebezpiecznej gry.

Dla niej może nawet śmiertelnie niebezpiecznej. Gdyby w tej grze miała być kolejna ofiara, postawiłbym całą forszę na Donni Pell. Chciałbym, przy odrobinie szczęścia, znaleźć ją, zanim bandyci usuną ostatnie ogniwo w swoim łańcuchu słabych punktów.

- Nie wiem, dokąd poszła. Nie wiedziałam nawet, że jej nie ma, dopóki ktoś nie odkrył tego bałaganu. To najświętsza, najuczciwsza prawda, panie.

Wyglądało na to, że rzeczywiście mówi prawdę. Chyba miałem bardzo wściekłe spojrzenie, bo stała się nerwowa. Ale z dziwkami do końca nigdy nic nie wiadomo. Całe ich życie to kłamstwa i fałsz, który nieraz przenika je tak głęboko, że potem sami nie potrafią odróżnić, co jest co.

- Panie, posłuchaj...

- Mów, tylko mów dalej, kochanie. Powiem ci, kiedy uznam, że mam tyle, za ile

zapłaciłem.

- Odwiedzało ją tylko trzech ludzi, o których wiem. Ten, który się zabił dziś rano. -
Jeśli chciała dalej udawać, że w to wierzy, w porządku, nie zgłaszałem sprzeciwu. -
Widziałam go tutaj po raz pierwszy. Ten drugi przyszedł tylko dwa razy. Za każdym był
dokładnie okryty takim płaszczem z kapturem, jakie noszą bogaci faceci na nocne wycieczki.
Nie widziałam jego twarzy i nigdy nie słyszałam imienia.

Niezbyt mi to odpowiadało, ale robiła chyba, co mogła, biorąc pod uwagę
okoliczności.

- Wysoki?

- Niższy od pana, tak mi się wydaje. Nigdy nie umiałam ocenić wzrostu.

- Ile miał lat?

- Mówiłam panu, nosił płaszcz.

- A głos? Co powiesz o głosie?

- Nigdy nie słyszałam, żeby mówił.

- Kiedy tu przyszedł? - Byłem zdecydowany coś z niej wyciągnąć.

- Wczoraj wieczorem po raz pierwszy. Został około dwóch godzin. Chyba się pan
domyśla, co robili. A potem wrócił dziś rano.

Wsiadłem na nią jak kwoka, usiłując ustalić porządek wydarzeń. Ale ona nie
wiedziała, kto kiedy przyszedł.

- Chyba ten w płaszczu był pierwszy. Może nie. Może to był ten, co się zabił. Tamten
przyszedł ostatni, tego jestem prawie pewna. Dwóch z nich było tu jednocześnie, ale nie
wiem, którzy.

Nie była zbyt inteligentna, za to porządnie wystraszona. Trzeci gość Donni, ten, który,
jak się okazało, przychodził co wieczór, wystraszył ją nie na żarty.

Była jednak całkiem pewna, że pierwszy wyszedł ten w płaszczu. Chyba.

- Opowiedz mi o tym trzecim. Tym częstym gościu. Tym, który cię tak wystraszył.

Wygląda ciekawie.

Dla niej wcale nie wyglądał ciekawie. Nie chciała w ogóle o nim mówić. To zły moja.

Uznałem to za dobry znak. Wie coś i to na pewno. Może wystarczy parę słodkich słówek...

- Ja jestem jeszcze gorszy moja, kochanie. I jestem tutaj - a do tego kilka delikatnych
ruchów nożem...

- Dobra, Bruno. W porządku. Nie musisz się wściekać. On sam się tobą zajmie.
Chłopaki, którzy za nim chodzą, nazywają go piękniś. Kiedy go zobaczysz, będziesz wiedział
dlaczego. Jest gorszy od człowieka-wilka w rui.

- Brzydki? - Pewnie pół-wilkołak, pomyślałem, bo co innego? Gdzieś tu musiał być jakiś wilkołak.

- Brzydki? Taki paskudny, że trudno powiedzieć, czy to człek, czy mieszaniec. Za każdym razem przychodził z kim innym, nieraz z wilkołakami, nieraz nie. Ale zawsze był z nim jeden wilkołak, nazywał się Skredli.

Oczy mi chyba zabłyśły, choć niekoniecznie z radości. Cofnęła się o krok, uniosła rękę, rozglądając się za jakąś kryjówką.

- Spokojnie, kobieto. Skredli? Oto właśnie imię, które chciałem usłyszeć. Jesteś pewna?

- Pewnie, że jestem pewna.

- Mówiłaś, że odwiedzało ją tylko trzech facetów. A teraz twierdzisz, że Piękniś odwiedzał ją z całym tłumem.

- Ci, którzy z nim przychodzili, nigdy nie byli w środku. Jak goryle, albo coś w tym rodzaju. Tylko dziś rano ten facet Skredli wszedł do środka, a kiedy indziej jeszcze jeden. Tak. Zgadza się. On chyba nawet kiedyś przyszedł tu sam i został z nią przez kilka godzin. Zapomniałam o tym. Uch! - Wzdrygnęła się. -Robić to z wilkołakiem!

- Chcę mieć tego Skredli. Gdzie go znajdę? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba w Dzielnicy Wilkołaków. Ale żeby go znaleźć, musisz też znaleźć Piękniś. Może i dziewczynę. Tylko że ona na pewno będzie przebrana za chłopaka. Jako Donny. Dlaczego już sobie stąd nie pójdziesz? Dlaczego nie z mnie w spokoju?

- Wiesz coś jeszcze?

- Nie.

- Wiesz, jasne, że wiesz. Kto przyszedł po ciało? Co chcą z nim zrobić?

- To był chyba ktoś z jego rodziny. Albo od rodziny. Elegancyjny ludzie z Góry ze swoimi własnymi żołnierzami i bez cienia współczucia dla biedaków. Mówili tak, jakby mieli oddać ciało do kremacji.

Jęknąłem. To właśnie się robi, jeśli się nie chce, żeby ktoś zbyt dokładnie przyglądał się nieboszczykowi. Na przykład kobieta, która dała życie tym zwłokom.

Może jednak jestem zbyt podejrzliwy? W tym zawodzie często tak się dzieje. Musisz pamiętać, żeby nie komplikować. Nie szukać ogromnej, pokrętej kombinacji, na miłą śmierdzącą sprytem i podstępem tam, gdzie wszystko można doskonale wyjaśnić odrobiną głupoty połączonej z desperackim wysiłkiem, by wszystko ukryć. I trzeba pamiętać, żeby patrzeć, kto na tym skorzysta. Tylko ten szczegół dziewięć razy na dziesięć wskaże ci winnego.

I to właśnie tym razem całkiem zbijało mnie z tropu, bardziej niż cokolwiek innego. Nie chodziło oczywiście o złoto. Cokolwiek by się okazało, złoto zawsze będzie

wytłumaczeniem. Ale kto mógł ciągnąć korzyści ze śmierci Amirandy Crest? Jak i dlaczego?

Gapilem się na tę kobietę. Ona nie będzie wiedziała. Wątpilem, czy w ogóle wie coś jeszcze, co warto byłoby usłyszeć.

- Stań tam, w kącie, dobrze? Doskonale. A teraz usiądź. Pobladła. Ręce, którymi objęła kolana, zbieleły z napięcia, jakby chciała ukryć ich dygotanie.

- Nic ci nie będzie - obiecałem. - Chcę tylko wiedzieć, gdzie jesteś, kiedy będę jeszcze raz przeszukiwał to miejsce.

Znalazłem dokładnie to, czego szukałem. Bingo. Zabrałem torbę ze skóry i wycofałem się.

Kiedy przechodziłem przez drzwi, kobieta zawołała za mną:

- Panie, nie znasz kogoś, kto chciałby wynająć pokój?

XXVIII

Znalazłem sobie kawałek gęstego jak syrop cienia i zainstalowałem się naprzeciwko rudery. Ulica opustoszała już z ludzi i co uczciwszych kotów i psów. Wrzaski i szamotanina wewnątrz budynków ucichła nieco. Slumsy zbierały siły na jutrzejszą walkę z bytem.

Czekałem. I czekałem jeszcze trochę. A potem jeszcze czekałem. Banda niedorostków w poszukiwaniu mocnych wrażeń przesnuła się obok mnie, ale nie zwrócili uwagi na moją osobę. Czekałem.

Po dwóch godzinach dałem spokój. Albo kobieta nie miała zamiaru popędzić do Pięknisia i Skredliego, albo opuściła dom innym wyjściem. Podejrzywałem, że nie miała ochoty nikogo ostrzegać.

Przygotowałem się na długą noc. Najpierw do domu, powiedzieć Truposzowi, czego się dowiedziałem, potem do Morleya, żeby się dowiedzieć, co donieśli mu jego ludzie i co on sam wie na temat zbira o ksywie Pięknis. A potem może jeszcze dalej, jeśli dowiem się czegoś ciekawego.

Ta ciekawa część rozpoczęła się, zanim jeszcze dotarłem do domu. Pomimo późnej godziny zobaczyłem grupę ludzi kręcących się wokół głównego wejścia. Zatrzymałem się i zacząłem obserwować.

Właśnie to robili, nic innego. Kręcili się i nawet nie usiłowali tego ukryć. Podszedłem nieco bliżej. Teraz widziałem, że noszą liberie. Podszedłem jeszcze bliżej i stwierdziłem, że liberie należą do dworu Raver Styx.

Nie miałem ochoty współpracować. Jeśli czekali na mnie, to tylko po to, żeby się brzydko zachować, skoro tylko się pojawię. Usunąłem się w cień i okrążyłem dom od tyłu. Tam przynajmniej nie było dodatkowego towarzystwa. Skrobałem i stukałem w drzwi, dopóki nie ściągnąłem Deana. Wpuścił mnie natychmiast.

- Dean, co my tu mamy?

- Towarzystwo z Góry.

- Tak podejrzewałem. Dlatego jestem taki dobry w tym, co robię. Kiedy widzę piętnastu chłopów kręcących się wokół po ulicy, momentalnie doznaję wrażenia, że mamy towarzystwo. A nasz gość?

- Na górze. Zwinęła się w kłębek i siedzi cicho.

- Dowiedziała się już?

- Ostrzegłem ją.

- Dobrze. Gdzie nasz drugi gość?

- W biurze. Czeka bardzo niecierpliwie.

- Będzie musiała jeszcze trochę poczekać. Jestem głodny i mam zamiar przekazać staruszkowi to, czego się dowiedziałem. I nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wysączyć z galon piwa, zanim stawię czoło tej harpii.

Dałem mu aż dwie szansę, żeby zapytał, skąd wiem, że moim gościem jest Domina Dount we własnej osobie, a on dwukrotnie zignorował przynętę. Ma swoje malutkie sposobiki wyrównywania rachunków.

- Nie byłoby dobrze niepokoić jego kościstość. Poszedł spać.

- Gdy obcy są w domu?

- Chyba ufa, że pan to załatwi - ton Deana sugerował, że stary uważa, iż tym razem geniusz Truposza zawiódł go co nieco, a On sam, biedaczyna, wszedł w zakręt przed ostatnią prostą wiodącą wprost do nieba Loghyrów.

Wygadało na to, że teraz już dwóch na nas trzech nie wie, kto jest właścicielem domu, a kto gościem i pracownikiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby Dean myślał o wprowadzeniu się na stałe. Osiągnął właśnie stan marudzenia-o-forse.

- Bądź grzeczny, Dean. Albo postawię cię przy ołtarzu z Willą Dount i ucieknę.

Nie uznał tego za zabawne.

- Tyle się tu dzieje, że właściwie mógłbym się ożenić. Postawił przede mną talerz z trzaskiem, jakiego nie powstydziałaby się nadašana stara żona. Ale żarcie było pierwsza klasa.

Pozwoliłem sobie na pełen satysfakcji grymas.

Na północ od krainy gromojaszczurów znajduje się miejsce zwane Odnogą Piekła. Nie jest całkowicie nie do zamieszkania, ale nikt chyba nie zostałby tam z wyboru. Gdziekolwiek się zwrócisz, w niebo strzelają gorące gejzery, zionące siarką rozpadliny, i miejsca, gdzie roztopiona ziemia leży w wielkich rozedrganych kałużach, od czasu do czasu bekając mokrym ka-blup! gazu.

Jeziorka lawy przysły mi do głowy dokładnie w momencie, kiedy ujrzałem Willę Dount. Cała jej imponująca siła woli skierowana była na powstrzymanie białej furii. Prawie świeciła na czerwono, ale twardo postanowiła, że nie beknie.

- Dobry wieczór - przywitałem się. - Gdybym spodziewał się gościa, nie wracałbym tak późno.

Usadowiłem się z moim kuflem.

- Mam nadzieję, że nie sprawiło to pani zbyt wiele kłopotu. - Zanim wyszedłem z kuchni, Dean przypomniał mi o cukrze, occie i muchach, a ja wziąłem sobie tę radę do serca.

I tak nie jest zbyt rozsądnie robić sobie wrogów na Górze, jeśli chcesz do czegoś dojść.

- Czekałam długo, ale z własnej winy - odparła. Zadziwiająco, że przyznała się do błędu w czymkolwiek, co robiła. - Gdybym jednak wysłała kogoś, aby wyznaczyć dzień spotkania, musiałabym czekać jeszcze dłużej... gdyby w ogóle zechciał mnie pan widzieć. Jestem pewna, że odmówiłby pan przyjscia do mnie.

-Tak.

- Uświadamiam sobie, że nie cieszę się pana zbyt dużym szacunkiem, panie Garrett. Kontakty z moimi podopiecznymi zapewne nie poprawiły pańskiej opinii w tym względzie, ale uważam, że nawet w takim przypadku nie powinno to wpłynąć na nasze interesy. Do tej pory, w większości przypadków, pozostał pan w naszych kontaktach profesjonalnie neutralny.

- Dziękuję, staram się. - Rzeczywiście. Czasami.

- Istotnie. A teraz po raz kolejny potrzebuję pańskiej profesjonalnej pomocy. Tym razem nie na pokaz.

Tym razem to ja powinienem był spytać: "Istotnie?" - ale się powstrzymałem. Zamiast tego pokazałem moją utalentowaną tresowaną brew.

- Jestem zdesperowana, panie Garrett. Mój świat wali się w ruiny wokół mnie, a ja nie jestem w stanie zatrzymać katastrofy. Jestem u kresu moich możliwości... nie, to już dawno mnie przerosło.

Poinstruowałem moją twarz, żeby wyglądała na zamienioną w słuch, cokolwiek zostanie powiedziane.

- Całe moje dorosłe życie spędziłam w służbie Strażniczki. Jeszcze przed śmiercią jej ojca. Nieczęsto była to przyjemna służba. Nie miałam żadnych wakacji, a pozytywne strony tej pracy były co najmniej dyskusyjne. Dzięki posiadaniu pewnych informacji zgromadziłam niewielką prywatną fortunę, około dziesięciu tysięcy marek. Wypracowałam też sobie pewną osobowość jako wirtualny partner Strażniczki w jej przedsięwzięciach, któremu można wszystko powierzyć i który każdą sprawę doprowadzi do pożądanego końca. W tym duchu popełniłam parę czynów, z których nie zwierzyłabym się mojemu spowiednikowi. Dumna byłam jednak, że powierzono mi ich wykonanie i że zaufano, iż nigdy więcej o nich nie wspomnę. Czy pan mnie rozumie?

Skinąłem głową. Lepiej jej nie spowalniać.

- Kilka miesięcy temu została wezwana do Kantardu, ponieważ szala zwycięstwa w wojnie wydawała się przechylać na naszą stronę i należało użyć wszelkich dostępnych środków. Pozostawiła mnie na gospodarstwie, jak to już robiła wielokrotnie, powierzając mi

w szczególności opiekę nad swoją rodziną, która wykazywała coraz większą skłonność do wplątywania się w skandale.

- Mówi pani o dwóch Karłach? To oni byli ukochani przez kroniki towarzyskie. O istnieniu córki do niedawna w ogóle nie słyszałem.

- Strażniczka była zaślepiona. Te dziewczyny zasługiwały na wiele więcej, choć Amber ostatnio zaczynała pokazywać rogi, po to tylko, aby zostać zauważona.

Skinąłem głową, dopełniając w ten sposób obowiązków rozmówcy.

Zaczerpnęła tchu.

- Tym razem, odkąd wyjechała, jakby nas ktoś przeklął. Ojciec i syn postanowili przy każdej okazji wyprowadzać mnie w pole. A potem musiało się zdarzyć to porwanie. Musiałam znacznie uszczuplić skarbiec rodzinny, sprzedawać srebro po niższej cenie, żeby zgromadzić tyle złota. Była to katastrofa, ale dla sprawy, którą Strażniczka uszanowałaby, kiedy jej gniew minie. Może nawet przeżyłabym to, że Amiranda uciekła, korzystając z zamieszania. Zanim zniknęła, była już od dłuższego czasu niespokojna. Nawet sama Strażniczka zauważyła, że coś jest nie w porządku. Ale wydać dwieście tysięcy marek w złocie na okup Karła, po to tylko, żeby sobie odebrał życie, to już nie do zniesienia.

Czy powinienem wiedzieć o Juniorze, czy nie? Instynkt podpowiadał mi ostrożną grę:

- Czy powiedziała pani, że Karl popełnił samobójstwo?

- Dziś rano. Podciął sobie żyły i wykrawił się na śmierć w jakiejś dziurze w Fishwife's Close.

- A po cóż miałby to robić?

- Nie wiem, panie Garrett. Mówiąc całkiem szczerze, w tej chwili niewiele mnie to obchodzi. On mnie tym zniszczył. Może taki miał zamiar. Był zawsze dziwnym chłopcem i nienawidził matki.

- Ale Karl nie jest powodem, dla którego tu przyszedłem. Kiedy Strażniczka powróci, a stanie się to niedługo, będę zgubiona jednakże moja duma - zdruzgotana, ale nie pokonana - zmusza mnie do działania, do ratowania, co się da. Amber uciekła z domu dziś rano. I tu zaczyna się pańskie zadanie.

Zaproponowałem mojej twarzy, aby zmieniła wyraz na zainteresowanie.

- Amiranda i Amber są wolne i dlatego w niebezpieczeństwie. Jeśli będę mogła choć tyle uratować dla Strażniczki, zrobię to. W tym celu sięgnęłam do moich własnych funduszy. Chcę, aby pan znalazł te dziewczyny.

Rzuciła mi przed nos sakiewkę.

- Sto marek w złocie, żeby pana wynająć. Zapłacę tysiąc marek w złocie za każdą z nich, jeśli je pan przyprowadzi przed przyjazdem Strażniczki.

- Czy pani człowiek Slauce nie może...

- Courter Slauce to niekompetentny imbecyl. Dzisiaj wysłałam go za Amber. Wrócił tuż przed moim wyjściem tutaj, zbyt pijany, żeby pamiętać, gdzie był i co robił. Pocieszam się pewnością, że zdechnie z głodu, kiedy Strażniczka wyrzuci nas wszystkich na bruk. Czy poszuka pan moich zaginionych dziewcząt, panie Garrett?

- Proszę dać mi parę minut do namysłu. - Musiałem wygładzić kilka szczerb w mojej etyce i osiągnąć porozumienie z sumieniem. Uznałem, że pracuję już dla trzech klientów: ja sam, Saucerhead i Amber. Chociaż Amber nie dostaje towaru pierwszej klasy. Zresztą, żaden z moich klientów mi nie płaci.

Willa Dount zapłaci, choć nie dostanie wszystkiego za swoje pieniądze. Przyszedł mi jednak do głowy pomysł pewnego eksperymentu.

- Przypuśćmy, że już teraz mam pewien pomysł, gdzie znaleźć jedną z pani dziewczyn?

- Czy tak jest naprawdę?

- Uważajmy to za przypuszczenie. Skąd mam wiedzieć, czy dostanę moją zapłatę?

Podniosła się z krzesła, prostując plecy, jakby była starsza o kilka dziesiątków lat.

- Byłam przygotowana na taką ewentualność. - Coś, co mogłoby zostać uznane za uśmiech zakręciło się w kąciku jej ust.

Zaczęła wyciągać sakiewki z kieszeni ubrania. W ciągu minuty stał przede mną szereg dziesięciu sztuk, każda bliźniacza siostra tej, którą zaoferowała mi jako zaliczkę. Sprawdziłem zawartość jednej z nich.

Była dobra.

Jedenaście setek marek w złocie. Więcej, niż kiedykolwiek mogłoby mi się przyśnić. Z widokami na kolejny tysiąc, który mogę zgarnąć bardzo łatwo. Pokusa, która wystawiłaby na próbę ciemną stronę duszy każdego człowieka.

Wszyscy szukamy wielkiej okazji - mamy na nią nadzieję, mówimy o niej - ale nie sądzę, abyśmy o niej myśleli. Nie na poważnie. Ponieważ, kiedy już się pojawi, trzeba się porządnie namyśleć.

Amiranda nie żyje. A czym jest dla mnie Amber? Morley zawsze powiada, że źródło kobiet jest niewyczerpane. A komu będę się musiał tłumaczyć i przeproszać?

Tylko sobie. I może Truposz będzie się krzywił z za mojego ramienia.

A poza tym zawsze jest okazja do wykonania pożytecznego doświadczenia.

Wstałem i zebrałem złoto jednym wielkim niedźwiedzim uściskiem.

- Proszę iść za mną.

Dean wyłączył lampy w pokoju Truposza. Nie wiem, dlaczego uważa, że to ma jakieś

znaczenie. Truposza nie obchodzi ani nadmiar, ani brak światła. Kiedy chce spać, śpi w słońcu, w burzy, w trzęsieniu ziemi. Pochyliłem się i złożyłem mój ładunek pod jego fotelem.

- Czy pan coś mi dostarczy, czy nie, panie Garrett? - zapytała Domina Dount

- Proszę się obrócić.

Na chwilę stała się człowiekiem. Wydała z siebie cichy skrzek i uniosła dłonie do twarzy. Wezwała jednak na pomoc całe swe opanowanie, potrzebując jedynie minuty na poskładanie wszystkich potrzebnych elementów. Potem wyszeptała.

- Czy ta seria katastrof nigdy się nie skończy? Spojrzała na mnie.

- Rozumiem, że pan to może wyjaśnić?

- Co wyjaśnić?

Odczekała dziesięć sekund z przymkniętymi powiekami, przycisnąłem ją.

- Zaangażowała mnie pani, abym znalazł i dostarczył pani, w miarę możliwości, Amber daPena i Amirandę Crest. Połowę zadania już wykonałem.

Spojrzała na mnie z nienawiścią za przymrużonymi powiekami. Mimo to jej głos pozostał neutralny, kiedy zauważyła:

- Miałam nadzieję, że dostarczy je pan w lepszym stanie. Bo ona rzeczywiście nie żyje, prawda? Nie jest w transie ani zaczarowana?

- Tak. Amiranda już od jakiegoś czasu czuje się tak fatalnie.

- Pańskie próby dowcipkowania są męczące, panie Garrett. Podejrzewam, że mogę uważać, iż to nie pan był osobą, która zadała tę śmierć. Chcę wiedzieć kto, co, kiedy, gdzie, dlaczego i jak.

- Ja też.

Mój eksperyment spalił na panewce. Domina Dount nie była osobą, którą zaskoczeniem można zmusić do powiedzenia czegokolwiek. O ile wiedziała coś, czego ja nie wiedziałem.

- No i co? - zapytała.

A dlaczego nie? Może coś jeszcze z niej wydębę.

- W dniu, kiedy miała pani zapłacić okup, Amiranda wynajęła mojego przyjaciela w charakterze ochrony. Tego wieczoru towarzyszył jej w drodze na wieś, na północ od TunFaire. Amiranda miała ze sobą kilka kufrów. Dojechali do skrzyżowania koło Lichfield. Tam się zatrzymali. Mój przyjaciel sądził, że miała się tam z kimś spotkać i jego rola się skończy, kiedy ten ktoś się pojawi.

- Kto?

- Nie wiem. On lub ona nigdy się nie pojawili. Zamiast nich przybyła tam banda

wilkołaków. Mój przyjaciel zabił kilku, ale nie był w stanie ich przepędzić, ani zapobiec śmierci Amirandy. Nie mógł uratować nawet samego siebie, choć napastnicy myśleli, że jest na tyle martwy, by wrzucić go do dołu razem z innymi ofiarami, gdy rozproszyli się, aby uniknąć przypadkowych podróży, mój przyjaciel zmobilizował dość sił, by podnieść Amirandę i wlec ją przez trzy mile do kogoś, kogo znał, a kto, jak sądził, mógł ją jeszcze uratować.

- Daremnie.

- Oczywiście. Mój przyjaciel nie jest bardzo inteligentny. Nie udało mu się. Poczł się urażony, jego duma została zraniona. W jakiś sposób wrócił do TunFaire, aż do Lazaretu Bledsoe, gdzie usłyszałem jego historię na oddziale dla umierających.

Willi Dount zmarszczyła brwi, niepewna, po co jej to wszystko mówię.

- Coś pan jeszcze zostawił dla siebie, prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

- Pani nie musi tego wiedzieć. Nikt inny nie musi tego wiedzieć, oprócz przyjaciół mojego przyjaciela... a niektórzy z nich to chłopcy, którzy zjadają wilkołaki na śniadanie i uważają, że pozostały pewne rachunki do wyrównania.

Willi Dount nie rozbije się nawet młotem. Spojrzała mi prosto w oczy i rzekła:

- Więc to dlatego węszyłeś i wszędzie wtykałeś swój nos. -Tak.

- Strażniczka nie lubi ludzi, którzy wtykają nos w jej rodzinne sprawy.

- Założę się, że jeszcze bardziej nie lubi tych, którzy zabijają jej dzieci. - Och, ta moja cholerna wielka gęba! To tak, jakbym wyrzucił przez okno worek złota. Na szczęście udało, że tego nie słyszy.

- Być może. Ale ci, którzy za dużo węszą, bardzo łatwo później zapadają na zdrowiu.

Zachichotałem.

- Będę o tym pamiętał. Jestem pewien, że przyjaciele mojego przyjaciela także. Może zdenerwują się nawet tak bardzo, że zechcą załatwić sprawę, zanim Strażniczka wróci do domu.

Porzuciłem taktykę eksperymentów na rzecz strategii zwiększania nacisku na Willę Dount. Na razie nie udało mi się jej na niczym przyłapać, ale wiedziała o rzeczach, które mnie interesowały. Może nawet powie mi niektóre, żeby trochę odetchnąć.

- Powie mi pani jak, gdzie i kiedy został zapłacony okup?

Z dumą Dount uśmiechnęła się blado.

- Nie, panie Garrett. - Wydaje się jej, że jest kryta. O ile tego potrzebuje.

Wzruszyłem ramionami.

- Niech będzie. Potrzebuje pani transportu, żeby przewieźć ciało? Mogę posłać mojego człowieka...

- Przyjechałam powozem. To wystarczy. Zaraz przyślę ludzi, żeby ją zabrali.

- Nie, nie robi pani tego. Proszę przyprowadzić powóz. Wyniosę ją- Doskonale. - Skwitowała to kolejnym uśmiechem.

Kiedy odwróciłem twarz od powozu, Domina Dount szepnęła.

- Niech się pan postara sprowadzić Amber w lepszym stanie, dobrze?

Policzyłem do pięciu, żeby ostygnąć z gniewu, jaki wzbudziła we mnie jej pewność, że złoto jest wszechpotężne. Usiłowałem pamiętać, że to tylko interes.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Wsiadła do powozu z uśmiechem, pewna, że wygrała rundę i dobrała się do mnie bardziej niż ja do niej. Nie byłem pewien, czy nie ma racji.

Zawróciłem, żeby usłyszeć, co myśli o niej Truposz.

Ten cholerny, tłusty i martwy sukinsyn przespał całą pieprzoną scenę.

Dokończyłem jedno wielkie i zimne, po czym otarłem usta.

- Mam ochotę strzelić baryłkę, ale noc jeszcze młoda. Powiedz pannie daPena, że Domina już poszła, ale jeśli ma choć trochę rozumu i instynktu samozachowawczego, to nie wychyli nosa z okna. Być może osiągnęliśmy etap, w którym ludzie już sprzątają po sobie śmieci rzeczywiste i wyimaginowane. Idę zobaczyć się z panem Dotes, wyjdę tyłem, na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował. Pozamykaj wszystko. Nie otwieraj, dopóki nie wyjrzyysz i nie stwierdzisz, że to na pewno ja.

Dean skrzywił się, ale był z nami już dość długo, żeby pamiętać niejeden trudny moment. Wyjął tasak do mięsa i swój ulubiony nóż rzeźnicki, oba tak ostre, że mogłyby odciąć nogę bez wiedzy jej właściciela.

- Idź - rzekł. - Dam sobie radę.

Wyszedłem, myśląc, że pewnego dnia wrócę do domu i zastanę wszystkie pokoje zasłane kawałkami włamywaczy. Dean nie należał do osób, które przyjęłyby napaść spokojnie lub z minimum przemocy. Bruno i Courter mieli szczęście, że zastali go nieuzbrojonego.

- Uff! przebyłem już ze trzy czwarte drogi do domu Morleya, kiedy orientowałem się, że mam cień. Co wcale nie znaczy, że nie widziałem - to on był taki dobry. Właściwie aż tak dobry, że w minutę po tym, jak go odkryłem, on już wiedział, że ja wiem, i nie wpadł w żadną z pułapek, jakie na niego zastawiłem, żeby mu się przyjrzeć.

Właściwie równie dobrze mógłby mi przedstawić podpisane zeznanie.

W TunFaire jest tylko trzech tak dobrych facetów. Dwóch z nich to Morley i ja, a Morley wcale nie uważa się za gorszego ode mnie.

Trzeci facet nazywa się Pokey Pigotta i jest może nawet lepszy od nas. Słyszałem, jak go podejrzewają o to, że jest na wpół duchem.

Pokey jest w tej samej branży co ja. Czyżby Domina Dount wynajęła go do pilnowania wynajętego pacholka?

Nie wydawało się to prawdopodobne.

Więc kto?

Tymczasem Pokey odkrył, że odczytałem jego podpis. Zaczął kombinować, jak mnie przechytryć.

Oparłem się chęci zagrania w tę grę, wołając, by się do mnie przyłączył. Cisza. Pokey Pigotta ma konserwatywne poglądy na to, co stanowi jego zobowiązania wobec klienta.

Uznałem, że do diabła z tym, i skierowałem się do Morleya.

Wszedłem przez frontowe drzwi i wprost do baru. Zaskoczony nocny barman tylko otworzył gębę, kiedy zobaczył, że kierują się do kuchni. Rzeźnicy karpieci przestali pracować i wytrzeszczyli oczy. Przespacerowałem się między nimi jak księżę pośród poddanych z prowincji: "Doskonałe, mój dobry człowieku. Dobrze. Ty tam. Pilnuj trochę wielkości porcji. To nie-wiadomo-co jest pokrojone za grubo".

Przeszedłem do magazynu, zanim poddani zerwali się, żeby mnie zlinczować. Magazyn doprowadził mnie wprost do tylnych drzwi, z których natychmiast skorzystałem. Wykonałem szybki sprint w głąb alejki i w boczną uliczkę do rogu akurat na czas, by zobaczyć, jak frontowe drzwi zamykają się za Pokeyem.

Dobrze!

Stwierdził, że skoro ja nie bawię się w gierki, to i on nie będzie. Po prostu wejdzie za mną, nie troszcząc się o to, by pozostać niewidzialnym. A to z kolei także może urządzać jego klienta, ponieważ obecność Pokeya powstrzyma mnie od bardziej ryzykownych gestów.

Poczekalem, aż drzwi się zamkną, i wyszczerzyłem zęby. Podbiegłem i rozejrzałem się wśród klientów. Nie można było lepiej tego wyreżyserować.

- Mam cię, Pokey - mruknąłem i ruszyłem w stronę drzwi. Rozejrzał się po sali i obrócił, żeby wyjść. Był to wysoki facet bez krzty mięsa na szkielecie - same gnaty, kanty i skóra tak blada, że można by pomyśleć, iż jest synem wampira z nieprawego łóża. Na obcych wywierał bardzo nieprzyjemne wrażenie.

- Tym razem naprawdę cię mam, Pokey. - Zajrzałem mu przez ramię.

Od drzwi zbliżał się właśnie Saucerhead Tharpe. Dobrze ukrywał swoje uszkodzenia. Nie wiedziałem, co tu robi, ale ucieszyłem się z jego obecności.

- Spieprzyłem robotę. - Pokey wzruszył ramionami.

- Co kombinujesz, Pokey?

- Mówiłeś coś, Garrett? Mam problemy ze słuchem.

- Co się dzieje, Garrett? - Saucerhead podszedł do nas. Wszystkie oczy w całej knajpie zwrócone były w stronę naszej grupki.

- Właśnie szliśmy z Pokeyem złożyć wizytę Morleyowi. Mam wreszcie jakiś ślad tych facetów, z którymi zderzyłeś się wtedy. Miło nam będzie cię gościć. - Zaprosiłem gestem Pokey, który poddał się nieuniknionemu, wiedziony przyjemną pewnością, że nie wiem o nim nic takiego, co uczyniłoby z nas wrogów. Czułbym się i myślał tak samo, gdyby nasze role się odwróciły.

Puściłem Pokeya przodem. Saucerhead ruszył za mną. Wszystkie oczy odprowadziły nas aż na szczyt schodów. Morley, naturalnie, już nas oczekiwał.

- No i co chcesz z nim zrobić? - zapytał zaraz na wstępie.

- Skoro nie chce powiedzieć, po co za mną łązi ani kto mu za to płaci, to nie wiem, czy go zostawić, czy nie. Ale... strzeżonego... i tak dalej. Musi pójść do magazynu.

- Na jak długo?

Może na dzień.

- Pokey?

- Siedzę czy pracuję, płacą mi tyle samo.

Morley myślał przez pół minuty, po czym zwrócił się do jednego ze swych chłopców.

- Jucha, czy mógłbyś bardzo grzecznie pozbierać własność pana Pigotty i położyć tu, na stole?

Pokey zniósł i to.

Wiem, jak się czuł. Sam przez to przechodziłem wiele razy.

Morley pogrzebał w zdobyczy, która zawierała sporo srebra, przyjrzał się jednej z monet.

- Ze świątyni.

Wziąłem drugą. Rzeczywiście, prywatna mennica, Taka sama jak ta, którą znalazłem na farmie.

- Mówi ci to coś? - zapytał Morley.

- Aha. Już wiem, dla kogo nie pracuje. - Domina Dount miewała wyłącznie złoto.

Więc kto?

- Wsadźcie go - poleciłem Morleyowi. - Mamy parę spraw do omówienia, do zdecydowania i może do zrobienia, a już jest późno.

- Jucha. Magazyn korzenny. Grzecznie i uprzejmie. Uważaj go za gościa pod pewnym przymusem.

- Jasne, panie Dotes.

Morley usunął z pokoju swoje oddziały. Przy dwóch tylko świadkach Saucerhead odprężył się i teraz dopiero było widać, jak bardzo źle się czuje. Minutę albo i dwie zmarnowałem na wyjaśnianiu mu, jakim jest durniem. Nie sprzeczał się. Ale do domu też nie poszedł.

Morley odezwał się pierwszy:

- Moi chłopcy powiedzieli mi tylko o jednej rzeczy, o której możesz nie wiedzieć. Ciało Juniora daPena zostało zabrane do krematorium przez tę Dount po drodze do ciebie. Przyjmuję, że wiesz, że zrobił sobie krzywdę.

- Wiem. Tyle tylko że nie sam. Przyjaciele bardzo mu pomogli.

- Garrett, znowu masz w oku ten błysk. Czy oznacza on, że wiesz, kto to zrobił?

- Aha. Jeden z nich to wilkołaczy mieszaniec nazwiskiem Skredli, i zupełnie przypadkiem jakiś Skredli jest także zamieszany w tak zwane porwanie Juniora... i prawdopodobnie w atak na Saucerheada i Amirandę. A tenże sam Skredli kręci się wokół osoby o ksywie Piękniś, która podobno jest wyjątkowo nieestetyczna... co się dzieje, Morley?

- Piękniś? Powiedziałaś: Piękniś? No. Znasz go?

- Nie osobiście. Słyszałem o nim.

- Teraz mnie się nie podoba ten błysk w twoim oku.

- Więc patrz w ścianę lub gdziekolwiek indziej i opowiadaj dalej. Kiedy mówiłem, Saucerhead siedział, przytakując sam sobie.

Bardzo szybko wyczerpałem worek nowin i Morley natychmiast wyciągnął pióro, papier i atrament i zaczął coś gryzmolić. Kiedy zamknąłem worek, Morley mruknął:

- Sztuczka Donni Pell jest osiłą koła. Masz powiązania między nią a wszystkimi innymi z wyjątkiem tej Dount. O Crest nie można nic powiedzieć, ale można przyjąć, że wiedziała, kto to jest Donni, ponieważ była w bliskiej przyjaźni z Juniorem. A zatem Donni jest kluczem. Spójrzmy, czy możemy na niej położyć łapy.

Saucerhead i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Ten facet to geniusz, no nie? Czyżby wyobraził sobie, że to ona następna wypłynie brzuchem do góry? Jeśli twardziele są na tyle twardzi, żeby porwać się na syna Raver Styx...

- Myślę - bąknął Morley - że następną ofiarą będzie facet zwany Pięknisiem... chociaż może się myłę.

Wciąż miał w oczach ten wyraz.

- Dlaczego? - zapytał Saucerhead. Przyjaciel Waldo jest zawsze taki bezpośredni...

- Opowiedz mi o Pięknisiu. Nigdy o nim nie słyszałem.

- Powinieneś być lepiej doinformowany, Garrett. To ważna osobistość.

- Staram się, ale mi pomóż.

- Jasne. Jest tu od niedawna. Naprawdę nazywa się Conrad Staley. Przyjechał z Hasbro po śmierci kacyka, widocznie uważał, że to dobra okazja, żeby uszczknąć dla siebie kawałek miasta. Jest człowiekiem, ale tak cholernie złośliwym i paskudnym, że bardziej pasuje do wilkołaków. Na początku przywiózł ze sobą własny gang, ale kiedy zaczął rekrutować tubylców, tamci wrócili do domu. Mocno trzyma starą bazę. Przez jakiś czas było gorąco między nim a Chodo Contague, ale jakoś to sobie poukładali. Piękniś ma Dzielnice Wilkołaków. Płaci procenty, żeby mieć tam spokój. Chodo też nie chce wojny, ponieważ ma kłopoty z własnymi ludźmi.

Chodo Contague to zbir, który mianował się kacykiem po śmierci swojego poprzednika. Jest silniejszy niż większość lordów z Góry, choć żyje w cieniu.

- Cokolwiek zrobimy w sprawie Pięknisia, Chodo będzie musiał zaakceptować. - Morley skierował się ku drzwiom. - To może oznaczać wojnę. Chłopaki, siedźcie tu cicho. Jeśli czegoś potrzebujecie, powiedzcie tym z dołu. Wrócę za kilka godzin.

- Dokąd idziesz, do licha? - zapytałem.

- Pogadać z Chodo. - I już go nie było.

- Zastanawiasz się, nad czym się zastanawiam, Garrett?

- Nie zastanawiam się, Saucerhead. Wiem.

Chodo Contague jest władcą podziemia TunFaire częściowo dlatego, że niejaki Morley Dotes podarował staremu kacykowi trumnę zawierającą wygłodzonego wampira. Staruszek otworzył pudło, przekonany, że to coś w środku zostało zabite przed dostawą. Saucerhead i ja byliśmy dostawcami tego wielkiego kantu, a nasz kumpel Morley nie zatroszczył się, aby nas o wszystkim wcześniej poinformować.

Miał poważny powód, żeby tak zrobić. Uznał, że jeśli się dowiemy, nie zechcemy pomóc.

Mały, zmyślny sukinsyn miał rację.

Długo, długo będę zbierał przysługi za tę drobną uprzejmość.

- Saucerhead, wiesz co, on jest znowu w długach. I znowu wyścigi robali. Ale ja nie chcę sam wchodzić do Dzielnicy Wilkołaków, więc pozwól mu rozegrać tę partię. Jednak nie mam zamiaru siedzieć tu i czekać na niego. Jeśli musimy zabić kilka godzin, zrobimy

przynajmniej coś pożytecznego.

Saucerhead tylko spojrział na mnie: wielki, zmęczony facet, który przecenił swoje siły. Wiedziałem, że jeśli przyjdzie nam ruszyć za Pięknisiem - a tak czy owak tym się skończy - Saucerhead ruszy za nami, choćby miał się wlec na czworakach.

- A ty możesz sobie w tym czasie uciąć drzemkę. Zobaczymy się za parę godzin.

Na dole pożegnały mnie ponure gęby, ale nikt mnie nie zatrzymał.

XXX

Poszedłem do Kolesia i tak długo waliłem w drzwi, aż wyciągnąłem go z łóżka. Burczał i przeklinał przez cały czas, ale wyprowadził wóz i przygotował zaprzęg. Wykrztusił nawet obowiązkową odmowę, kiedy próbowałem mu zapłacić, choć w końcu złamał się i przyjął pieniądze. Jak zawsze zresztą. Potrzebuje forsy, choćby nie wiem jak udawał.

Krematorium Larkin było odległe o milę. Spieszyłem się, choć nie miałem szczególnego powodu. Ciało Juniora zostało dostarczone późno, jeśli dobrze zrozumiałem Morley a, a zatem jeszcze nie posłano go do pieca. Było to niedozwolone nocą. Prawo zarówno religijne, jak i świeckie, zabrania kremacji w po zmroku. Dusza uwolniona w tym czasie byłaby skazana na wieczne błąkanie się w ciemności.

W TunFaire są tylko trzy krematoria. Byłem pewien, że Junior ma być spalony w Larkin, ponieważ leżało ono po drodze dla każdej osoby podążającej z domu Strażniczki do mojego. Nocny strażnik na pewno nie jest uczciwym człowiekiem.

Rakiem świata są ludzie opętani: niektórzy muszą dawać upust chorobie na umarłych, zaś inni muszą im tych zmarłych dostarczać.

Wprowadziłem wóz w alejkę obok krematorium i pozostawiłem zaprzęg spętany zaklęciem złożonym z najstraszliwszych gróźb, jakie mogłem wymyślić. Przynajmniej zwróciłem na siebie uwagę koni.

Zrobiłem to tak, jak robiono to zazwyczaj, to znaczy poszedłem do bocznego wejścia, wystukałem hasło i czekałem, podczas, kiedy ktoś uważnie mnie oglądał przez ukryty wziernik.

Wreszcie drzwi się otwały. Musiałem mocno zacisnąć zęby, żeby nie wybuchnąć śmiechem lub łkaniem. Nocny strażnik wyglądał jak żywcem wyjęty z cmentarnych horrorów, garbaty szczur tak paskudny, że mogłem przypuszczać, iż jego uroda przyćmiłaby nawet Piękisia. Miałem tylko nadzieję, że będę mógł dokonać porównania jeszcze przed świtem.

Jeśli istniało jakieś hasło, to na pewno go nie znałem, a on nie pytał. Wsunąłem mu złotą monetę, a on wprowadził mnie do pomieszczenia, w którym leżały zwłoki. Jak w starym dowcipie, ludzie oddawali ducha, by się tu dostać. Siedem z dziesięciu płyt było zajęte przez niecierpliwie wyczekujących nieboszczyków.

Szczur był urodzonym salesmanem. Podniósł prześcieradło:

- Te tutaj są najlepsze, jakie mam. A dzisiaj jesteś jedynym klientem - zachichotał.

Dziewczyna miała około czternastu lat. Nie widać było, dlaczego zmarła.

- Może nawet była dziewicą.

Była to jedna z tych chwil, kiedy ma się ochotę łamać gnaty, ale dla dobra interesu wkłada się własne uczucia do kieszeni i szczyrzy zęby. Minałem szczura i podniosłem płachtę z głowy drugiego trupa, który wydawał się bardziej odpowiedniej wielkości. Nie, to nie był mój człowiek.

Za drugim razem trafiłem bez pudła.

- Ten. Ile za to, żebym mógł go zabrać ze sobą?

Nigdy nikt na mnie tak nie patrzył, i mam nadzieję, że już nigdy nie będzie. Widziałem, że chce dyskutować, więc położyłem na płycie złotą dziesięciomarkówkę. Wątpię, żeby kiedykolwiek wcześniej widział taką monetę.

Chciwość wykrzywiła i tak paskudne rysy. Ostrożność jednak stała o krok za nią.

- To ktoś, kto został przywieziony z Góry, panie. Nie chce pan na pewno w to wchodzić.

- Masz rację. Nie mam zamiaru w to wchodzić. Mam zamiar to kupić.

- Ale... po co?

- Do kolekcji. Mam zamiar oddać jego głowę do skurczenia i nosić jako kolczyk.

- Panie, mówiłem już, że to ktoś z Góry. Jego rodzina przyjdzie po prochy.

- No to dasz im prochy. Ilu z nich to miejskie śmieci? - Tun-Faire ma takie rozporządzenie, żeby ciała włóczęgów, nierozpoznane i nieodebrane trupy rozdzielać rotacyjnie pomiędzy osiem zakładów pogrzebowych, którym płaci się z funduszu publicznego. Jest to lwią część dochodów każdego z tych przedsiębiorstw, ponieważ większość rodzin grzebie swoich zmarłych po prostu na najbliższym cmentarzu.

- Czworó. Ale muszę w to wciągnąć szefa.

- Ile? - Nie ubije tego interesu bez milczącej zgody przełożonego. - I nie bądź chciwy. Mogę po prostu to zabrać i pójść sobie, zostawiając ciebie na jego miejscu. - Miałem na to wielką, ogromną ochotę.

Szczur przełknął ślinę.

- Dwadzieścia marek.

- Masz dziesięć. Następne dziesięć, kiedy go załaduję. Będę za chwilę. - Mógłby spróbować szczęścia i zamknąć mi drzwi przed nosem, ale nie zrobi tego, mając przed kaprawymi ślepiami wizję dalszych dziesięciu marek.

Coś tam gulgotał, ale udałem, że nie słyszę. W dziesięć minut Później to, co zostało z Juniora daPena miałem już w wozie, Spojrzałem na garbusa, z monetą w dłoni:

- Ci sami ludzie przywiozą ci tu jutro drugie zwłoki. Jeśli nie będą nalegać, żeby obejrzeć kremację, chcę je także. To będzie kobieta i niech cię bogowie chronią, jeśli ktoś jej dotknie. Rozumiesz?

Przelknął ślinę.

- Pytałem, czy rozumiesz?

- Tak, panie. Tak, panie. - Ostrożnie sięgnął po złoto. Podałem mu monetę tak, żeby mnie nie dotknął.

Dean odpowiedział na drugie stuknięcie. Był ubrany.

- Spałeś?

- Nie mogłem zmrużyć oka. A to kto? Czy teraz kolekcjonuje pan trupy, panie Garrett?

- Tylko kilka, które mogą mi się przydać. Zabieram go do pokoju Truposza. Przytrzymaj mi drzwi. Jeśli Truposz się zbudzi i będzie chciał coś wiedzieć na ten temat, powiedz mu, że to Junior daPena i że chronię go dla jego matki.

Dean pozieleniał, ale wytrzymał. Kiedy już posadziłem trupa, nieco roztrzęsiony, wróciłem do kuchni i wymordowałem kilka kwart piwa, po czym znowu zebrałem się do wyjścia.

- Znowu pan wychodzi, panie Garrett?

- Nocna praca nie została jeszcze wykonana.

- To niedługo już będzie noc.

Miał rację. Wkrótce świt da o sobie znać.

W powrotnej drodze udało mi się prześcignąć Morleya, ale zaledwie na czas, aby zbudzić Saucerheada. Potem przyszedł Dotes ze swymi ludźmi: Juchą, Sierżantem i Kałużą. Po piętach deptało mu jeszcze dwóch innych. Nie znałem ich osobiście i nie zależało mi na tej znajomości. Wiedziałem bowiem, kim są: Crask i Sadler, pierwsze skrzypce wśród morderców Chodo Contague. Urodzili się jako ludzie. Następnie zostali zabalsamowani i przerobieni na zombie, nie kłopotując się umieraniem w międzyczasie.

- Co u diabła robią tutaj ci faceci? - prychnąłem. Nie pomogło mi, że wydawali się na równi zachwyceni widokiem moim i Saucerheada.

Morley zaczął swoje stare sztuczki.

- Spokój, Garrett. Jeśli nie chcesz ruszyć za Pięknisiem zupełnie sam.

Ugryzłem się w język.

- Tak niestety musi być, Garrett - rzekł Morley. - Piękniś zaszył się w Dzielnicy Wilkołaków. Sterroryzował tamtejszych ludzi, ale nikt nie kiwnie palcem, jeśli nagle Piękniś

zniknie z powierzchni ziemi. I on, i jego numer jeden, Skredli. Ty chcesz go dostać. Chodo też go chce. Chodo będzie cię osłaniał tak długo, jak długo będziesz grał czysto. Ale żąda za to pierwszego ciosu, kiedy już ich dostaniecie. Dasz mu listę pytań, na które chcesz mieć odpowiedzi, a już on ci je załatwi.

- Cudownie. Po prostu cudownie, Morley. - Byłem wściekły. Tak cholernie wściekły, że bałem się powiedzieć cokolwiek więcej. Morley spojrzał mi prosto w oczy w oczy i wzruszył ramionami.

Zrozumiałem, ale niekoniecznie musiało mi się to podobać. Saucerhead też był pod parą, ale lepiej to ukrywał. Wstał, splótł palce i wygiął, aż kostki trzasnęły.

- Trzeba żyć z tym, z czym musi się żyć. Zróbmy to, dopóki jeszcze śpią - mruknął i ruszył w stronę drzwi.

- Czekaj! - zawołał Morley. - To nie spacer w lesie z dziewczyną. - Wyszedł zza biurka i dotknął czegoś. Część ściany otwarła się, cholernie odsłaniając największą kolekcję śmiertelnych przedmiotów, jaką zdarzyło mi się widzieć od czasu, gdy rozstałem się z Marines.

Saucerhead spojrzał na arsenał i potrząsnął głową, nie na znak odmowy, lecz ze zdumienia. Dołączył do zbirów Morleya, którzy już zaczęli się ładować. Crask i Sadler przynieśli swoje narzędzia, ja także. Uważałem, że jestem dobrze wyposażony. Grymas Morleya powiedział mi, że on ma inne zdanie na ten temat. Wybrałem jeden nóż, na tyle długi, że mógłby być młodym mieczem, i jeszcze jedno cnotliwe maleństwo, jakie damy (które nimi nie są) noszą w podwiązce. Morley nie przestał się krzywić, ale nie skomentował.

W każdej sytuacji, oprócz ostatecznej, wołałem moją łamigłówkę. Na ostateczne sytuacje miałem to, co podarowała mi wiedźma.

Ruszyliśmy na dół. Chłopcy Morleya na czele, łowcy głów Chodo z tyłu. Ciekawskie oczy obserwowały nas, kiedy schodziliśmy i później, gdy ruszyliśmy tą samą ścieżką, której użyłem w rozgrywce z Pokeyem. O tej porze jednak w knajpie było niewielu gości i raczej tych zaprzyjaźnionych z Morleyem. Nieprędko ruszą plotki i informacje.

Kiedy mijaliśmy bar, barman skinął na Morleya. Dotes zatrzymał się i szeptał przez chwilę. Dogonił nas w drzwiach.

- Ostatnia nowina z rzeki. Statek Strażniczki został zauważony o zmierzchu, kiedy rzucał kotwicę na noc.

- Więc będzie tu jutro po południu.

- Dość późno, wiatry są niesprzyjające.

Należało to przemyśleć. Jakbym nie miał już dość do przetrwania.

* * *

Alejka wypełniona była wielką, czarną masą czterokonnego zamkniętego powozu. Dwa ogromne stwory o lśniących oczach i błyszczących kłach śmiały się z wysokości dwudziestu stóp.

- Hej, chłopcy.

Były to grolle - pół trolle, pół olbrzymy, w dzień zielone, totalnie złośliwe i bardziej wytrzymałe od stada gromojaszczurów. Tę dwójkę akurat znalazłem. Były to dwie trzecie trojaczków, które wyjechały ze mną do Kantardu na poszukiwanie kobiety dziedziczącej ogromną fortunę. Pomimo, że razem przeszliśmy niejedno, nie miałem najmniejszego pojęcia, czy powinienem im ufać. Ich przekleństwem były nieprawdopodobne imiona: Doris i Marsha.

- Małe ubezpieczenie na wszelki wypadek - szepnął Morley. - Myślisz, że kompletnie zdurniałem, mieszając w to Chodo?

- Nie, myślę, że uważasz, iż pomogę ci się wydostać z długów. Mam nadzieję, że masz rację.

- Jesteś bardzo cyniczny i podejrzliwy, Garrett.

- Ludzie podobni do ciebie czynią mnie właśnie takim. Grupa Morleya wsiadła do powozu, a Saucerhead właśnie się tam gramolił. Crask i Sadler zajęli miejsca woźnicy i strażnika, wkładając tradycyjne wysokie kapelusze i długie płaszcze. Każdy z nich miał bezpośredni dostęp do silnych i napiętych kusz.

Takie przyrządy są niezbędne na ulicach TunFaire, jeśli jesteś dość bogaty, żeby pozwolić sobie na powóz, a nie dość potężny, aby namalować na jego drzwiczkach tarczę herbową kogoś takiego jak strażnik burz.

Większość wytwornych państwa podróżuje z eskortą jeźdźców. Nam musiały wystarczyć dwa grolle, drepczące z ulubionymi zabawkami w objęciach. Były to młoty długie na dwanaście stóp i prawie za ciężkie, aby mógł je udźwignąć taki mizerota jak ja.

Morley wsiadł ze mną do powozu, wychylił się i polecił Craskowi, żeby ruszać. Pojazd skoczył w przód.

- Podejrzewam, że masz już plan? - zagailem.

- Wszystko przygotowane. Dlatego właśnie wciągnąłem w to Choda. Jego chłopcy znają dom Piękniśia. Ja nigdy go nie widziałem i ty także nie.

Mruknałem coś pod nosem. Reszta drogi upłynęła w milczeniu.

XXXI

Dzielnica Wilkołaków była o tej porze bardziej cicha niż śmierć. Wydaje się, że istnieje jakiś kulturalny imperatyw, który posyła ich do łóżka bardzo późno i zrywa do życia późnym popołudniem. Wjechaliśmy wkrótce po tym, jak większość wilkołaków poszła spać. Ulice nie były całkiem puste, ale to nie robiło wielkiej różnicy. Na zewnątrz pozostali sami włóczędzy i bardzo starali się, aby nas nie zauważyć.

Dwanaście godzin wcześniej bylibyśmy w kłopotach. Ulice byłyby zaludnione bardziej zdradziecką obsadą.

Wsunęliśmy się w przejazd pomiędzy budynkami, szeroki tylko na tyle, by zmieścić się w nim powóz. Przesunęliśmy się tylko odrobinę dalej, żeby móc otworzyć drzwi. Crask polecił nam wysiąść. Wysypaliśmy się na zewnątrz. Crask znów wycofał powóz w przejazd, tak że mogliśmy się teraz ukryć w cieniu.

- To jest ten dom - Morley wskazał czteropiętrowy pionowy Prostokąt w głębi ulicy. To całe należy do Pięknisia. Wyburzył domy po obu stronach, żeby nikt nie mógł się do niego dostać, My dobierzemy się do niego tamtędy.

- Cudownie. - W oknach na dwóch górnych piętrach wciąż paliło się światło. - Jesteś geniuszem.

Budynki w Dzielnicy Wilkołaków są o pięćdziesiąt do stu lat starsze od ruder w Fishwife's Close. W wielu przypadkach jest to nawet widoczne. Zostały one jednak zbudowane z cegły i kamienia, a cytadela Pięknisia była w doskonałym stanie. Nie musiał wspierać się na sąsiadach, aby pozostać w pozycji pionowej.

Pojawił się pierwszy, ledwie zauważalny promień świtu.

Morley wyjaśnił:

- Doris i Marsha wdrapią się na budynki po obu stronach. Spuszczą sznury. Ja, Crask, Jucha i Sierżant wejdziemy na ten bliższy. Reszta na drugi, a kiedy złapiemy wiatr w żagle... - monotonnym szeptem objaśniał plan.

- To śmierdzi - wtrąciłem.

- Chcesz wejść przez frontowe drzwi i wywalczyć drogę na górę?

- Nie. Do licha, gdybym nie miał pytań, które muszę zadać, po prostu podpaliłbym parter. Ogień poszedłby w górę jak dym z komina.

- Ale chcesz zadawać pytania. Gotów? No to w drogę. - Dorisa i Marsha już nie było. Nie czekali, aż zacznę wyrażać swoje protesty.

Byliśmy już w pół drogi do celu, kiedy przez frontowe drzwi wyszedł jakiś mężczyzna. Ręce miał schowane w kieszeniach i wpatrywał się w ziemię. Był człowiekiem, nie wilkołakiem. Przeszedł około pięćdziesięciu stóp w naszym kierunku, zanim zorientował się, że nie jest sam. Zatrzymał się, spojrzał na nas i oczy wyszły mu na wierzch.

- Bruno! - syknąłem.

Okręcił się na pięcie i ruszył w stronę budynku.

Brzęknęła kusza Sadlera.

Jak na strzał z ręki, trafił doskonale. Chyba ugodził Bruna w lewe ramię. Facet zatoczył się na prawo i ruszył ulicą, koncentrując się na szybkości.

- Zostawcie go. Zapolujemy na niego później! - zawołałem. - Zna parę odpowiedzi na moje pytania.

Zanim dokończyłem, Crask wystrzelił grot, który rozszepił kręgosłup Bruna o trzy cale poniżej karku. Sadler dosięgnął go w trzy sekundy później i przeciągnął wijące się jeszcze ciało w cień.

- Serdeczne dzięki - warknąłem.

Crask nawet nie zwrócił w moją stronę zabalsamowanej gęby.

Doris i Marsha dotarli na dach - każdy swojej - konstrukcji. Zaczepili sznury i spuścili je. W domu Piękniejsia światła powoli gasły. Saucerhead i ja staliśmy przy zwisającym sznurze.

- Dasz radę? - zapytałem.

- Garrett, martw się o siebie. Mnie już nic nie jest w stanie zatrzymać. - Zaczął się wspinać. Ja naciągałem sznur. Saucerhead gnał pod górę, jakby miał siedemnaście lat. Sadler szedł za nim nie z jedną, lecz dwoma kuszami przewieszonymi przez ramię. Następny był Kałuża. Garrett miał jak zwykle szczęście: nikt nie naciągał mu sznura.

XXXII

Kiedy dotarłem na dach, stwierdziłem, że Marsha już przeskoczył na budynek Pięknisia. Saucerhead odwiązywał linę, którą groll mu odrzucił. Sadler stał oparty o komin, który przytrzymywał oba sznury i celował z jednej kuszy w okno na najwyższym piętrze. Przez okiennice wciąż przesączało się światło.

Ciekaw byłem, czy lądowanie Marshy na dachu było słyszalne z dołu. Nie mogłem sobie jakoś wyobrazić, jak prawie dwie tony grolla harującego nad głową Pięknisia mogłyby go nie ostrzec.

Kałuza dołączył do Marshy. Odwiązał sznur, aby Marsha mógł go przeciągnąć, a sam przyjął znowu śmiertcionośną pozycję.

Marsha zwinął jeden koniec liny w uprząż dla mnie. Wchodząc w nią, zastanawiałem się, czy Piękniś i jego chłopcy doznali nagłego napadu głuchoty, czy może siedzą tam sobie, chichotać, i szykują nam jakąś malutką niespodziankę?

Miałem się o tym przekonać bardzo szybko.

Teraz było już dość jasno, bym mógł widzieć, jak Morley wchodzi w podobny kosz. Doris podciągnął go i przeniósł przez krawędź dachu.

Wszechświat zawirował. Pod moimi stopami otwarła się przepaść. Obracałem się na końcu liny, zezując na Sadlera, który celował, jak na mój gust, o wiele za blisko.

Marsha trzepnął mną o cegły, a potem przesunął mnie na tyle blisko, bym mógł zajrzeć przez szpary w okiennicy.

W pierwszej chwili nic nie zobaczyłem. Żadnych śladów pułapki, żadnego ruchu, nic. Pusty pokój i nic więcej. Nagle ktoś bardzo paskudny wsadził głowę przez drzwi i powiedział coś do kogoś drugiego, kogo nie mogłem widzieć. Plecy tego drugiego kogoś błysnęły mi na chwilę, kiedy w ślad za tym paskudnym wychodził z pokoju. Po napięciu ramion widziałem, że jest poruszony.

Zamachałem ręką. Saucerhead przywiązał linę do czegoś na dachu i zostawili mnie wiszącego.

Raport z drugiej strony był chyba równie pomyślny. Marsha przechylił się przez rynnę i rąbnął pałą prosto w okiennicę. Następnie wysunął Saucerheada na wyciągnięcie ramienia - to znaczy o jakąś milę - i wrzucił go przez okno. Saucerhead złapał mnie i wciągnął do środka. Kałuza wparował w sekundę potem.

Pokój był pusty, jeśli nie liczyć ruchliwych insektów zamieszkujących stos piętrowych łóżek. Saucerhead i Kałuza skierowali się ku drzwiom, a ja walczyłem z liną, jak mucha w pajęczynie. Gdzieś za ścianą słychać było okropny hałas.

W chwili, gdy Saucerhead podchodził do drzwi, wparował przez nie jakiś gość. Jego nos zderzył się z pięścią Saucerheada. Bez walki. Oczy wilkołaka wywróciły się na lewą stronę. Kiedy padał, Saucerhead dołożył mu raz jeszcze, tak dla pewności.

Wyplątałem się i ruszyłem za Saucerheadem i Kałużą w wąski korytarz, który z lewej strony kończył się ślepo. Kiedy ruszyliśmy w prawo, przez drzwi drugiego pomieszczenia wyskoczyła grupa stworów. Nie mieli więcej szczęścia niż ich poprzednik-Saucerhead był w odpowiednim nastroju.

W międzyczasie niebiosa przywdziały butki do stepowania i zaczęły wywijać czeczotkę na dachu. To grolle robiły porządek za pomocą swoich pałek.

Okropny hałas za ścianą okazał się odgłosami nierównej walki pomiędzy ekipą Morleya a Piękniem i dziesiątką jego pupilków. Na podłodze rozrzucone było jeszcze kilka ciał, wszystkie naszpikowane grotami. Gdy skoczyliśmy na pomoc, jeszcze jeden z nich popełnił błąd i stanął obok okna. Padł, kwicząc jak zarzynana świnia. Otruty? Bardzo możliwe.

Ponieważ jestem miłym chłopcem, rozwaliłem tylko kilka łbów moją pałą, zamiast dźgać w plecy jak Kałuża. Saucerhead rzucał wilkołakami dokoła, jak normalny śmiertelnik rozpędzałby bandę podwórzowych kotów. W suficie pojawiły się pierwsze dziury, wybite pałkami grolli. Ciosy były tak silne, że łamały dębowe dźwigary dwa na dziesięć cali.

Nasz atak z tyłu przeistoczył się w szarżę kawalerii. Nagle zyskaliśmy przewagę liczebną.

Piękniś dał dyla na schody. Wystawiłem nogę i musnąłem jego piętę na tyle, że stracił równowagę. Z rozpędu walnął we framugę i spłynął na podłogę.

Walka dobiegała końca, ale jeszcze nie wygraliśmy. Wilkołaki są silne i uparte. Kilku jeszcze pozostało w pozycji pionowej.

Chłopcy Morleya pozostawili ich naszej troskliwości i poszli wykończyć tych, którzy leżeli. Zaprotestowałem dzikim rykiem, ale mnie zignorowano.

Najgorszy etap przeszedłem bez zadrażnienia. Inni mieli po kilka siniaków i drobnych zacięć, z wyjątkiem Sierżanta, który zarobił cięcie w pierś do kości i wycofał się z akcji, żeby je opatrzyć.

- Tego nie! - ryknął Saucerhead do Kałuży. - Tego zostaw mnie! - Trzasnął ostatniego stojącego wilkołaka w łeb i wyjaśnił:

- To ten, który dowodził, kiedy zabili dziewczynę.
- Widzisz tu jeszcze jakichś, którzy tam byli? - zapytałem, chwytając oddech.
- Tylko ten. - Wywlókl z ogólnego zamieszania jeszcze jednego wilkołaka.

- To ten, którego nazywają Skredli - rzekł Morley. Tak właśnie podejrzewałem.

Od kilku minut na dole słyhać było jakiś niesamowity łomot. teraz Piękniś podniósł się i ryknął. Morley i ja skoczyliśmy , żeby go uciszyć, ale za późno.

Schody zatrzęsły się od dziesiątków stóp.

Nadciągnęła wataha wilkołaków.

W pierwszej partii musiało ich być ze dwudziestu. Zepchnęli nas na drugą stronę pokoju, pod ścianę. Grolle walące po łbach z góry zaledwie ich spowolniły.

A było ich coraz więcej.

Sierzant nie mógł się porządnie bronić. Kałuza padł. Myślałem, że Morley nie żyje. Dla reszty najbliższa przyszłość rysowała się dość mrocznie. Piękniś ochryłym głosem wyrzaskiwał histeryczne, krwiożercze rozkazy.

Nadszedł czas na coś desperackiego.

XXXIII

Upuściłem prezent od wiedźmy i przydepnąłem go nogą. Kryształ rozprysł się. Zgodnie z instrukcją zakryłem oczy, zarabiając w nagrodę kilka podstępnych ciosów. Lewe przedramię liznął mi wąski język płomieni.

Piekło przywołało wszystkich do porządku.

Otworzyłem oczy. Tłum ryczał jak stado krów w panice, dziko wymachiwał rękami i miotał się bez celu. Niektórzy kwiczeli, trzymając się podłogi. Oskoczyłem od najbliższej grupki szaleńców i mocniej ująłem w dłoń moją łamigłówkę.

Zgodnie z tym, co mówiła wiedźma, każdy z nich widział potrójnie i cały świat im się zakręcił. Ale to i tak nie ułatwiało sprawy. Było ich o wiele za dużo, nawet zdezorientowanych.

Przyglądałem się, jak Piękniś trzy razy walnął w ścianę, usiłując dostać się na schody. Próbowałem go sięgnąć, zanim da nogę, ale moje szczęście jak zwykle wyszło do toalety. Byłem o dwa wilkołaki od niego, kiedy trafił w drzwi. Poleciał ze wszystkich schodów, wyjąc z bólu i strachu.

Bardzo mi był potrzebny, ale nie na tyle, żebym zostawił przyjaciół na pastwę losu. Wróciłem do moich żniw.

Zanim uporałem się z tłumem, oberwałem kilka zadrapań, ale solidnie podeptałem przeciwnika. Stwierdziłem, że Morley w końcu przeżył. Stał oparty o ścianę, błąd jak śmierć. Saucerhead rozstawił nogi i wyszczerzył zęby. Grolle, które dostały się zaledwie na skraj czaru, zaglądały przez dziurę w suficie i też się śmiały. Pomogły mi przy rozwalaniu łbów. Jucha, kumpel Morleya, puszczał pawia w kącie. Sierżant i Kałuża leżeli gdzieś pod stosami ciał.

Wszystkim nam przydałoby się trochę łataniny.

Pokuśtykałem do okna.

Było już jasno, a z zewnątrz dochodziły jakieś dźwięki. Odgłosy tłumu. Dzielnica Wilkołaków już nie spała, ba, wydawała się zainteresowana.

Najwyższy czas pozbierać zabawki i spadać.

- Hej, wy tam - rzuciłem w przestrzeń. - Zamknąć oczy, oprzeć ręce o ścianę i po omacku dotrzeć do wyjścia na schody. Tam czekać na mnie.

- Co jeszcze kombinujesz, Garrett? - zapytał Morley głosem

O jedną oktawę za wysokim. Dławił się, jakby żołądek stanął mu w gardle i nie chciał

się stamtąd ruszyć.

- Nie twój zafajdany interes. Ciesz się, że mi się udało, ty geniuszu taktyki. Ruszaj do drzwi, a ja poszukam Sierżanta, Kałuży i Skredliego.

Jakiś wilkołak jęknął. Poczęstowałem go pałką po makówce. Ależ zostawię po sobie bolących łbów.

Najpierw znalazłem Skredliego, odciągnąłem go i przekazałem Saucerheadowi. Następny nawinął się Sierżant.

- Morley, Sierżant wyciągnął kopyta. Chcesz go zabrać do domu?

- Po co? Pospiesz się, czuję dym.

Ja też. Zacząłem wykopywać Kałużę.

- Do licha - mruknął Morley. - Co powiedziałbym moim chłopcom, gdybym któregoś zostawił? Powiedzieliby, że nie jestem lepszy od tych wilkołaków. - Zagadał do grolli w ich języku. Odtrajkotali mu coś.

- Podnieś go do góry, Doris go przejmie - polecił mi. - Szybko. Oni mówią, że tam na dole zaczął zbierać się tłum. Crask i Sadler strzelają do chłopców, jak im się który nawinie przed drzwi frontowe.

Znalazłem Kałużę. Żył, a przy odrobinie pomocy mógł się nawet wylizać. Zabrałem go do Morleya.

- Schodzę pierwszy, a wy za mną, najszybciej, jak się da.

Pogalopowałem w dół po schodach.

Powitał mnie hałas. Brzmiało to, jakby ktoś włókł się...

Przylapałem Pięknisia na podeście drugiego piętra, kiedy przygotowywał się do pokonania ostatnich schodów. Ale żeby go złapać, musiałbym wskoczyć w ogień, który rozniecił w pół drogi na trzecie piętro.

Miał złamaną nogę. W tej chwili nie mógł widzieć więcej niż podwójnie i omal mnie nie wykończył, zanim go obaliłem. Rozejrzałem się za innymi wrogami. Jedyni, jacy pozostali w pozycji stojącej, byli na dole, przy drzwiach. Trzech czy czterech stało koło wyjścia i klócili się, jak mają wyjść. Było to jedyne wyjście na parterze. Każdy, kto go użył, natychmiast zarabiał strzałę z kuszy.

Zawróciłem, by pomóc pozostałym przejść przez ogień. Pożar rozprzestrzeniał się, ale daliśmy radę. Tylko Morleya trochę osmaliło. Na widok jego żalosego wyglądu nie mogłem powstrzymać chichotu. Morley jest jednym z tych facetów, którzy mogą spędzać przed lustrem całe godziny.

XXXIV

Problem wilkołaków na dole rozwiązał się sam. Rzuciłem się na nich z krwiożerczym wrzaskiem, wymachując nożami, a oni rozpierzchli się jak stado przerażonych kuropatw i wyskoczyli na ulicę.

No, zaraz przekonamy się, na ile bezpieczni są ci sojusznicy Morleya...

Wystawiłem głowę.

Nie poczułem żadnej strzały.

Ostrożnie wyszedłem na zewnątrz, rozejrzałem się i zmarszczyłem brwi. Co się stało z tłumem? Nie widziałem nikogo oprócz wiejących wilkołaków i grolli, które właśnie zwały z budynku.

Powóz wytoczył się z alejki, zakręcił i stanął.

- Właźcie do środka - warknął Crask. - Nadchodzi wojsko.

Wojsko? Nic dziwnego, że ulice opustoszały.

Władowaliśmy się do środka, bezładnie padając na podłogę. Crask i Sadler ruszyli z kopyta, zanim zdążyliśmy się jakoś ułożyć. Grolle pogalopowały przodem na zwiady.

Wreszcie udało mi się usiąść.

- Morley, to dziwne. Nie wzywa się wojska do bijatyki w Dzielnicy Wilkołaków.

Powóz z hukiem i turkotem gnał przez alejki, które powinny być za wąskie i zakręcał na zakrętach, które powinny być za ostre. Cokolwiek można było powiedzieć o facetach na górze, to czego jak czego, ale jaj im nie brakowało.

Morley stęknął coś w odpowiedzi.

- Przybywają tylko z powodu zamieszek. I jest ośmiu, może dziesięciu takich, którzy mają prawo ich wezwać.

Morley stęknął znowu.

- Sam się nad tym zastanawiaj, Garrett. Mnie to na razie nic nie obchodzi.

Chyba coś go bolało.

Gdyby Bruno nie został zabity... Bruno był z Góry. Bruno spotykał się z Pięknisiem. Tylko lord z Góry mógł wyprowadzić armię. Może Bruno pracował dla kogoś, kto na tyle liczył się z Pięknisiem, aby wezwać mu wojsko na ratunek.

Cała ta sprawa zaczęła rozpychać mi głowę. Może Bruno i kilka innych faktów, których nie znałem, wymagali dokładniejszego przemyślenia.

- Muszę się dowiedzieć, dla kogo pracował.

Nikt nawet się nie zainteresował, co ja tam mruczę pod nosem.

XXXV

Powóz wypadł na główną ulicę, budząc popłoch wśród pieszych i ściągając na siebie wiązanki przekleństw innych woźniców. Zaraz zwolnił, żeby wtopić się w sznur innych pojazdów w porannym tłoku. Nie spostrzegłem żadnego żołnierza. W pięć minut później znaleźliśmy się przed domem Morleya. Sadler warknął, żebyśmy się wynosili do diabła.

Byłem wykończony, obolały i prawie na tyle zmęczony, aby przeżyć, że ktoś przejmuje robotę, którą ja rozpocząłem.

- Spokojnie, Garrett - mruknął Morley. - Zamknij paszczę i ruszaj do środka.

- Zamknij się, Morley. Mam już dość.

- Rób, co ci mówię. To znacznie poprawi twoje długoterminowe prognozy zdrowotne.

- Złapał mnie i z niewielką pomocą Saucerheada wcisnął w tylne drzwi. Stałem się znacznie bardziej potulny, kiedy stwierdziłem, że nasi sojusznicy zniknęli.

Morley i Saucerhead wnieśli do środka pozostałych. Sadler zszedł do powozu, żeby zająć się Pięknisiem i Skredlim. Pojazd ruszył.

- Może pójdziesz na górę i zrobisz listę pytań, na które chcesz usłyszeć odpowiedzi? - zaproponował Morley. - Zaraz poślę z nimi kuriera. Potem możesz iść do domu i wyspać się. Może wtedy będziesz bardziej rozsądny.

Przyznałem, że jeśli Saucerhead może przeżyć to, że nie zada pierwszego ciosu Skredliemu, to i ja zniosę jakoś, jeśli kto inny zajmie się Pięknisiem.

- Dobrze - odpowiedziałem, ale byłem przekonany, że nie uda mi się zaznać zbyt wiele odpoczynku.

Po drodze na górę wyjrzałem przez okno wychodzące na Dzielnicę Wilkołaków. Nad szalejącym ogniem, jak kamień nagrobny, wznosił się potężny słup dymu. Może dzięki Pięknisiowi choć część naszego ponurego dzieła zostanie zniszczona.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, była etykieta sługusa kacyka.

Zrobiłem moją listę, choć było to bezsensowne zadanie. Najtrudniejszą część stanowiło sformułowanie pytań o dwieście tysięcy marek w złocie w taki sposób, aby mój zastępca nie zorientował się, o co pyta, i nie zaczął radosnego śledztwa na własną rękę. Rozwiązałem ten problem, unikając go i prosząc o bezpośredni dostęp do chłopców, a może nawet nędzny podarek w postaci tej kreatury, Skredliego.

Kiedy skończyłem, wróciłem na dół, gdzie żywi byli właśnie łatani i próbowali jeść śniadanie. Miałem już tak dość, że nawet nie skomentowałem dania, które mi przynieśli.

Wygulgotałem kwartę soku owocowego i zacząłem napychać sobie jamę ustną.

Zapytałem:

- Saucerhead, skończyłeś już? Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. - Kiedy z nim skończyłem, przyparłem Morleya do ściany i namówiłem go, żeby zamienić się rolami z Pokeyem Pigotta. Jeśli go wypuścimy i zaczniemy śledzić, może doprowadzi nas w parę ciekawych miejsc.

XXXVI

Kiedy wróciłem do domu, Amber i Dean byli w kuchni. Wszedłem i padłem na krzesło. Saucerhead uznał mój przykład za tak wzorowy, że zaraz uczynił to samo. Dean i Amber wytrzeszczyli oczy.

- Trudna noc, panie Garrett? - zapytał stary.

- Można tak powiedzieć, jeśli się nie chce kogoś za bardzo przestraszyć.

- Wyglądasz okropnie - mruknęła Amber. - Cokolwiek to było, mam nadzieję, że było warto.

- Może. Dorwaliśmy się do ludzi, którzy zabili twojego brata i Amirandę.

Obserwowałem ją uważnie. Zareagowała tak, jak się spodziewałem, bez znaków paniki czy poczucia winy.

- Masz ich? Co zrobiłeś? Udało ci się czegoś dowiedzieć o okupie?

- Mam ich. Lepiej, żebyś nie wiedziała nic więcej. Nie dowiedziałem się niczego o pieniądzach, ale nie miałem szansy. Wciąż nad tym pracuję. Jak byś sobie poradziła, gdybyś na początek nowego życia dostała tysiąc marek?

- Cholernie dobrze. Mam niewielkie potrzeby. Coś kombinujesz, Garrett. Śpiewaj.

- Już za długo była z nim - mruknął Dean. - Zaczyna gadać tak jak on.

- Ja też cię kocham, Dean. Amber, Domina zaoferowała mi tysiąc marek, jeśli uda mi się znaleźć cię i oddać w jej ręce, zanim twoja matka wróci do domu. Jeśli chcesz tę forszę, zabiorę cię tam około południa, a ten mój przyjaciel pozostanie z tobą tak długo, aż poczujesz się bezpieczna.

Spojrzała na mnie przez zmrużone powieki.

- Co ci chodzi po głowie, Garrett? - zapytała. Umiała myśleć, kiedy się o to postarała.

- Willa Dount. Wie różne rzeczy, których mi nie powie. Nie ma żadnych sankcji, jakimi mógłbym to z niej wydobyć. Mogę jedynie próbować z nią zagrywek i zobaczyć, czy nie zrobi czegoś ciekawego.

- A co z okupem, Garrett? Przecież podobno nad tym pracujemy. - Jej oczy pozostały zwężone.

- Nie sądzę, aby była szansa, żeby go dostać. A ty? Naprawdę? Kiedy twoja matka jest w domu?

- Prawdopodobnie nie. Ale nie zachowujesz się tak, jakbyś chociaż próbował.

Saucerhead zajął się śniadaniem, które Dean mu zaoferował. Rozdziawiłem gębę.

Wcinał, jakby nie jadł już od tygodni, a przecież dopiero co pochłonał solidne śniadanie u Morleya. Ale cóż, tak się kończy spożywanie króliczej stawy.

- Domina zaproponowała ci wczoraj pieniądze? A ty nie rzuciłeś się na nie?

- Nie. - Dean nalewał sok jabłkowy. Zdałem sobie sprawę, że jestem wysuszony od czubka głowy aż po odciski. - Daj mi tak z galon. Nie ma to jak dobre napięcie, żeby się wypocić.

Saucerhead przytaknął z pełną gębą jedzenia.

- To nie chodzi o pieniądze, co, Garrett? - zapytała Amber. Saucerhead czknął.

- A tobie co, wieśniaku

- Przejrzała cię, Garrett - zachichotał. - Masz rację, dziewczuszko. Z Garrettem prawie nigdy nie chodzi o forszę.

- Chcesz pogadać, Waldo? Ile chciałbyś na tym zarobić, co? Skwitował imię ponurym spojrzeniem, po czym wzruszył ramionami.

- Jest parę spraw, które należałoby uściślić.

Amber zorientowała się, że chodzi o coś więcej niż to, o czym mówimy. Skrzywiła się.

- Jeśli wy możecie być szlachetni, to ja też. pójdę do domu, ale bądźcie blisko. Dobrze?

- Dobrze.

- Co teraz chcesz robić?

- Uciąć sobie drzemkę. Już zapomniałem, jak to wygląda.

- Spać? Jak możesz spać w tym całym zamieszaniu?

- Zwyczajnie. Kładę się i zamykam oczy. Jeśli chcesz coś robić i spalić trochę energii, przypomnij sobie wszystko, co wiesz o przyjaciółce Karla, Donni Pell.

- Dlaczego?

- Ponieważ z każdej strony wygląda na wspólny mianownik wszystkiego, co się wkoło dzieje. Ponieważ bardzo, bardzo chcę ją zobaczyć.

Miałem przecucie, że osoba Donni Pell może wyjaśnić nawet tajemnicze zjawienie się wojska w Dzielnicy Wilkołaków. Domyślałem się, że po wyeliminowaniu z równania Pięknisia i Skredliego ma nawet niewielką szansę pozostać przy życiu na tyle długo, abyśmy mogli ją odnaleźć i wypytać. Miałem nadzieję, że nie dostała nagłego i nietypowego ataku sprytu i nie wyniosła z miasta swojego krętackiego tyłka.

XXXVII

Opiłem się sokiem jabłkowym, aż zacząłem bulgotać jak stara manierka, po czym wstałem.

- No to cześć. Idę się odłożyć na półkę. Dean, obudź mnie w południe. Zanim sprzedam pannę daPena oprawcom, muszę jeszcze obrobić jedną kryptę. Saucerhead, możesz przespać się w pokoju, którego używa Dean.

Dean mruczał i mamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak groźba, że odnowi swoje mroczne plany matrymonialne i znajdzie mi żonę pośród swych kuzynek. Zignorowałem go. Jeszcze się nauczy, a ja byłem zbyt zmęczony, żeby z nim walczyć.

Dean nie obudził mnie zgodnie z instrukcją. Amber go wyręczyła o pół godziny wcześniej. Krótki odpoczynek nie wystarczył, żeby odnowić moją zdolność oporu. Obawiam się, że uległem.

Nie rozczarowałem się Amber.

Kiedy wróciłem do kuchni, stwierdziłem, że Dean odnalazł swoją maskę z grymasem. Była równie okropna, jak zawsze. Udawał jednak, że chce być grzeczny, więc nic nie powiedział. Pożarłem kilka kielbasek i ruszyłem w drogę.

Podśluchałem kilka rozmów wokół domu Kolesia, gdzie kręcili się starsi mężczyźni. Mieli około tuzina teorii na temat tego, co zdarzyło się w Dzielnicy Wilkołaków. Niektóre były równie szalone jak prawda, ale żadna nie była prawdziwa.

Zabranie ciała Amirandy było kwestią paru minut. Zapłaciłem, a oni dostarczyli je do bryczki. Zawiozłem ją do domu, a Dean Pomógł mi umieścić ciało w pokoju Truposza.

Czyżbyś znalazł sobie nowe hobby, Garrett?

Obudził się. A już myślałem, że będę musiał podpalić dom, żeby zwrócić jego uwagę.

A może chcesz zmienić zawód?

- Od czasu do czasu lubię mieć wokół siebie kogoś, kto nie unosi się gniewem.

Dean powiedział mi, że miałeś jakieś przygody.

- Tak. A gdybyś nie spał i trochę popracował, miałbym ich znacznie mniej - poinformowałem go o wszystkim.

Nareszcie zaczęłaś rozumieć, że parę rzeczy dzieje się jednocześnie. Jestem z ciebie dumny, Garrett. Zaczęłaś myśleć. Ciekaw byłem, jak długo jeszcze będziesz pomijał fakt kolejnych pojawień się tego typu B runo. Zwłaszcza w świetle faktu, o którym dowiedziałeś się jako pierwszym: że Karl wyszedł z domu, żeby rozejrzeć się w kwestii kradzieży, w której, jak

sugerowała ta kobieta Dount, mogła maczać palce inna rodzina z Góry.

- Domyśliłeś się, że jedno z drugim ma jakiś związek?

Oczywiście.

- Nie raczyłeś mi o tym wspomnieć.

Zaczęłeś być ode mnie za bardzo zależny. Powinieneś ćwiczyć trochę swój mózg.

- Po to tu jesteś, żebym ja nie musiał się wysilać. My, ludzie, jesteśmy urodzonymi śmierdzącymi leniami. Pamiętasz? Z wrodzoną ambicją i poziomem energii lekko tylko przewyższającym martwego Loghyra.

Nie staraj się tak usilnie, żeby mnie zirytować, Garrett. Doskonale sobie z tym poradziłeś za pomocą kolekcji ciał i parady rozgorączkowanych samic. Jeśli masz problem, którego nie potrafisz sam rozwiązać, gadaj. Jeśli nie, zmień miejsce pobytu na takie, gdzie poziom mentalności jest wystarczająco niski, by doceniono twoje dowcipy.

- Dobrze, geniuszu. Odpowiedz mi na to: Kto zabił Amirandę Crest? A może jest jeszcze coś, co chowasz za plecami, a ja będę musiał nadstawiać mój głupi łeb, żeby dowiedzieć się tego w pocie czoła?

Zdaje się, że chodzi ci o to, czy wiem, kto dał rozkaz, który spowodował śmierć panny Crest z ręki wilkołaka Skredliego i jego ludzi?

- Dokładnie mówiąc.

Musimy być dokładni, Garrett. Inteligentny umysł nigdy nie bywaniemiasny.

Mógłbym dyskutować na ten temat godzinami, ale się powstrzymałem.

- Czy wiesz, kto jest za to odpowiedzialny?

Nie.

- Wiesz, dlaczego?

Jest szansa, że gdybyśmy to wiedzieli, znalazłbyśmy także odpowiedź na pytanie "kto?". W tej chwili mógłbym podać trzy prawdopodobne możliwości, choć nie przesądzałbym, iż motywem była ciąża, o ile nie przedstawiś dowodu, że komuś o niej powiedziała. Tobie także oznajmiła to w sposób tak zawoalowany, że trudno byłoby się domyślić, a przecież większość kobiet odslania przed tobą najmroczniejsze zakamarki swej duszy.

- Wiesz, mając dwie marki i twoją pomoc, mógłbym co najwyżej kupić sobie baryłkę piwa.

Znajdź Donni Pell. Przyrowadź ją do mnie. Dowiedz się, kto był szefem Bruna. Szukaj wszystkich powiązań z rodziną daPena. Sprawdź te kradzieże w magazynach daPenów. To może otworzyć całkiem nowe perspektywy. A teraz znikaj. Już ani chwili dłużej nie zniosę twoich irytujących impertynencji.

- Jasne. Wyczaruję tę Pell z powietrza.

Nigdy się niczego nie dowiesz, jeśli tylko będziesz tu siedział i chlał piwsko.

- Przyznaję, masz nieco racji. Zanim jednak ruszę dalej na spotkanie z przeznaczeniem, może podpowiesz mi choć w dwóch słowach, jak Glory Mooncalled odprawia swoje czary-mary, A może twoja hipoteza nie wytrzymała próby czasu?

Hipoteza wytrzymała ją całkiem nieźle, Garrett. Ale nie upłynęło dość czasu, aby ją umocnić. Nie powinienem ryzykować sprzeczności z rzeczywistością, ale dostarczę ci klucz: Glory Mooncalled nie odkrył tajemnicy niewidzialności w nieskończoność. Wynalazł niewidzialność układową. Jeśli nie możesz oślepić oka, możesz je przekonać, że ślepotą leży w jego najlepszym interesie. A teraz znikaj. Zabierz tę wiedzę do jej rodziny.

XXXVIII

- Jesteś gotów? - zapytałem Saucerheada. Amber nie musiałem pytać, ponieważ wiedziałem, że nie jest - ani emocjonalnie, ani intelektualnie. Była śmiertelnie przerażona, ale za tysiąc marek gotowa była spróbować.

Saucerhead mruknął coś i powoli wstał z miejsca. Wyczyny wczorajszej nocy wyraźnie odcisnęły na nim swoje piętno. Mogłem tylko mieć nadzieję, że niezbyt mocno nadszarpnął swoje rezerwy. Nawet najbardziej uparta wola ma swoje granice.

- Do roboty, Garrett - odezwała się Amber.

U bram domu daPena powitał nas Courter Slauce we własnej osobie. Wyglądał ponuro, wciąż jeszcze nosił ślady tego, co przeszedł. Przypuszczam, że został ukarany. Gapił się na mnie z mieszaniną złości i niepewności.

- Powiedz Dominie Dount, że jestem tu z drugą z zamówionych przesyłek - oznajmiłem.

Przez chwilę zezował na Amber i Saucerheada, marszcząc brwi w zadumie, jakby w jego zamglonej mózgowicy pojawił się cień wspomnienia, zbyt ulotny, by go pochwycić.

- Możecie iść do jej biura. Pozostawiła portierowi odpowiednie rozkazy.

- Uhm. Nie powiem, że jej nie ufam, ale należy mi się zapłata. Jeśli mi ją tu znieśie, jest niejaka szansa, że ją rzeczywiście dostanę.

Znowu to spojrzenie. Mam wrażenie, że Truposz nie wykonał tak dobrej roboty, jak mu się zdawało. Niektóre wspomnienia Slauce'a musiały powrócić.

- Niech i tak będzie. - Zawołał kogoś z podwórca, kazał przyprowadzić Willę Dount i wyjaśnić, dlaczego. Kiedy znów zwrócił się ku nam, czoło miał zmarszczone, jakby wciąż usiłował złowić to ulotne wspomnienie.

Uznałem, że mogę go rozproszyć i za jednym zamachem dowiedzieć się czegoś. Opisałem dokładnie Bruna i zapytałem, czy zna faceta.

Był bardziej chętny do współpracy, niż się spodziewałem.

- Wydaje się znajomy, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się wabi. A dlaczego?

- Może mi się wydaje, ale mógł mieć coś wspólnego z kradzieżami w waszym magazynie. Nie wiem. Tylko coś takiego słyszałem. Nie wiem też, jak się nazywa, tyle tylko że podobno pochodzi gdzieś stąd. Powiadają, że miał robotę zblizoną do twojej.

Slauce potrząsnął głową, usiłując pozbyć się waty z mózgu. Amber i Saucerhead gapił się na mnie, wspólnymi siłami zastanawiając się, co też kombinuję.

Nic, tylko kij w mrowisko, przyjaciele. Strażniczka na horyzoncie czai się jak babunia tornado, więc każdy może spanikować i popuścić nieco farby.

Ale nie Courter Slauce. On tylko stał tam z tępą miną, usiłując pozbiierać myśli.

Z drugiej strony dziedzińca przyczłapała Domina Dount. Miała na twarzy ten sam obrażony i opanowany wyraz, który stał mi się już zanadto znajomy.

- Garrett znowu nadchodzi - oznajmiłem radośnie. Zmroziła Amber takim spojrzeniem, że dziewczyna schowała się za Saucerheada.

- Najwyższy czas.

- To było trudniejsze, niż się wydaje.

- Wejdz, Amber. Idź do swojego pokoju. Amber nie wyszła z ukrycia.

- Coś mi się chyba należy - wtrąciłem.

- Tak. Oczywiście. Garrett, jesteś pasożytem.

- Niewątpliwie, ale w przeciwieństwie do pasożytów wysokiej klasy, koję ból, zamiast go wywoływać - mruknąłem i wyszczerzyłem zęby. - Miesiąc miodowy już się skończył?

Omali nie odpowiedziała mi uśmiechem.

- Ostatnie minuty. - Zaczęła wyciągać małe skórzane woreczki. Pozwoliłem, by złożyła je w moich splecionych ramionach, po czym się obróciłem.

Amber wysunęła się zza Saucerheada, wzięła jeden z woreczków, odliczyła jego honorarium i szepnęła:

- Zajmij się tym, Garrett. Przyjdę po to, jak tylko uwolnię się od matki.

Słuchałem jej tylko jednym uchem.

- Czysta zawodowa ciekawość - zagadnąłem. - Czy już rozwiązano sprawę kradzieży w magazynach?

- Kradzieży w magazynach?

- Kiedy zostałem tu wezwany po raz pierwszy, powiedziała mi pani, że młodszy Karl zniknął, kiedy wybrał się sprawdzić, o co chodzi z tymi kradzieżami. Ciekaw byłem tylko, czy już pani coś wie na ten temat.

- Nie miałam czasu, żeby się tym zajmować, panie Garrett.

W czasie, gdy rozmawialiśmy, Amber i Saucerhead przemknęli koło nas. Domina zorientowała się, że Saucerhead chce wejść do środka.

- Hej, ty! Wracaj tutaj, nie możesz tam wejść. Saucerhead udał, że nie słyszy.

- Garrett! Kim on jest, u diabła? Co on robi?

- To osobista straż Amber. Młode pokolenie daPena pada jak muchy. Uciekła z domu

dlatego, że bała się być następną. Aby zechciała tu wrócić, musiałem wynająć jej strażnika tak okrutnego, paskudnego i upartego, żeby przeganiał nawet bogów. A także takiego, który ma kupę przyjaciół skłonnych do krwawej zemsty, gdyby mu się coś przytrafiło.

- Garrett, nie podoba mi się twój ton. Zdaje się, że mnie oskarżasz.

- Nikogo nie oskarżam. Jeszcze nie. Ale ktoś zamordował Amirandę i Juniora. Po prostu rozgłaszam wszem i wobec, że jeśli spróbują tego na Amber, może się to dla nich cholernie smutno skończyć.

- Karl sam się zabił, Garrett.

- Został zamordowany, Domino. Przez faceta zwanego Piękniś. Myślę, że z polecenia strony trzeciej. Później sobie z nim porozmawiam. A pierwsze pytanie, jakie mu zadam, będzie brzmiało: dla kogo pracujesz? Dzięki za wszystko. Miłego dnia.

Pozostawiłem ją z miną zadumaną i mam nadzieję, że nieco przestraszona.

XXXIX

Gra polegała na tym, że najpierw Garrett wyciąga ze swojego kramiku z horrorami trochę tego, co wie, a potem ma tylko nadzieje, że to trochę wygląda na wielki i potężny mur, o który może rozwalić winnego rozjuszona Strażniczka. Może ktoś spanikuje.

Odszedłem, rozglądając się, czy gdzieś nie czyha na mnie któryś z chłopaków Morleya. Nagle usłyszałem za sobą kroki. Obejrzałem się.

Courter Slauce biegł za mną z dziwnym wyrazem na tłustej twarzy.

- Panie Garrett! Proszę zaczekać.

Czyżby moje strzały w krzaki trafiły już w czyjś tyłek? Najwyraźniej bardzo chciał mi coś powiedzieć.

- Courter! Gdzie jesteś? Natychmiast tu wracaj!

Domina Dount krzyczała jak handlarka ryb. Nie widziałem jej, więc uznałem, że i ona nie może mnie widzieć. Slauce uniósł ręce w geście rozpaczony i podreptał do domciu.

Co chciał mi powiedzieć?

W domu czekał na mnie Morley. Od niedawna.

- Co się dzieje, Morley?

- Chodź chce się z tobą widzieć. Natychmiast.

- Nie cieszę się za bardzo. Kto przyniósł wiadomość? Morley wzruszył ramionami.

- Przekazuję tylko wiadomość, jaką zostawił mi Crask. Powiem tylko tyle, że nie wyglądał tak, jakby jego szef chciał tobą nakarmić rybki.

- To bardzo pocieszające, wiesz, Morley?

- Chodź to człowiek honoru... na swój własny sposób. Nie posieka nikogo bez ostrzeżenia.

- Jak Pięknisia?

- Pięknis dostał wiele ostrzeżeń. A poza tym sam się wystawił na tarczę i stał tam z wystawionym ozorem. Sam się o to prosił, Garrett.

- A jak ty uważasz? Powiniennem iść?

- Tylko wtedy, jeśli nie chcesz, żeby kacyk pogniwał się na ciebie. Może przyjdzie czas, że będziesz potrzebował od niego pomocy.

- Masz rację. Ruszamy. Dean, zamknij drzwi.

Dean coś burknął. Szepnąłem mu, że to już długo nie potrwa.

Chodź usadowił się w posesji na przedmieściu. Dom Strażniczki wyglądał przy nim

jak kamienica ze slumsów, zarówno pod względem wielkości, jak i ostentacji. Nasuwa się komentarz na temat ceny grzechu, jeśli ma się wytarte czoło.

Sadler czekał u bramy - komentarz na temat zaufania, jakim Chodo darzy własne nazwisko. Nie odezwał się ani słowem. Ruszyliśmy za nim przez profesjonalnie utrzymane ogrody. Z moim skrzywieniem zawodowym odruchowo analizowałem systemy zabezpieczeniowe.

- Nie schodź ze ścieżki - ostrzegł Morley. - Jesteś bezpieczny tylko w granicy zakłęcia.

Wtedy zauważyłem, że oprócz uzbrojonych strażników oraz ludożerczych psów, których obecność była tu spodziewana i naturalna, w krzakach łąziły sobie gromojaszczury. Nie były to te wielkie jak kamienica potwory, które zwykle w takich chwilach przychodzą nam na myśl, ale małe faceciki wysokie na cztery czy pięć stóp, dwunożne, składające się głównie z ogona, zębów i tylnych nóg stworzonych do biegania. W przeciwieństwie do psów, te stwory były za głupie, żeby je tresować. Umiały tylko żreć i kopulować.

- Miłe stworzonka - powiedziałem do Sadlera. Nie odpowiedział. Chłopcy kacyka to pierwszorzędną kompania.

Ponury nastrój został za frontowymi drzwiami.

Chodo wiedział, co to znaczy żyć po królewsku. Byłem w wielu domach na Górze, ale żaden nie mógł równać się z jego domem.

- Nie rozdziawiaj gęby, Garrett. To nieelegancko.

Pluton prawie nagich ślicznotek pluskał się w podgrzewanym basenie, trzy razy większym, niż powierzchnia parteru w moim domu. Minęliśmy je.

- Interes musi prosperować - mruknąłem.

- Na to wygląda. - Ten sam facet, który ostrzegł mnie, że bym nie rozdziawiał gęby, obejrzał się. Ślepie błyszcząły mu jak bramy piekła.

- Nigdy jeszcze ich nie widziałem. - Wpakował się na filar

Część domu, w której spotkaliśmy się z kacykiem, była mniej luksusowa. Właściwie był to zwykły, brudny i cuchnący loch, tyle że zlokalizowany na parterze. Sam kacyk był bladawym, tłustym i nalany facetem w fotelu na kołach. Nie wyglądał na takiego, co zaatakowałby nożem choćby kartofel, dopóki na ciebie nie spojrzeł. Takie ślepie widziałem tylko kilka razy w życiu, u bardzo starych i bardzo głodnych wampirów. Oczy Śmierci.

- Pan Garrett?

Głos pasował do oczu, głęboki, wilgotny i zimny. Czuło się wręcz te okropne istoty, które kłębią się pod jego powierzchnią. -Tak.

- Sądzę, że mam u pana duży dług.

- To nic takiego, ja...

- Kiedy pan węszył i szperał wokół tego, czego pan szuka, dał mi pan możliwość uwolnienia się od wyjątkowo paskudnej zarazy. Skorzystałem z okazji, w pośpiechu nieco może nieco panu namieszałem, w sposób, który właściwie powinien wyprowadzić pana z równowagi. Pan jednak okazał się bardzo uprzejmy. Wziął pan udział w operacji, na której to ja skorzystałem, choć dzięki temu stracił pan nadzieję, że znajdzie to, czego szuka. Dlatego uważam, że jestem pańskim dłużnikiem.

Gdyby nie ten pozagrobowy głos, mógłbym poczuć się nawet rozbawiony jego pedantycznymi manierami. Kiedy nie odpowiedziałem, ciągnął dalej:

- Pan Dotes nie wyjaśnił mi zbyt sensownie tego, co pan robi. Jeśli zapewniłby mnie pan, że jego interesy nie kolidują z moimi, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc.

Miałem zamiar delikatnie odmówić - wciąż wolałem, aby mnie z nim nie identyfikowano ale Morley trącił mnie lekko. To prawda, gość miał dwóch ludzi, których bardzo chciałem przesłuchać. Wyjaśniłem wszystko w możliwie najbardziej treściwy sposób, starannie omijając temat bujających na wolności dwustu tysięcy marek w złocie.

Sadler wtrącił:

- Jedno z przedsiębiorstw Pięknisia zajmowało się rozprawdaniem towarów skradzionych z magazynów na nabrzeżu, sir.

- Tak. Proszę mówić dalej, panie Garrett.

- W zasadzie chciałbym przesłuchać Pięknisia i Skredliego, abym mógł określić sektor ich pajęczyny intryg. - Czy to cię zadowala, ty podła, świńska ostrygo? - Chcę ich zapytać, kto zabił Amirandę Crest i młodego Karla daPena.

- Znałem Molahlu Cresta, kiedy byłem młody. Można powiedzieć, że byłem jednym z jego protegowanych. - Zgiął palec. Sadler podszedł do niego, pochylił się. Poszeptali chwilę.

Kiedy Sadler się wycofał, Chodo zapytał:

- Czy pytania, które chce pan zadać, to te same, które później zada Raver Styx, tylko dużo mniej delikatnie?

- Bez wątpienia.

- Więc nie tylko muszę spłacić mój dług, ale muszę też zrobić ruch, aby odwrócić uwagę możnych i potężnych. Zbłądziłem jednak, a dziś udowodniłem sobie własną omyłność w sposób nie pozostawiający wątpliwości. Mogę ofiarować panu tylko mniejszą część tego, czego pan pragnie. Przecenilem wytrwałość pana Staleya i biedak opuścił ten padół. Nie

wytrzymał.

Westchnąłem. Powinienem się być spodziewać, że grób zatrzaśnie mi jeszcze jedno drzwi przed nosem.

- Kiedy go widziałem ostatnio, nie był w kwitjącym zdrowiu.

- Może jego obrażenia były bardziej rozległe, niż się wydawało. Tak czy owak, dowiedziałem się niewiele. Jednak ten drugi, wilkołak, przeżył i jest skłonny do współpracy. Problem w tym, że chyba nie wie zbyt wiele.

- Nie może.

Morley trącił mnie łokciem.

- Donni Pell, Garrett.

- Co?

Chodo uniósł pulchną, niemal białą gąsienicę brwi. Był w tym tak samo dobry jak ja.

- Garrett, sam powiedziałaś, że ta dziwka jest kluczem. A ty nawet nie wiesz, skąd zacząć poszukiwanie.

- Kim jest Donni Pell? - zapytał Chodo.

- Pajęczycą w tej sieci. - Posłałem Morleyowi ponure spojrzenie. - Kiedyś pracowała dla Lettie Faren, ale uciekła w dniu, kiedy porwano Juniora. Może być spokrewniona z Lettie. Rodzaju ludzkiego, ale ma skłonność do wilkołaków - opowiedziałem wszystko po kolei, jak to imię Donni Pell wyskakiwało na mnie na każdym kroku. Zakończyłem: - Może przebierać się za chłopaka, ale używa tego samego nazwiska.

Chodo stęknął. Zaczął oglądać paznokcie różowej, pulchnej dłoni.

-Panie Sadler...

- Słuchani, sir?

- Znajdź tę dziwkę. Dostarcz do rezydencji pana Garretta.

- Tak jest, sir. - Sadler natychmiast wyszedł.

- Jeśli jest w mieście, znajdziemy ją, panie Garrett - powiedział Chodo. - Panowie Sadler i Crask są wyjątkowo skuteczni.

- Zauważyłem to.

- Myślę, że już czas, bym zabrał pana do mojego gościa-wilkołaka. Proszę. - Okręcił swój fotel i potoczył się naprzód. Razem z Morleyem podążyliśmy za nim.

Kiedy zobaczyłem Skredliego, pierwszym określeniem, jakie przyszło mi do głowy, był "podtopiony wróbel". Wydawał się bardzo mały, bardzo słaby, okropnie zmaltretowany i trudno było uwierzyć, że był kiedyś groźny dla kogoś większego od pluskwy. Ciekawe, teraz go rozpoznałem. Przedtem, w Dzielnicy Wilkołaków, ani później w powozie, nie pamiętałem

go, ale teraz tak. Był jednym z gangu, który usiłował mnie napaść w drodze do drogisty po jakieś pachnidło.

Skredli siedział na zmiętym posłaniu. Uniósł głowę, ale bez specjalnego zainteresowania. Wilkołaki mają skłonność do fatalizmu.

Morley przytrzymał drzwi Chodo, potem odstepił na bok. Kacyk oparł swój fotel o drzwi.

Przyglądałem się Skredliemu, zastanawiając się, jak do niego dotrzeć. Człowiek musi mieć nadzieję, żeby być wrażliwym. Temu już nie stało nadziei, więc był bardziej martwy od Truposza. Tyle tylko, że jego zdradzieckie serce wciąż pompowało krew, a zbite ciało nie przestawało boleć.

- Dobre czasy zawsze kiedyś się kończą, co, Skredli? A im są lepsze, tym z większej wysokości spada się na końcu. Mam rację?

Nie odpowiedział. Nie oczekiwałem tego.

- Szansa na dobre czasy jeszcze nie przepadła.

Lewy policzek drgnął mu, ale tylko raz. Wilkołaki i ich mieszańce nie są wrażliwe na los swoich kamratów, ale na swój bardzo.

- Pan Chodo dowiedział się od ciebie tego, czego chciał. Nie ma do ciebie żadnej szczególnej urazy. Ja także; jeśli się gniewam, to nie na ciebie. Nie ma zatem powodu, dla którego nie mógłbyś stąd wyjść, jeśli dasz mi to, czego potrzebuję.

Nie zaprzątałem sobie głowy sprawdzaniem, jak Chodo zareagował na to, że wkładałem mu w usta własne słowa. Nieważne. Zrobi wszystko, bez względu na to, co powiem czy obiecuję.

Skredli uniósł głowę. Nie uwierzył mi, ale chciał wierzyć.

- Wszystko diabli wzięli, Skredli. A ty jesteś na dnie. Nie masz wyjścia tylko w górę lub na tamten świat. Wybór należy do ciebie. - Po drodze do celi zadałem Chodo tylko jedno pytanie: czy Skredli wie, że Piękniś nie żyje? Wiedział. - Twój szef nie żyje. Nie musisz dalej być lojalnym lub się go bać. Twój los jest wyłącznie w twoich rękach.

Morley poruszył się pod ścianą, spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć, że moja gra szyta jest zbyt grubymi nićmi.

Skredli stęknął. Nie wiedziałem, co to może oznaczać. Uznałem to za zachętę.

- Jestem Garrett. Już kiedyś się spotkaliśmy. Skinięcie głowy.

Miałem go. Przynajmniej na razie. Obawiałem się, że za łatwo mi to przyszło, ale potem doszedłem do wniosku, że tak właśnie sprawy się mają z wilkołakami. Kiedy nic nie masz, nic nie możesz stracić.

- Pamiętasz okoliczności? Jeszcze jedno sieknięcie.

- Kto cię w to wrobił?

- Piękniś - był to suchy, nieprzyjemny dla ucha skrzek.

- Dlaczego? Po co? Nie miałem nigdy do czynienia z żadnym z was.

- Interes. Mieliśmy nagrane sprawy w magazynie daPena i myśleliśmy, że masz zamiar się wtrącić i wszystko zepsuć.

- Oni, to znaczy kto?

- Piękniś.

- I kto jeszcze? Powiedziałeś: "oni".

Doszedł do następnego punktu decyzyjnego. Postanowił nieco poprawić prawdę.

- Facet nazywa się Donny jakiś tam. To on ustawił całą robotę.

- Chodzi ci zapewne o dziwkę nazwiskiem Donni Pell, która pracowała dla Lettie Faren i miała hysia na punkcie wilkołaków. Nie rób tego więcej, Skredli.

Ramiona mu opadły.

XL

Zrobiłem sobie chwilę do namysłu. Pojawiła się sprawa czasu, która wymagała zwiększonej uwagi. Skredli był w mieście, z tamtą grupą, kiedy Junior został porwany. A potem był na farmie tego popołudnia, zanim Junior odszedł, a następnego dnia już prowadził grupę, która załatwiła Amirandę.

Przez chwilę układałem to sobie w głowie.

- A teraz ten cały plan z magazynem. Wszystko po kolei. Przyłapałem go na Donni Pell, więc tym razem postanowił podać mi prawdziwszą wersję.

- To był jeden z pomysłów Donni. Zawsze przynosiła nam swoje pomysły, które brała z rzeczy, jakie klienci opowiadali jej w łóżku. Niektórych spróbowaliśmy. Miała dziewczucha oko. Teraz to był dobry kawałek. Raver Styx opuściła miasto, a Donni nawinęła sobie majstra, który pozwolił jej odprowadzić dziesięć procent wszystkiego, co przechodziło przez magazyn. Dzieliliśmy się z Donni pół na pół, ponieważ to ona trzymała rękę na daPena. Część majstra i wydatki szły jednak z jej części. Wynieśliśmy kupę różnych rzeczy. Praktycznie tyle, co z całego nabrzeża razem. A potem Donni ostrzegła nas, że zaczynają coś podejrzewać. Ta baba od Raver Styx, Dount, wysłała chłopaka, żeby zaczął węszyć. A potem przyszedłeś ty i zacząłeś wsadzać nos akurat wtedy, gdy zamierzaliśmy zakończyć sprawę jednym wymieceniem magazynu do czysta. Kazali mi zniechęcić cię trochę.

Ciekawe. Nie obawiali się mojej reputacji eksperta w sprawach o porwanie?

- Kiedy uderzyliśmy na dom w Dzielnicy Wilkołaków, wychodził z niego jakiś facet. Taki Bruno z Góry. Znasz go?

- Nie wiem, jak się nazywa. Donni go znała. Pracował dla faceta, który zabierał towar z magazynu. Martwił się. Wynajął jakiegoś innego typu, żeby cię śledził, i myślał, że ty go złapałeś. Chciał, żebyśmy z tobą coś zrobili. Zaczęła się wielka panika z zacieraniem śladów, bo Raver Styx była już widziana w Leifmold i mogła pojawić się w każdej chwili.

Obróciłem się do Morleya.

- Pokey?

- Prawdopodobnie.

- Co się z nim stało?

- Wypuściłem go. Wrócił do domu i siedzi cicho. Wie, że go obserwujemy.

- Aha. Skredli, dla kogo pracował Bruno?

- Nie wiem. Nie wiem, czy nawet Piękniś wiedział. Donni albo ten Bruno przynosili

wszystkie wiadomości.

- Ostrożny facet. Mądry, biorąc pod uwagę, kogo okradał. Ale towar trzeba było jakoś przewozić.

- Mieliśmy własny magazyn, częściowo legalny. Bruno wynajął ludzi, żeby zanosili tam wszystko.

Była okazja, żeby sobie trochę pochodzić, gdybym naprawdę chciał się dowiedzieć, dokąd wędrowały towary z magazynu Strażniczki. Zastanawiałem się, czy powinienem zapytać, jakie towary od Strażniczki były tak atrakcyjne dla złodziei, ale uznałem, że niewiedza może w przyszłości okazać się korzystniejsza. Potrzebne mi było kto i dlaczego, ale niekoniecznie: co.

- Pogadajmy o młodszym Karlu daPena. Pewnej nocy, kiedy wychodził tylnymi drzwiami od Lettie Faren, ktoś wsadził mu worek na łeb, przydusił i wrzucił do powozu. A potem historia zaczyna się stawać niejasna.

Skredli doszedł wreszcie, czego od niego chcę. Gotów był udzielić wszelkiej informacji bez naruszania tej odrobiny sumienia, jakie znajduje się w wilkołaczym sercu.

- Wszystko zaczęło się jako mistyfikacja. Chłopak chciał uciec od starej i przy okazji ją obrobić. Zaplanował to z Donni, żeby wyglądało na porwanie, i chciał podzielić się z nią okupem, a potem ruszyć w drogę. Donni miała z kolei podzielić się z nami, Żebyśmy zrobili wszystko jak trzeba. Piękniś raczej nie wchodził w takie rzeczy, ale to wyglądało na darmowe pieniądze, więc posłał po starą paczkę i zrobiliśmy to.

- Tylko że wyszło trochę inaczej. Co się stało?

- Nie wiem. Naprawdę. Tej samej nocy, kiedyśmy się spotkali na ulicy, Piękniś posłał po mnie i powiedział, że jest wielka zmiana planów. Widziałem Donni, jak wychodziła, więc wiem, skąd ta zmiana. W każdym razie powiedział, że mam iść tam gdzie był schowany chłopak, i zrobić tak, żeby to było prawdziwe porwanie. A kiedy przyjdzie okup, mieliśmy wyjść na tym znacznie lepiej niż w starym planie. Mieliśmy zostawić chłopaka powiewającego na wietrze.

- Aha. - Myślałem przez chwilę. - A jak wyglądał udział Donni w tym lepszym planie?

- Myśmy mieli wziąć całą dolę chłopaka.

Coś mi mówiło, że Donni wzięła swoją dolę całkiem gdzie indziej.

- Więc to było tak? Poszliście, wzięli pieniądze i ruszyli na północ?

Mój ton ostrzegł go.

- Nie. Wiesz o tym, prawda?

- Żeby wziąć tę dolę ekstra, musieliście zabić dziewczynę, tak?

- Piękniś kazał. Mówił, że tak trzeba. Mnie się to wcale nie podobało.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Słuchaj, usłyszysz to ode mnie jeszcze nie raz. Bo naprawdę nie wiem. Nie byłem jego partnerem. Piękniś mówił mi pewne rzeczy, ja je robiłem i dostawałem za to forszę. A płacił mi i za to, żebym nie zadawał pytań. Jeśli chcesz wiedzieć, kto chciał co zrobić i dlaczego, musisz znaleźć Donni Pell i zapytać.

- To, co mówisz, prawdopodobnie jest prawdą, ale masz oczy, uszy i mózg. Widziałeś i słyszałeś różne rzeczy i myślałeś o nich. Jak sądzisz, dlaczego dziewczyna musiała zginąć?

- Może wiedziała za dużo. Wiedziała, że porwanie to błąd, bo miała uciec z chłopakiem i forszą. Może dowiedziała się, że z błagi zrobiła się prawda. Może po prostu zrobiła coś, czym naraziła się Donni. Może tylko dlatego, że brała udział w fałszywym porwaniu i Piękniś nie chciał, żeby kiedyś o tym rozgadała. Wiem, że mieliśmy tak zrobić, żeby zniknęła na zawsze. Dopiero, kiedyśmy się pojawili, żeby to załatwić, okazało się, że jest z nią jakiś sukinsyn. Wyszło, że to cholerna jednoosobowa armia. Zanim go położyliśmy, pojawiły się wozy i musieliśmy rzucić ich w krzaki i udawać, że się nic nie stało. A kiedy wróciliśmy, okazało się, że ta wielka małpa nie była martwa. Zabrał dziewczuchę i wyniósł do lasu. Nie sądzę, żeby zaszedł daleko, bo był dobrze porznięty. Zostawił nam też dużo do sprzątnięcia...

- Dość tego. Opowiadaj o okupie. Gdzie? Kiedy? Jak?

- Na starej drodze Chamberton, cztery mile na południe od miejsca, gdzie łączy się z drogą Yokuta-Lichfield, na północ od mostu nad Małym Cedrowym Potokiem. Zaplanowany o północy przed tą nocą, o której teraz rozmawialiśmy, ale dostawa przyjechała o dwie godziny za późno. Chyba Piękniś nie był wkurzony, bo się nie skarżył.

Nie znałem tego miejsca. Na mapie stara droga Chamberton przecina górzysto-lesistą krainę cztery mile na zachód od drogi, którą jechałem na poszukiwania.

- Dlaczego tam?

- Droga idzie prosto przez milę w obie strony od mostu. Nocą nikt tam nie jeździ, ale gdyby się coś zdarzyło, jest mnóstwo czasu, żeby zauważyć. Możesz też obserwować skarpe na północy, po której idzie droga Lichfield. Miałem tam stać i patrzeć, czy nikt nie chce zrobić nam kawału. Jedna flara miała oznaczać, że wszystko w porządku, dwie: że coś nie gra.

- Spodziewałeś się kłopotów?

- Nie. Trzymaliśmy ich za gardło. Ale z tymi ludźmi nigdy nie ma żartów.

-I dostawa się spóźniła?

- Tak. Ale to chyba dlatego, że ta cholerna głupia baba nie wiedziała, co robi. Każdy idiota wiedziałby, że czterokonny kryty wóz nie pojedzie tak szybko jak bryczka czy powóz.

O?

- Więc nie byłeś przy samym przekazaniu forsy?

- Nie. Ale Piękniś powiedział, że wszystko poszło dokładnie zgodnie z planem.

- To znaczy?

- Wóz przyjechał i zatrzymał się na drodze. Piękniś i Donni mieli powozy na skraju drogi. Kazali swoim woźnikom przenieść worki z pieniędzmi pół na pół. Kobieta i jej wóz ruszyli na południe. Donni miała odczekać godzinę, a potem także ruszyć na południe. Piękniś przyszedł do mnie i dał mi moją dolę i jeszcze tyle, żebym mógł opłacić chłopaków. Mieli iść do domu po robocie rano. Nie chcieliśmy, żeby wrócili do TunFaire, schlali się i rozpyskowali wszystko.

- Wiedzieli, co się dzieje?

- Nie o okupie. Ale byli tam, żeby zabijać.

- Nie baliście się, że ktoś może jechać za kobietą?

- Nie wiedziała, dokąd ma jechać, dopóki nie dała okupu.

- Jasne. - Skredli nie jest zbyt błyskotliwy. - Nic nie mówiła, kiedy nie przywieźliście chłopaka po zapłaceniu okupu?

- Nie wiem. Może i tak. Piękniś nic nie mówił.

- Chyba osobiście całkiem dobrze na tym wyszedłeś, co?

- No. Popatrz na mnie. Żyję jak lord. Tak. Dostałem moje zwykłe dziesięć procent z pięćdziesięciu procent Pięknisia, ale lepiej wychodziłem na magazynach, nawet jeśli to dłużej trwało.

- Obrobiliście magazyn?

- Tak. Nie uważałem, że to rozsądne, ale Piękniś powiedział, że tyle w to włożyliśmy, że już możemy dokończyć sprawę.

- Uhm. - Zacząłem krążyć po celi, żeby mieć trochę czasu do namysłu. Zajmowałem się tym od dłuższego czasu. Skredli dał mi dużo do myślenia. Byliśmy już blisko rozwiązania, ale potrzebowałem chwili, żeby sobie wszystko przemyśleć, przeorganizować siły,

- Skredli, gdzie jest Donni Pell?

- Nie wiem.

- Była tam, kiedy przyszliśmy po was? Skinął głową.

- Wybiegła za naszymi plecami i pognąła na ratunek. Wzruszył ramionami.

- Ciekawe będzie, kiedy dowiemy się, kto wezwał wojsko. To był bardzo głupi błąd. Bardzo głupi. Panika jest złym doradcą. Raver Styx obedrze go ze skóry. Gdzie jest Donni Pell?

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie wiem? Gdyby miała choć tyle rozumu co karaluch,

zabrałaby tyłek z TunFaire.

- Gdyby miała tyle rozumu, wyniosłaby się z miasta natychmiast po odebraniu swojej części forsy. Zdaje się, że ma w sobie trochę prymitywnego sprytu, umie manipulować mężczyznami i święcie wierzy w swoje szczęście, ale rozumu to ona nie ma za grosz. Wierzę ci na słowo. Nie wiesz, gdzie ona jest. Ale dokąd mogła uciec? Kto mógłby ją ukryć?

Skredli wzruszył ramionami.

- Może jeden z jej klientów.

Też o tym pomyślałem. Podejrzywałem, że Skredli wyczerpał już swoją wiedzę na ten temat. Chyba też był już wystarczająco odprężony, żeby przejść do następnego etapu.

- Dlaczego trzeba było zabić syna Strażniczki?

- Co? Zabić? Przecież on popełnił samobójstwo.

- Skredli, do tej pory szło nam całkiem dobrze. Zaczynam cię nawet lubić. Nie marnuj swojej szansy. Wiem że ty, Piękniś, Donni i jeszcze ktoś wchodziliście i wychodzili z pokoju, kiedy umierał. I znałem go na tyle dobrze, że wiem, iż nie mógłby się zabić w taki sposób... jeśli w ogóle znalazłby dość odwagi, żeby odebrać sobie życie. Myślę, że poddusiliście go tym samym workiem, a potem Piękniś go porzwał. Myślę, że Donni... ale nieważne, co myślę. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego jeszcze zbliżył się do tej kobiety choćby na milę po tym, co mu zrobiliście.

- Nie znasz Donni Pell.

- Nie. Ale mam zamiar ją poznać. No, dalej. Opowiedz mi o tym poranku.

- Ale nie rozgadasz, co? Nie mam ochoty poczuć na karku oddechu Raver Styx.

- Nikt z nas nie ma na to ochoty. Ale nie martw się o Raver Styx. Martw się o mnie. Jestem jedyną twoją szansą na wyjście stąd. Musisz mnie naprawdę uszczęśliwić.

Wzruszył ramionami. Nie liczył na mnie. Ale miał teraz nadzieję o której jeszcze przed chwilą nawet nie marzył.

- Dobra. Zaczęło się od tego, że paradowałeś z tą zabitą później kobietą. Ktoś u Lettie Faren cię widział. Powiedzieli Donni, a Donni rozpowiedziała wszystkim w mieście. Posłała do nas kogoś z wiadomością. Piękniś dostał szalu, ale uwierzył mi, kiedy powiedziałem, że ona na pewno nie żyje, a tylko ty próbujesz namieszać.

Ale udało ci się poruszyć Donni. Bo ona rzeczywiście nie jest za mądra. Myślała, że ma haka na tego chłopaka daPena. Posłała mu wiadomość, gdzie ją może znaleźć i że musi się z nim zobaczyć. Dupek poszedł tam. Nie wiem, co ona chciała na nim wymusić. Nie dawał się nabrać na żadne jej sztuczki. Co nieco sam się domyślił, a ta idiotka powiedziała mu jeszcze, że dziewczyna nie żyje.

I to było to. Chciał wylecieć stamtąd i nagłośnić całą sprawę. I udałoby mu się, tylko że przyszedł Piekniś i ja. Bo Piekniś martwił się, że Donni może się za bardzo podniecić i jeszcze zrobi co głupiego.

- Więc to nie było zaplanowane?

- Byłbym z tym ostrożny. Chyba nie. Nie wiem nic o żadnych planach, a zwykle jest inaczej, bo to ja jestem tym, który idzie i załatwia sprawę. Ale miałem dziwne uczucie. Może Donni wymyśliła to tak, żeby wyglądało, jak wyglądało.

- Sam sobie zaprzeczasz. Czy Donni Pell jest głupia, czy nie?

- Jest dobra, kiedy trzeba wymyślać plany i wprowadzać je w życie, tak długo, jak ma wszystko w ręku. Jeśli weźmiesz ją znienacka, przestaje być dobra. Myśli powoli, daje się ogłupić, popełnia błędy. Dlatego Piekniś uważał, że lepiej tam iść i przypilnować jej, dopóki nie ochłonie, a to, co ją gnębi, nie wyparuje.

- A tam był Karl.

- Tak, i rzucał się jak wściekły. Domyślił się paru spraw i zamierzał rozgłosić to wszędzie. Donni próbowała go nawet przekupić, mówiąc, że da mu swoją dolę łupu. Idiotka. Po tym, jak go wydukała, a on prawie wszystkiego się domyślił! Nie mieliśmy wyboru. Nie wycofałby się. Nawet przed Pięknisiem i mną. Nasze tyłki albo on. Chyba dobrze to zrobiliśmy.

- Świetnie. Nie mogliście wiedzieć, że to taki tchórz, i nikt nic uwierzy, że sam to sobie zrobił. Kim był ten drugi facet?

- Jaki drugi facet?

- Człowiek w czarnym płaszczu z kapturem.

- Nie było tam takiego.

- Aha. - Znowu ruszyłem w drogę. Było jeszcze wiele pytań, które chciałem zadać, ale większość miało związek z forszą. Nie chciałem, żeby Chodo się tym zainteresował. A Skredli i tak dał mi dużo do myślenia. Może nawet tyle, ile trzeba. Donni Pell załatwi sprawę do końca. Wpuści nieco światła w najciemniejsze cienie cieni. I podpisze na kogoś wyrok śmierci.

- Wszystko powiedziałem uczciwie - rzekł Skredli. - Wydostań mnie stąd.

- Muszę porozmawiać o tym z panem Chodo - odparłem. - Co zrobisz?

- Pojadę na północ tak szybko, jak będę w stanie biec. Nie chcę być bliżej niż o sto mil stąd, kiedy Raver Styx wróci do miasta. A tu i tak mnie nic nie trzyma.

- Będziesz trzymał język za zębami?

- Żartujesz chyba? Czyje gardło pierwsze znalazłoby się pod nożem?

- Słusznie, słusznie. -- Machnąłem ręką do Morleya, wskazując na drzwi. Podszedł, żeby je otworzyć. Chodo wytoczył się z celi, a za nim Morley i ja.

- No i co? - zapytałem kacyka, wskazując drzwi lekkim ruchem głowy.

- Uwolniłem się od pijawki, która mnie dręczyła. To tylko najemnik. Może go pan sobie wziąć.

- Nie wiem jeszcze, czy go chcę. Może machał nożem, ale nie wydawał rozkazów. - Szliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Zna pan Saucerheada Tharpe? - zapytałem.

- Słyszałem to nazwisko. Znam jego sławę. Nie miałem przyjemności.

- Saucerhead Tharpe ma żal do Skredliego. Większy niż ja. Chyba zasługuje na to, żeby mu zostawić pierwszeństwo decyzji.

Szliśmy przez tę wielką salę, w której bawiły się nagie panie. I znów Morley miał problemy ze sterownością. Dla Chodo były Jedynie meblami.

- Powiedz Tharpe'owi, żeby przyszedł, jeśli go chce - powiedział. - Jeśli do jutra nie będę miał wiadomości, puszczam go wolno. - I dodał, już od drzwi: - Nieraz, kiedy wypuści się jednego, ludzie dowiadują się, co spotkało tych, którzy nie wyszli.

- Jasne. - Razem z Morleyem wyszliśmy na zewnątrz, czekając na eskortę. Nie rozmawialiśmy, dopóki nie znaleźliśmy się z powrotem na ulicy.

Dopiero wtedy spytałem:

- Myślisz, że Chodo go puści? -Nie.

- Ja też nie.

- Co teraz, Garrett?

- Nie wiem jak ty, ale ja idę do domu się wyspać. Wczoraj balowałem do późna.

- Całkiem niezły pomysł. Powiadomisz mnie, jeśli coś się zacznie dziać.

- Morley, jak ostatnio stoisz z forszą?

Rzucił mi mroczne spojrzenie, ale odpowiedział:

- Całkiem dobrze.

- Jasne, tak właśnie myślałem. Słuchaj, zakuty łbie. Trzymaj się z daleka od wyścigów pajaków wodnych. Nie mam zamiaru zginąć w jednym z twoich odmóżdżonych planów, żeby cię wydobyć z dołka.

-Hej, Garrett...!

- Dwa razy mi to zrobiłeś, Morley. Tym razem może nie było aż tak źle jak ostatnio, ale to cholera w Dzielnicy Wilkołaków było bardzo, ale to bardzo blisko. Słyszysz, co mówię?

Słyszał na tyle dobrze, że się nadał jak żaba.

XLI

Potrzebowałem szesnastu godzin snu, ale zamiast tego pożarłem pieczone kurczę z przyległościami i wytrąbiłem kilka kwart piwka. Poszedłem potem do biura Truposza, gdzie musiałem uważać, by nie nastąpić na trupy, i podreptałem do półki na północnej ścianie. W panującym tam bałaganie znalazłem niezłą kolekcję map. Wyjąłem kilka i usiadłem w zarezerwowanym dla mnie krześle.

Chyba miałeś pracowity dzień.

Przestraszył mnie. Nie wiedziałem, że nie śpi. Ale on lubi bawić się w takie gierki: podejść i wystraszyć. W głębi serca uważam, że wszystkie złośliwe i kapryśne duchy to bezcieleśni Loghyrowie.

Nie odpowiedziałem od razu.

Bardzo pracowity dzień. Jesteś całkiem pewien, że masz wszystko w garści i nie potrzebujesz już mi marudzić, że bym myślał za ciebie.

Przeciwnie - ale zdaje się, że on właśnie tego chciał - przekazałem mu punkt po punkcie wszystko, co się zdarzyło od czasu mojego ostatniego raportu. Wydawało się, że sposób, w jaki odegrałem się na Morleyu nawet go rozbawił.

Kiedy mówiłem, wodziłem palcem wskazującym po liniach na jednej z map, usiłując wyobrazić sobie najważniejsze miejsca, zaledwie widoczne w realnym świecie.

Szukasz miejsca, gdzie ktoś nie obeznany z terenem mógłby uznać za bezpieczne zachomikowanie kupy złota, gdyby go przyparto do muru?

- Myślę o wyjeździe na wieś, może jutro, a może nawet zamierzam przepłynąć sobie pod paroma mostami.

Ciekawy pomysł. Choć może nigdy nie będziesz musiał wprowadzić go w życie.

Dlaczego nie?

Wciąż trzeba ci wyjaśniać konsekwencje twoich własnych działań? Strażniczka Burz Raver Styx powinna być dzisiaj w domu. W zasadzie powinna być w domu już od paru godzin i już wyc do księżycy. A kto siedzi w tej sprawie po same uszy, i to z kilku różnych stron? Kogo zaraz powlecze, żeby odpowiedział jej na wszystkie pytania wraz z Domina Dount i baronetem daPena?

Zdaje się, że ta myśl tłukła się w moje mózgownice gdzieś na dnie, przesłonięta całą układanką. Może też była to odrobina gorączki złota.

-Dean!

Kiedy wsadził głowę w drzwi, wydawał się nieco wyprowadzony z równowagi.

- Tak, sir?

- Nie otwieraj dzisiaj nikomu. Ja to zrobię. Właściwie dlaczego nie miałbyś iść do domu i usunąć się z linii strzału? Nie wychodziłeś od kilku dni. Może któreś z twoich kuzynek dorwały już jakichś chłopów?

Dean uśmiechnął się.

- Teraz mnie pan nie wyrzuci nawet kijem. Zostaję, sir.

- To będzie twój pogrzeb.

O wilku mowa... W tej samej chwili ktoś zaczął walić w drzwi. Wyszedłem i spojrzałem przez judasza. Nie rozpoznawałem nikogo z tłumu, ale nosili barwy Raver Styx. Zatrzasnąłem judasza i poszedłem po kolejne piwo.

Jej ludzie? zapytał Truposz, kiedy wróciłem.

- Tak. - Znowu zająłem się mapami.

Ignorujesz ją na własną zgubę.

Twoją także, pomyślałem.

- Wiem, co robię.

Zawsze tak myślisz. Od czasu do czasu masz nawet rację. Jego też zignorowałem.

W dziesięć minut później zapukał ktoś inny. Tym razem, kiedy wyjrzałem, zobaczyłem na stopniach Sadlera.

- Chodo powiedział, że mam panu przekazać, co nam się udało dowiedzieć - oznajmił, kiedy otworzyłem drzwi, ale nie zdradzał ochoty, żeby wejść do środka. - Pytaliśmy w różnych miejscach. Musiała się od kogoś dowiedzieć, że jej szukamy. Wyniosła się z miasta. Nikt nie wie gdzie. Pytaliśmy.

Na pewno.

- Chodo mówi, że wciąż winien jest panu przysługę.

- Powiedz, że bardzo serdecznie dziękuję.

- Nie rozmawiam dużo z cywilami, Garrett. Ale pan dobrze sobie poradził w Dzielnicy Wilkołaków. Może wyciągnął pan nas wszystkich tą swoją sztuczką. Więc mówię panu, proszę nie roztrwonić tej szansy na coś głupiego.

- Jasne.

Obrócił się i odszedł. Zamknąłem drzwi i wróciłem do Truposza.

Dobra rada, Garrett. Przysługa kacyka to więcej niż junt złota zakopany w sypialni.

- I tak mi się to nie podoba. Mam tylko nadzieję, że będzie żył na tyle długo, żeby mi tę przysługę wyświadczyć. - Kacykowie mają tę samą niemłą manię umierania niemal tak

często jak nasi królowie.

Przez godzinę było spokojnie. Tak spokojnie, że zdrzemnąłem się w fotelu, a mapy zsunęły mi się z kolan. Nagle Truposz obudził mnie jedną silną myślą:

Znowu towarzystwo, Garrett.

Usłyszałem pukanie, gdy usiłowałem zmusić wszystkie części mojego ciała do kolektywnej pracy. Kiedy wyjrzałem, zobaczyłem stojącego na schodach Morleya. Był sam. Otwarłem drzwi i elf wsunął się do środka.

- Obudziłem cię?

- Tak jakby. Myślałem, że i ty sobie chrapniesz. Co się dzieje?

- Właśnie usłyszałem coś takiego, że pomyślałem, iż powinieneś o tym wiedzieć.

Znaleźli tego gościa, Courtera Slauce'a, w alejce o kilka ulic stąd. Ktoś dał mu w łeb.

- Co takiego? - Mój umysł jeszcze spał - Nie żyje?

- Jak przysłowiowy trup.

- Kto to zrobił?

- A skąd mam wiedzieć?

- To nie ma sensu. Muszę się napić herbaty albo czegoś. Rozjaśnić sobie w głowie.

- W tym celu będziesz potrzebował powodzi stulecia. Nieraz wydaje mi się, że jedyną substancją w twojej głowie jest kupa kurzu.

- Nic cię tak nie podniesie na duchu, jak wotum zaufania od przyjaciela. Dean!
Herbaty!

Dean miał gorącą wodę... zawsze ma. Uwielbia herbatę tak jak ja piwo. Zaparzył mi kubek tak mocnej, że można ją było kroić nożem. W międzyczasie zapytałem Morleya:

- Czy ktoś z twoich pilnuje domu Strażniczki?

- Czy trzeba, czy nie. Do dzisiaj. -I co?

- Trudno dobrze wykonywać pracę, kiedy osiemdziesiąt procent czasu spędza się na uciekaniu patrolom.

- Więc nic?

- Zippo. Zilch. Zero. Cała armia mogłaby wejść i wyjść, a oni nic by nie zauważyli.

- To i tak nic nie dawało. Co z Pokeyem?

- Co z nim? Czego jeszcze od niego chcemy?

- Mógł przejść się do kogoś interesującego.

- Garrett, ty majaczysz. Pokey Pigotta? Chyba żartujesz. - Zawsze jest szansa.

- Zawsze jest szansa, że jutro będzie koniec świata. Stawiam pięćdziesiąt do jednego, że Pokey nie zrobiłby nic nieprofesjonalnego.

- Nie chcę od ciebie słyszeć ani o stawkach, ani o zakładach. Spojrzał na mnie zwięzonymi oczami.

- Nie czepiam się twojej trucicielskiej diety, Garrett. Nie czepiam się twojej samo niszczącej rycerskości. A teraz ty nie czepiaj się mnie. Pójdę do piekła na swój własny sposób.

- Nie obchodzi mnie, jak pójdziesz do piekła, Morley. To twoja sprawa. Ale za każdym razem, kiedy tam jesteś, wystawiasz łeb i rzucasz sznur, żeby mnie wciągnąć.

- Jeśli tak uważasz, przestań wlec mnie za sobą na te twoje krucjaty.

- Płacę ci za robotę i tylko tyle oczekuję.

- Ktoś musi zyskać. Jeśli jesteś tak cholernie czysty jak lilia, powinieneś zgodzić się, aby zadowolenie z siebie było twoją jedyną zapłatą. W końcu niszczysz zło...

Dean wtrącił się nagle.

- Chłopaki, jeśli chcecie wrzeszczeć na siebie, wyzywać się i opluwać, róbcie to gdzieś w alejce, dobrze? A przynajmniej wynoście mi się z kuchni.

Już miałem cierpliwie wyjaśnić, do kogo właściwie ta kuchnia należy, a kto tu tylko pracuje, kiedy do moich drzwi zapukał kolejny gość, wołając mnie na całe gardło.

- Saucerhead! - krzyknąłem i pobiegłem w tamtą stronę. Morley poszedł za mną. Zapytałem: - Kto zabił Slauce'a?

- Powiedziałem ci, że nie wiem. Słyszałem, że nie żyje. Przyszedłem ci powiedzieć. Nie wywróciłem mu kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie zostawił listu z nazwiskiem mordercy.

Wyrząłem przez judasza, tak na wszelki wypadek. Akurat byłem w odpowiednim nastroju.

Saucerhead, to się zgadza. I Amber. I kilku ludzi Strażniczki, w tym paru takich, którzy już tu byli. Pozwoliłem, żeby i Morley spojrzął.

- Chcesz się w to mieszać?

- Nie. Mam dość. Ciebie, ich, całego tego cholernego bałaganu.

- Jak chcesz. - Otworzyłem drzwi, kiedy Saucerhead już zamierzył się, żeby walnąć w nie jeszcze raz. Morley wysunął się, mruknął jakieś powitanie.

- Wy dwoje wchodźcie do środka - poleciłem. - Armia zostaje tam, gdzie jest.

XLII

- Co się stało Morleyowi? - zapytał Saucerhead. Wyglądał na lekko zamarynowanego, ale nawet statua by ścierpła, gdyby ją wystawiono na bezpośredni kontakt ze Strażniczką Burz Raver Styx.

- Chciał coś ugryźć, ale to mu się odgryzło. A może na odwrót. Co wy wyprawiacie z tą prywatną armią na zewnątrz?

- Matka chce cię widzieć - zakomunikowała Amber. - Powinieneś być widzieć, jak pan Tharpe postawił się Dominie i Mamie. Był cudowny.

- Słyszałem, jak go określają różnymi przymiotnikami, ale "cudowny" nie znajdował się na tej liście.

- Nic nie zrobiłem. Stałem tylko i udawałem, że jestem głuchy jeśli nie zmusiły mnie, żebym coś powiedział. A wtedy tylko głupio gadałem i odsyłałem je do niej, bo przecież dla niej pracuję.

- A o co w ogóle chodziło? - zapytałem Amber.

- Chciały, żeby sobie poszedł. Wściekły się okropnie, bo nie chciał iść sam, a ja mu nie pozwoliłam.

- Dobrze im to zrobi. A więc twoja matka chce, żebym przybiegł z wywieszonym językiem?

- Tak.

- Dlaczego przysłała ciebie?

- Ponieważ posłała Courtera, a on nawet nie wrócił. Potem posłała Dawsona, a ty mu nie otworzyłeś drzwi.

Courter? Przysłała go po mnie?

- Dean! Chodź no tu na chwilę! - Przyszedł natychmiast. - Czy ktoś dziś tutaj przychodził? Zanim powiedziałem, że sam będę otwierał drzwi?

- Nie. Tylko ten mały, który przyniósł list.

- Jaki list?

- Ten, który położyłem na pańskim biurku. Myślałem, że go pan widział.

- Przepraszam na chwilę - mruknąłem i poszedłem do biura. Rzeczywiście, list był na miejscu. Przejrzałem go pobieżnie. Był od Tinnie. Co z oczu, to z serca.

- Coś ważnego? - zapytał Saucerhead po moim powrocie.

- Nie. Ryża rusza na TunFaire. Spojrzał na Amber z ukosa, skrzywił się.

- To powinno wpuścić nieco życia w tę dziurę.

- Amber, czy twoja matka myśli, że polecę tam na złamanie karku, bo kiwnęła palcem?

- Jest Strażniczką Raver Styx, Garrett. Przyzwyczaiła się dostawać to, czego chce.

- Tym razem nie dostanie. Jestem zmęczony i ostatnio tyle się natańcowałem ze zbikami, że jeden więcej czy mniej już mnie nie rusza. Powiedz jej, że jeśli chce mnie widzieć, wie, gdzie mnie znaleźć. W czasie normalnych godzin urzędowania. Jeśli przyjdzie teraz, nie otworzę.

- Nic jej nie powiem - zaprotestowała Amber. - Nie wracam. Zapomniałam, jakie to może być okropne, dopóki nie wparowała do domu. Zupełnie nic mnie nie obchodzi, co robi z ojcem i Donii, ale swoją niekochaną córkę widziała na pewno po raz ostatni... Mówiłeś serio, że pozwolisz mi wziąć to złoto, prawda?

Miałem ochotę zaprzeczyć tylko po to, żeby zobaczyć, jak szybko zmienia zdanie, ale dałem sobie spokój. -Tak. - Więc idę na górę. Może pan już wracać do domu, panie Tharpe.

- Chwilunia, dziewczę. Chcesz zadeklarować niezawisłość, proszę bardzo, deklaruj sobie ile chcesz. Dzisiaj możesz zostać, bo jest już za późno, żeby gdzieś iść, ale jutro pójdziesz poszukać sobie własnego gniazdka.

Przez chwilę wydawała się zaskoczona. Potem już tylko urażona. Próbowałem złagodzić to, co powiedziałem:

- Tu jest bardzo niebezpiecznie i ja jestem w niebezpiecznej sytuacji.

- A ja mam niebezpieczną rodzinę.

- To także. Kiedy przekazesz moją wiadomość żołnierzom na dole, powiedz, żeby przekazali twojej matce, że Courter jednak nie uciekł. Ktoś zwabił go w ciemną alejkę i rozwalił mu łeb. Niech sobie to przemyśli.

Amber rozdziawiła usta. Otworzyła je i zamknęła kilka razy.

- Wyglądasz jak młody karp.

- Naprawdę? Courter naprawdę został zamordowany? -Tak.

- A po co to zrobili?

- Pewnie dlatego, że szedł do mnie.

- Niech ich cholera!

Tak, jak przypuszczałem, gniew, który wzbudziłem, przerodził się w dziką furję. Amber pomaszerowała do drzwi. Uniosłem dłoń, żeby zatrzymać Saucerheada.

- Chodo wpuścił mnie dziś do swojego domu. Wciąż ma tego typu, który zabił Amirandę. Zaproponował, że mi go da. Powiedziałem, że ty masz większe prawo.

Odpowiedział, że jeśli jesteś zainteresowany, to lepiej rusz tyłek, bo inaczej wypuści go na wolność.

Saucerhead wydał wargi i obmacał się po miejscach, które go jeszcze bolały. Stęknął.

- Ja także chciałbym, żebyś tu jutro przyszedł. Zamierzam wyruszyć w podróż i chciałbym, żebyś miał oko na Amber.

Kiwnął głową.

- Tak. Tej jednej nie dostaną, Garrett.

- Fajnie. Zobaczymy się, kiedy...

Wrzask Amber sprawił, że rzuciliśmy się wszyscy do drzwi. Ja złapałem po drodze moją łamigłówkę. Saucerhead chwycił dwóch ludzi Strażniczki i stuknął ich o siebie głowami. Ja trzepnąłem dwóch innych w ucho. Pozostało trzech, z których dwóch miało pełne ręce roboty z Amber. Saucerhead zdjął ich delikatnie, podczas gdy ja przygwoździłem do miejsca samego dowódcę.

- Co chcieliście zrobić, końskie łby?

- Zabrać ją do domu.

- Nie będę się sprzeczał. Zamierzam wam tylko przekazać jej słowa: ona nie chce iść. Jest na tyle dorosła, że może mieć własne zdanie. Zabieraj swoich kompanów i wynocha.

Spojrzał na mnie tak, jakby chciał mi powiedzieć, co się może zdarzyć, kiedy ktoś się stawia Strażniczce, ale tylko wzruszył ramionami. Saucerhead wypuścił tych dwóch, których trzymał. Oddział zaczął zbierać manatki.

Amber chciała coś powiedzieć. Kazałem jej wracać do środka. Porozmawiamy, kiedy tłum się rozejdzie. Odeszła. Zbiry Raver Styx także poszły swoją drogą, obdarzając mnie na pożegnanie chmurą obiecujących mrocznych spojrzeń.

- Zaczynasz chwytać, Garrett. Najpierw kopać w dupę, potem gadać. Wtedy o wiele chętniej słuchają tego, co masz do powiedzenia.

To Morley Dotes przemówił z ganku sąsiedniego domu. Wstał i zszedł do nas, obserwując, jak chłopcy Strażniczki kuśtykają do domu. Nic nie powiedziałem, żeby go nie wściekać. Podał mi zwiniętą w rulon kartkę papieru. Przez moment spoglądaliśmy sobie w oczy, ale wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony. Na kartce było tylko nazwisko: *Lyman Gameleon*.

- Słyszałem o nim. Wielka sycha z Góry i tak dalej. Co to oznacza?

- Pomyślałem sobie tylko, że zaoszczędzę ci trochę kłopotu, Garrett. Ten człowiek przysłał żołnierzy do Dzielnicy Wilkołaków. Człowiek, który przypadkiem jest sąsiadem twojej Strażniczki i zarazem jej najzagorzalszym wrogiem, politycznym i osobistym. Nie

Wspomnę już, że jest starszym przyrodnim bratem jej męża.

- Hej, to bardzo ciekawe. Dzięki, Morley.

- Nie ma za co, Garrett. - Machnął ręką i odszedł.

Ta wiadomość miała służyć Morleyowi za gałązkę oliwną.

- Chyba czas, żebym już ruszał - mruknął Saucerhead. - Zaopiekuj się panną daPena.

Przez chwilę obserwowałem jego szerokie plecy. Czy powiedział więcej, niż powiedział? Z Saucerheadem trudno powiedzieć, czy rżnie durnia, czy też jest subtelnym cynikiem.

Wszedłem i zaniknąłem drzwi. Rozejrzałem się za Amber, ale nie było jej w pobliżu.

-Amber!

- W twoim biurze.

Wszedłem. Rozsiadła się na moim fotelu i wyglądała na nadąsaną.

- Uśmiechnij się. Byłaś cudowna.

- Posłużyłeś się mną.

- Oczywiście, że tak. Czy postawiłabyś się tym zbirom, gdybyś nie była wściekła?

- Pewnie nie. Usiadłem na rogu biurka.

- Powiem ci coś, co cię ucieszy. Myślę, że jest pewna mała szansa, że położę łapę przynajmniej na części złota.

- Znowu mnie robisz w konia?

- Nie. To może trochę potrwać, ale szansa istnieje. Przedtem chyba takiej nie było.

Wszystko zależy od tego, jak bardzo twoja matka jest emocjonalnie zaangażowana w to, co się zdarzyło. Wydaje mi się, że wiem, co stało się z częścią złota, ale jego odnalezienie będzie przypominało poszukiwanie igły w stogu siana. Będziemy potrzebowali czasu.

- Naprawdę tak uważasz, Garrett?

- Tak. Choć przyznaję, że to tylko przecucie. Dean przyniósł piwo i wino.

Podziękowaliśmy mu.

- Już nie mogę się utrzymać na nogach - mruknąłem. - Idę podleczyć oczy.

Zobaczymy się rano.

Rzuciła mi bardzo nieprzyzwoity uśmiech.

Dość szybko zrozumiałem, co oznaczał ten uśmiech.

XLIII

Nie zamknąłem drzwi na zamek. Kto robi coś takiego we własnym domu? Amber uznała to za zaproszenie. Nie tylko zobaczył ją wcześniej, niż się spodziewałem, ale i zażyłem o wiele mniej snu, niż zamierzałem. Kilkakrotne walenie w drzwi frontowe, zignorowane przez resztę mieszkańców, także nie pozwoliło mi zmrużyć oka.

Wyturlałem się z sypialni, gdy zapach śniadania przemógł moje lenistwo. Kiedy schodziłem ze schodów, za drzwiami frontowymi znowu zerwała się wrzawa. Zbliżyłem się na paluszkach i zajrzałem przez judasza. Na zewnątrz kiwała się paskudna, nalana i czerwona morda. Gęba pełna zepsutych zębów była otwarta i wydobywało się z niej ohydne wycie.

Zatrzasnąłem judasza i poszedłem na śniadanie.

Odchyliłem się i poklepałem po brzuchu.

- Dean, z kilku geniuszy, jacy zaśmiecają tę siedzibę, ty chyba jesteś najcenniejszy. Skąd u licha zdobyłeś truskawki?

- Przyniosła je moja bratanica May. Leżały w zimnej studni Przez trzy dni.

Znowu jakieś bratanice? Przy tej prędkości regresji Truposz wkrótce znowu zainteresuje się Glorym Mooncalledem.

- Chyba lepiej pójde zobaczyć, czy jego kościstość jeszcze śpi. Prędzej czy później trzeba będzie otworzyć te frontowe drzwi.

- Amber, twoja matka ma tu przyjść. Chcesz się ulotnić?

- Mogę stanąć przed nią, jeśli znajdzie się miejsce, do którego będę mogła uciec w razie kłopotów.

- No to wszystko w porządku. Dean, daj mi kubek herbaty i idę pogrzechotać Kupą Gnatów.

Dean krzywił się i mruczał, wcale nierad, że chcę wziąć sprawy w swoje ręce. Przygotowywał herbatę z taką troską i starannością, że zanim skończył, byłem już gotów zrezygnować. Herbata to herbata. Nie jest wcale lepsza, jeśli z jej przygotowania robi się ceremonię religijną.

Są osoby, które pewnie uznają mnie za barbarzyńcę - te same, które nie są dość cywilizowane, aby docenić dobre piwo.

Truposz nie spał już. Nie był w odpowiednim humorze, żeby mu przeszkadzać. Wiedział, że spodziewamy się gości, i przygotowywał się do tego. Sądzę, że spodziewał się wykorzystać Strażniczkę - która była w Kantardzie przez sześć miesięcy - aby udekorować i

uświetnić swoją teorię o Glorym Mooncalledzie.

Poszedłem za przykładem Amber i udałem się do swojego pokoju, aby się trochę ogarnąć przed nadchodzącym dniem.

Następnie usadowiłem się przy oknie i wyjrzałem na zewnątrz.

Nie było zbyt spokojnie. Ludzie Strażniczki pozostali na swoich posterunkach, ale nie obserwowali domu. Ich postawa ściągnęła już mały tłumek.

Lordom z Góry uchodzi bardzo wiele. Zazwyczaj pozostają ponad prawem, które nas, prostaczków, powstrzymuje przed napadaniem na siebie. Jednak najście domu bez nakazu sędziowskiego jest czymś, czego ludzie nie ścierpią.

Gdyby żołnierze Strażniczki próbowali włamać się w nocy, mieliby szansę na powodzenie - gdyby, oczywiście, Truposz im pozwolił. Teraz było za późno. Niechby spróbowali, tłum rozerwałby ich na strzępy. Nasi władcy, jeśli chcą zdeptać prywatność jakiegoś domu, muszą to robić bardzo ostrożnie.

Miałem nadzieję, że chłoptasie z Góry nie zrobią czegoś głupiego. Już i tak wpłatałem się w bardzo skomplikowaną kabałę. Przytrzymali mnie przy oknie. Towarzystwo natomiast pojawiło się z całkiem nieoczekiwanej strony. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch na drodze z dolnej części miasta. I cóż innego mogłem zobaczyć, jak nie Saucerheada Tharpe, konwojowanego przez Sadlera i Craska. Cała grupa wyglądała, jakby zjadła na śniadanie zupę z dziegiu u Morleya. Westchnąłem.

- Wiedziałem, że sprawy zaczęły iść za dobrze. W korytarzu natknąłem się na Amber.

- Już tu jest? - zapytała.

- Nie. Jeszcze nie. To Saucerhead i dwóch facetów, których chyba nie chciałabyś poznać. A ja nie dowiem się, czego chcą, jeśli mnie nie wypuścisz na schody.

- Och. - Odsunęła się na bok. - Menda.

- Prawdopodobnie masz rację. Możesz ostrzec Deana, żeby coś przygotował. Wygląda na to, że bardzo tego potrzebują.

Byłem o trzy kroki od drzwi, kiedy Saucerhead zapukał. Zajrzałem w judasza i otworzyłem szeroko drzwi, rzucając czerwonogębemu koleśowi z brygady Strażniczki krótkie: "Nawet o tym nie marz". Zrobił się chyba jeszcze bardziej czerwony, ale ja już nie musiałem tego oglądać. Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem.

Usadowiłem ich w pokoiku obok biura. Dean pojawił się z herbatą i ciasteczkami w tej samej chwili - jakbyśmy na nich czekali.

- No i co? - zapytałem. - Jak bardzo źle to wygląda? Saucerhead obejrzał się na pozostałą dwójkę. Najwyraźniej to na niego wypadło gadanie. Nie całkiem rozumiałem, co ta

trójka kombinuje. Nie wyczuwałem między nimi napięcia, a jedynie wspólny, nieukierunkowany niesmak. Wreszcie Tharpe stwierdził:

- Skredli zwiął.

- Skredli? Zwiął? Jak? Co on zrobił? Zapuścił sobie skrzydła i odleciał? Może to jakiś rodzaj muchołaka? - Nigdy nie słyszałem o takiej istocie, ale na tym świecie nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Jeśli człowiek może zmienić się w wilka, to wilkołak chyba może zmienić się w muchę? Obie transformacje wydają się dziwnie na miejscu. Może nawet symboliczne.

I kto tu jest przesądny? Ja? Niech mnie bogowie bronią.

- Nie, nie odleciał, Garrett. Po prostu pobiegł.

Już miałem wyrazić niedowierzanie, kiedy przyszło mi do głowy, że prędzej dowiem się więcej, jeśli będę trzymał głowę na kłódce. Muszę przyznać, że nieczęsto zdarzają mi się takie objawienia.

Saucerhead wyjaśnił:

- Zaczynało świtać, kiedy tam poszedłem. Zaprowadzili mnie na ganek i kazali poczekać. A potem weszli do środka i przyprowadzili Skredliego. I nagle, jakby tylko na to czekał, wyrwał się jak gacek z piekła.

- W nocy było dość zimno - wtrącił Crask. - Jaszczury robią się leniwe, kiedy krew im stygnie.

- Psy nie zaatakują wilkołaka, jeśli nie są specjalnie szkolone - dorzucił Sadler. - Zwierzaki Chodo nauczone są bronić przed dostępem ludzi z zewnątrz, nie przed ucieczką.

- To stało się tak nagle - mówił Saucerhead - a on wyrwał tak szybko, że wszyscy tylko się gapili.

No i nie ma o co się mazać. To i tak nie był mój kłopot. A może był?

- Chyba przyszliście tu nie tylko po to, żeby mi to powiedzieć. Saucerhead oznajmił mi kolejną nowinę:

- Chodo myśli, że będziesz robił to, co robisz, dopóki nie odnajdziesz tej Donni Pell. Uważa, że kiedy ją znajdziesz, znajdziesz także Skredliego.

- To całkiem możliwe.

- Chce, żeby Sadler i Crask byli tam, kiedy ich znajdziesz.

- Rozumiem. - Nie mogę powiedzieć, że bym był rozczarowany. Przewidywałem całkiem sporą liczbę różnych możliwości na mojej drodze. Jeśli zacnie fruwać puch, ta dwójka może okazać się całkiem przydatna.

- W porządku. Spodziewam się tu dzisiaj towarzystwa grubego kalibru. Raver Styx.

- Znamy reguły gry i stawki, Garrett.

- Naprawdę? - Czyżby Amber zaczęła kłapać dziobem? Nie Saucerhead tylko myśli, że zna stawkę.

To zwróciło moją uwagę na fakt, że nie będzie polowania na złoto, dopóki nie znajdziemy Skredliego i Donni Pell. Chyba że nie będzie mnie obchodziła obecność zbirów Chodo, kiedy je znajdę.

- Pracuj zgodnie z planem - zaproponował Saucerhead. - My nie będziemy przeszkadzać.

No pewnie, że nie. Jak długo w ich interesie nie będzie leżało coś wręcz przeciwnego.

Zabijaliśmy czas, grając w karty. Dean wchodził i wychodził, obdarowując mnie grymasem za grymasem. Wiedziałem, o czym myśli: w przypiływie poczucia winy powinienem wynieść wszystkie trupy i z pomocą moich leniwych kumpli posprzątać dom. Nie rozumie, że osoby takie jak Saucerhead, Sadler i Crask nie przepadają za pracami domowymi.

Amber pokazała się tylko raz, stwierdziła, że nie jest w stanie znieść tej jowialności i wycofała się na górę. Truposz przyciął się w swoim pokoju, ale pozostał czujny. Za każdym razem, kiedy Jego dotknięcie przechodziło przez pokój, czułem, jak włosy mi stają na karku, ale on sam nigdy nie przyznałby, że jest zdenerwowany.

Po jakimś czasie Amber pojawiła się znowu.

- Ona tu idzie, Garrett. Myślałam, że przynajmniej przyśle najpierw Domine. - Zawahał się przez ułamek sekundy. - Chyba zostanę na górze.

- Myślałem, że zasugerujesz jej, aby ugryzła się w nos.

- Na to nie jestem jeszcze całkiem gotowa.

- A jeśli będzie nalegać, żeby cię zobaczyć?

- Powiesz jej, że mnie tu nie ma. Że uciekłam.

- Wiesz, że nie uwierzy. Jest Strażniczką. Będzie wiedziała, gdzie jesteś.

Amber wzruszyła ramionami.

- Stanę przed nią, jeśli będę musiała. Jeśli nie, zostaw mnie poza tym wszystkim.

- Jak sobie życzysz.

Przyszłość zaczęła walić w moje drzwi. Dean zajrzał, żeby sprawdzić, czy ma otworzyć. Skinąłem głową. Poszedł, niechętnie powłócząc nogami. Wstałem i ruszyłem za nim. Amber popędziła na górę. Saucerhead i chłopcy założyli ręce na plecach i spacerkiem skierowali się do holu.

Znajdowałem się o pięć stóp od Deana, kiedy ten otworzył drzwi. Truposz tak się natężył, że powietrze niemal iskrzyło. Jedną rękę trzymałem w kieszeni, zaciśniętą na zakłęciu podarowanym mi przez wiedźmę Saucerheada. Wiedziałem, że gdybym go użył,

Raver Styx zauważy czar mniej więcej tak, jak zauważa się śpiew komara.

Do drzwi podeszła sama, choć towarzyszyła jej eskorta z Góry. Powóz i mała armia robiły tłok na ulicy za jej plecami. Moi sąsiedzi nagle się ulotnili.

Była niewysoka, przysadzista i kanciasta, jak karlica. Nigdy nie przypominała Amber, nawet w wieku szesnastu lat, kiedy wszystkie są piękne. Twarz miała brzydką i ponurą, niebieskie oczy wydawały się świecić i sypać iskrami z obramowania smagłej, wyschłej na rzemień skóry i siwych włosów. Wyglądała na o wiele bardziej odprężoną i spokojną, niż większość ludzi, którzy stukają do moich drzwi.

Dean zamarł. Zrobiłem krok w przód:

XLIV

- Proszę wejść, Strażniczko. Oczekiwałem pani. Wyminęła Deana, mierząc go wzrokiem, jakby się zdziwiła, że tak zeszytniał. Czyżby była aż tak naiwna?

- Zamknij drzwi, Dean. Ruszył się - wreszcie.

Zaprowadziłem Strażniczkę do pokoju, w którym przedtem graliśmy w karty. Biuro nie było dość duże dla tłumu.

- Czy Dean może pani coś podać? - zapytałem. - Herbatę?

- Brandy. Albo coś w tym rodzaju. I nie w naparstku. Chcę coś do picia, a nie do wężania.

Miała grobowy, głęboki głos, najgłębszy, jaki kiedykolwiek słyszałem u kobiety. Miał taki timbre, że wydawało się, iż kiedyś była jednym z chłopców.

Tak właśnie o niej mówili. Nie znałem jej przedtem osobiście - nasze ścieżki nigdy się nie przecięły.

- Dean, przynieś butelkę z tej skrzynki, którą przysłali mi bracia Bahgell.

- Tak, sir.

Przyjrzałem się Raver Styx. Nie była poruszona tym, że bracia Bahgell i im podobni mogli być moimi wdzięcznymi klientami.

- Panie Garrett... to pan jest Garrett, prawda? - upewniła się.

- Istotnie.

- A pozostali?

- Wspólnicy. Reprezentują interes dawnego protegowanego Molahlu Cresta.

Jeśli te nowiny zdumiały ją lub zaskoczyły, lub w jakikolwiek inny sposób poruszyły, nie pokazała tego po sobie.

- Doskonale. Zasięgnęłam o panu pewnych informacji. Rozumiem, że prowadzi pan interes na swój sposób albo nie prowadzi go pan wcale. Osiąga pan wyniki, więc nie można pana o to obwiniać.

Zanim Dean przyniósł butelkę i kieliszek, jeszcze raz przyjrzałem się jej uważnie. Nie byłem pewien, jak ją rozgryźć. Rozczarowała mnie swoim zachowaniem. Byłem przygotowany, by stawić czoło burzy imperialnej wściekłości.

- Mówiłem, że spodziewałem się pani - zacząłem - głównie dlatego, że zostałem wciągnięty w zasięg pani spraw rodzinnych. Nie jestem jednak całkiem pewien dlaczego.

- Proszę nie być fałszywie skromnym, panie Garrett. Był pan niezwykle blisko

centrum, nie jedynie w zasięgu. Może bliżej, niż się Panu zdaje. Moje pierwsze pytanie brzmi: dlaczego?

- Reprezentuję oczywiście klienta lub klientów.

Czekała przez moment. Kiedy nie dodałem ani słowa, zapytała:

- Czyj? - i zaraz: - Nie, proszę o tym zapomnieć. Nie powie mi Pan, jeśli uzna, że lepiej będzie to ukryć. Niech chwilę pomyślę.

Dumała przez moment, po czym stwierdziła:

- Od kilku tygodni na moją rodzinę spada nieszczęście za nieszczęściem. Najpierw zostaje porwany mój syn, aby wymusić okup tak wielki, że cała sytuacja finansowa rodziny stoi pod znakiem zapytania. A moja adoptowana córka postanawia uciec z gniazda i za swoją fatygę zostaje zamordowana przez bandytów.

Pogroziłem palcem Saucerheadowi.

- Mój syn po uwolnieniu popełnia samobójstwo. A moja naturalna córka, pomimo wysiłków pana i Willi Dount, ucieka z domu już nie raz, ale dwa razy.

- Nie wspominając o drobiazgach takich jak zamordowanie Courtera Slauce'a w drodze do mojego domu wczoraj wieczorem, albo tego, że złodzieje rabują magazyn rodziny daPena.

Jej twarz okryła się cieniutkim obłokiem wzruszenia, pierwszego, jakie w ogóle okazała.

- Czy to prawda?

- Co?

- O tym magazynie.

-Tak.

- Nie słyszałam o tym.

- Może Domina była zbyt zajęta, by interesować się tym co dzieje się po stronie handlowej.

- Nonsens, Domina przekazuje mi informację o kolejnych katastrofach w małych porcjach. Ma nadzieję, że nie obedrę jej ze skóry, żeby sprawić sobie nowe okładki na książki.

Była to kwaśna, złośliwa uwaga, której nie należało brać poważnie. Wiedźmy i czarownicy tak długo obrzucani byli tym oskarżeniem, że stało się ono zawodowym dowcipem.

Po odegraniu mojego popisowego kawałka czekałem, aż i ona pokaże nieco swoich kart.

- Podejrzewałam, że pańska wiedza nie jest na moje rozkazy, panie Garrett. A teraz powiedział mi pan tak wiele, choć nie wiem jakie motywy panem kierowały. Dobrze. Wiemy oboje, że chcę dowiedzieć się reszty. Chce pan coś dla siebie. Czy możemy znaleźć spokojny, neutralny grunt?

- Prawdopodobnie tak. Nie sądzę, aby nasze cele bardzo od siebie odbiegały.

- Naprawdę? Czegóż więc pan chce?

- Mężczyzny lub kobiety, która wydała rozkaz zamordowania Amirandy Crest.

Domyślałam się, że kiedy gra się o stawki tak wysokie, o jakie grała ona, i od tak długiego czasu, można się nauczyć panowania nad sobą. Ta twarz byłaby mordercza za stołem pokerowym.

- Proszę mówić, panie Garrett.

- Chcę dostać tę osobę, nieważne, kto to jest. Tego właśnie chcę.

Rzuciła okiem na moich towarzyszy. Sadler i Crask siedzieli nieruchomi, ale Saucerhead pochylił się cokolwiek w naszą stronę.

- To oczywiste, że wie pan o wiele więcej ode mnie. Saucerhead nie mógł się już powstrzymać.

- Skredli i Donni Pell, Garrett. Ich też dostaniemy. Strażniczka zmierzyła mnie wzrokiem.

- Mój przyjaciel był tam, kiedy zamordowano Amirandę - wyjaśniłem. - Próbował ją uratować i nie udało mu się. Czuje się w obowiązku wyrównać rachunki. Ma też osobisty dług do spłacenia. Pokaż jej.

Saucerhead zrozumiał. Zaczął się rozbierać. Rany, które pokazał, wciąż wyglądały paskudnie. Głębsze cięcia jeszcze przez kilka miesięcy nie stracą purpurowo czerwonego koloru.

- Rozumiem - mruknęła Strażniczka. - Czy powie mi pan, jak to się stało?

Saucerhead włożył koszulę. Nie odezwałem się.

- Aha, więc to tak wygląda - mruknęła Raver Styx.

Przez ten czas patrzyłem na Saucerheada tak, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, już by nie żył. Wspominać Donni Pell w obliczu żony! Chciałem zachować tę dziwkę na moment, kiedy potrzebny mi będzie maksymalny efekt.

W ogóle nie zareagowała na to nazwisko.

- Zdaje się, że w tym wypadku powinnam pana wynająć, panie Garrett. Może wtedy będzie pan bardziej rozmowny.

- Może. A może wcale nie. Wykonuję pracę na swój własny sposób. Pomiędzy

momentem wynajęcia a wynikami nie znoszę, kiedy mój pracodawca się wtrąca. Ja jestem specjalistą. Jeśli nie można mi zaufać na tyle, abym mógł wykonywać swoją pracę bez niczyjego nadzoru, w ogóle nie należy mnie wynajmować - mój głos chyba nie zadrżał. Nie, naprawdę miałem nadzieję, że nie zadrżał. - A w ogóle po co chce mnie pani wynająć?

Spojrzała na mnie jak na półgłówka.

- Nie przeszkadza mi, że mam wielu klientów, ale nie przyjmuję ich, jeśli mają sprzeczne cele.

Wciąż się na mnie gapiała. Węże gniewu zaczęły więc się pod powierzchnią jej spokoju. Koniec ataku.

- Zanim będziemy kontynuować, chcę pani coś pokazać, Strażniczko. Uprzedzam panią, że to nic przyjemnego. Będzie się pani gniewać. Ale musi pani to zobaczyć, żeby nie wejść w sprawę z pajęczyną iluzji na oczach.

Truposz musnął mnie dotknięciem pełnym aprobaty.

Strażniczka wstała. Jej twarz miała starannie skomponowany wyraz opanowania.

- Powinna pani skończyć tę szklankę - zasugerowałem. -I może nalać sobie jeszcze jedną, zanim tam pójdziemy.

- Jeśli to coś tak mocnego, zabieram butelkę ze sobą. Jak to chłopaki.

- Proszę zatem za mną.

Przeszliśmy przez hol do pokoju Truposza. Wszedłem pierwszy i odstąpiłem od drzwi. Reszta przemaszerowała przede mną jak na defiladzie, ze Strażniczką na czele. Chłopcy ustawili się w szereg wzdłuż ściany koło drzwi. Crask i Sadler wybałuszyli ślepia na Truposza i chyba trochę pozielenieli.

Widzieć to wierzyć.

- Martwy Loghyr - wykrzyknęła Strażniczka z entuzjazmem, jakby właśnie zauważyła uroczego elfiego bobasa wyglądającego zza krzaka. - Nie wiedziałam, że jeszcze jacyś istnieją. Co by pan za niego chciał?

- Nie przydałby się pani. To pasożyt społeczny. Moja osobista akcja dobroczynna. Tylko śpi i zabawia się przeganianiem robali po ścianach.

- Lenistwo to rasowa przypadłość Loghyrów. Nawet jednak martwego można wyszkolić do ręki, jeśli stosuje się odpowiednie sposoby.

- Musi mi to pani kiedyś wyjaśnić. Nie mogę wykrzesać z niego żadnej pracy. To, co pani powinna zobaczyć, jest tutaj. Dean! Przynies tu jakieś przyzwoite lampy! - Miał to zrobić już dawno. Przyszedł w podskokach, mamrocząc przeprosiny. Dygotał na całym ciele i nie miałem mu tego za złe. Był to moment, który mógł się skończyć eksplozją.

Stała, patrząc na ciała, nie tracąc opanowania nawet na chwilę. Uniosła rękę, skinęła na Deana. Wzięła od niego lampę, uklękła. Przez długą chwilę, cal po calu, studiowała ciało Karla. Skończyła, pociągnęła tęgi łyk z butelki brandy i powtórzyła to samo z Amirandą. Nie poświęciła jej ani sekundy mniej. Właściwie nawet więcej.

Strażniczka sieknęła, odstawiła butelkę i położyła opuszki dwóch palców na brzuchu Amirandy. Po jakiejś minucie mruknęła: "Aha!" i wróciła do butelki. Pociągnęła kolejny potężny łyk.

Wstała.

- Mam u pana dług wdzięczności, panie Garrett. - Oddała lampę Deanowi. - Czy możemy teraz porozmawiać? Poważnie? Tylko we dwoje?

-Tak. Dean, zabierz chłopaków do kuchni i nakarm ich. Mnie przynieś kufel i dzban. Do biura.

- Tak jest, sir. Panowie...

Nie zaprotestowali. Zdaje się, że dostali od Chodo instrukcje, żeby współpracować.

XLV

Usadowiłem się za biurkiem. Strażniczka siadła naprzeciwko mnie, całą uwagę poświęcając własnemu wewnętrznemu krajobrazowi i butelce. Wreszcie mruknęła:

- Karl został zamordowany.

-Tak. Przez człowieka zwanego Piękniś i jego najemnika, wilkołaka nazwiskiem Skredli. Piękniś nie żyje. Skredli jest na wolności, ale zamierzamy go odnaleźć. Był również przywódcą gangu, który zabił Amirandę. Niestety, to tylko wynajęty zbir. Ktoś musiał zapłacić za przelanie krwi.

- Ma mi pan wiele do opowiedzenia.

- Jeśli uznam panią za klientkę. Zamyśliła się na chwilę.

- W tej chwili pana zadaniem jest odnalezienie osoby odpowiedzialnej za śmierć Amirandy. Zgadza się? Wie pan zapewne, że rozporządzam wielką mocą. Nie mam jednak pojęcia, jak odnaleźć mordercę. Co by się stało, gdybym wynajęła pana, żeby odnalazł morderców Karla?

- To może się udać, jeśli zachowamy następstwo roszczeń w przypadku, gdyby okazało się, że to ta sama osoba.

- Nie będzie problemu z następstwem roszczeń, jeśli spełni pan jeden warunek.

- To znaczy?

- Może pan skorzystać z następstwa roszczeń sam, mogą skorzystać pańscy przyjaciele i pański klient, o ile pozwoli mi pan być obecną w chwili, kiedy będzie kończył sprawę. Nieważne, co pan zrobi. Nawet śmierć nie będzie ucieczką dla kogoś, kto to wszystko zorganizował.

Poczułem przypływ uniesienia. Zacząłem się zastanawiać, skąd mi się to wzięło, gdy zrozumiałem, że większa jego część pochodzi od Truposza. Coś wiedział albo coś miał.

- Myślę, że mogę się na to zgodzić.

- Panie Garrett, nie będę panu wchodziła w drogę. Ofiaruję jednak wszelką pomoc, jaka może okazać się potrzebna.

Dean przyniósł piwo. Nalałem sobie do pełna i omal od razu nie wypilem. Strażniczka zrobiła to samo z drugim kuflem, który Dean troskliwie jej podsunął.

Powiedziała wreszcie:

- Podejrzewam, że splukał się pan finansowo. Te ciała musiały nieźle kosztować.

- To prawda.

- Proszę to doliczyć do zaliczki, jaką pan powinien dostać na poczet wydatków i honorarium.

- Chciałbym być pewien, że się rozumiemy. Zamierza mnie pani zaangażować i dać mi wolną rękę, nie wtrącając się do niczego, jeśli tylko zostanie pani zaproszona na zamknięcie sprawy?

-Tak.

-I będzie mi pani po drodze służyć swoim autorytetem?

- Jeśli to okaże się konieczne.

- Może się okazać w kilku przypadkach.

- Panie Garrett. Mam tylko jeden cel. Chcę dostać w ręce osoby lub osobę odpowiedzialną za to, co stało się z moimi dziećmi. Koszty nie stanowią przeszkody. Imperator także. Czy pan mnie rozumie? - Lodowato niebieskie oczy zapłonęły znowu. -Zrobi pan wszystko, co należy, żeby się panu udało. Będę pana popierała aż po granice samego piekła.

- Pakt?

- Chce pan przysięgi wiedźmy, podpisanej krwią?

- Przyrzeczenie Strażniczki Raver Styx wystarczy w zupełności. Wygłosiła wszelkie niezbędne formuły, pozwalając mi wcześniej sformułować klauzulę.

- Załatwione - stwierdziłem. - Jesteśmy współnikami. A teraz jestem pani winien opowieść.

Zacząłem opowiadać wszystko po kolei, od chwili gdy ta sprawa wdarła się w moje życie. Przekazałem wyniki, pomijając jedynie osobiste związki z Amirandą i Amber. Nie sądzę, żeby dała się nabrać.

Pominałem również parę ulotnych myśli o złocie. W końcu miałem klientkę.

Zajął mi to kilka godzin. Nie przerywała. Dean tylko napełniał dzban i przynosił jedzenie, kiedy uznał, że nadeszła pora.

Kiedy skończyłem, nie od razu skomentowała opowieść. Dałem jej kilka minut, po czym zapytałem:

- Czy wciąż jeszcze pracuję?

Spojrzała na mnie wzrokiem mówiącym "nie bądź głupi".

- Oczywiście. - Myślała jeszcze przez chwilę. -To nie ma sensu.

- Nie z naszej obecnej pozycji. Z początku wyglądało to może trochę dziwnie. Dopiero, kiedy ludzie zaczęli się wzajemnie wrabiać, sprawy zaczęły się gmatwać. Wtedy pojawił się strach.

- Z tego punktu widzenia też niewiele rozumiem. Nie ja.

- Proszę teraz nie zamykać umysłu.

Po raz pierwszy od wielu godzin powróciła do realnego świata i spojrzała na mnie okiem bazyliuszka.

-Co?

- Zapomina pani o centralnym elemencie tej piekielnej układanki. Osobie, której cień pada na wszystko inne. O Strażniczce Raver Styx.

- Proszę się wytłumaczyć, panie Garrett.

- Zaraz to zrobię. Na przykładzie. Przyjmijmy, że każda z osób, on czy ona, jest tym, za kogo się podaje. Natomiast pani, zamiast być przerażającą Raver Styx, jest spadkobierczynią fortuny winnic Gallarda, tą jak-jej-tam-było. Czy ktokolwiek zrobiłby to, co zrobił, gdyby pani była na jej miejscu i gdyby to ona wyjechała z domu na sześć miesięcy? Czy ktokolwiek pokusiłby się o to? Może tylko Donni Pell i jej banda, ale ich motywem była tu chciwość.

Kim pani jest lub nie, nie miało najmniejszego znaczenia, dopóki nie pojawiły się podwójne spiski i wielowarstwowe oszustwa i nie trzeba było chronić kolejnych tyłków.

Nie spodobało jej się to, choć zaledwie musnąłem właściwy temat. Była jednak najbardziej cholerną, zatwardziałą realistką, jaką zdarzyło mi się spotkać na swej drodze. Przełknęła swoje spienione ego.

- Rozumiem. - Willa Dount wyglądałaby przy niej jak kociątko. Odczekała jeszcze chwilkę, jakby chciała sobie dać czas do namysłu. Nagle uniosła głowę.

- Co pan zamierza zrobić, Garrett?

- Chcę przesłuchać pani męża i Willę Dount w takich okolicznościach, żeby nie mogli unikać odpowiedzi i udawać, że nie słyszą pytań.

- To można załatwić. Kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Dzisiaj. Teraz. Staruszka z kosą już dość się napracowała. Nie dajmy jej czasu, aby namierzyła jeszcze kogoś. - Stara Kostucha podobno jest ślepa, lecz zauważyłem, że nigdy nie chybia.

- Myślę, że to najlepsze wyjście. Jak chce pan to urządzić? Rozmawialiśmy jeszcze około kwadransa. Powiedziałem, że rozegram to z pamięci, ale zaznaczyłem od razu, że chcę mieć pełną swobodę działania. Wtedy wstała.

- Dobrze, panie Garrett. Teraz zabiorę ciała.

- Najlepiej będzie wynieść je tylnymi drzwiami. Miały już dawno być spalone i nikt poza domem nie wie, że nie są.

- Rozumiem.

Odprowadziłem ją do frontowych drzwi. Tam się zatrzymała, czekając, aż ją wypuszczę.

- Niech pan się dobrze opiekuje moją córką, panie Garrett. Może to wszystko, co mi pozostało.

- Mam taki zamiar, Strażniczko.

Przez chwilę spoglądaliśmy sobie w oczy. Zrozumieliśmy się doskonale.

To żalosna prawda, że ludzie pokroju Raver Styx nie umieją wyrażać swojej miłości do bliskich w taki sposób, aby mogli oni zrozumieć, o co chodzi.

XLVI

Zamknąłem drzwi, oparłem się o nie plecami i pozwoliłem sobie na głębokie, serdeczne westchnienie ulgi. Trząsałem się jeszcze przez około minuty, dopóki napięcie nie ulotniło się całkowicie. Miałem ochotę wydać prymitywny, ale głośny okrzyk wojenny.

Saucerhead wystawił głowę z kuchni:

- Poszła sobie wreszcie?

- Wreszcie.

Policzył mi ramiona i nogi.

- Chyba udało ci się coś załatwić.

- No. Ciekawe, ile z tego zostanie.

- W co gramy?

- Najpierw jeden z jej chłopców podejdzie pod tylne drzwi, żeby zabrać ciała. Bądźcie tak mili i wydajcie je. A ja tymczasem pójdę rozpaścić ognisko pod tyłkiem Truposza.

Saucerhead rzucił mi groźne spojrzenie, mrucząc pod nosem coś o "gówniarzach, którzy zadzierają nosa", ale poszedł po Sadlera i Craska. Poczekalem, dopóki nie zabrali ciał.

Spokojnie, stary. W końcu chyba nie było aż tak źle?

- Pewnie. Drobnostka. Tylko dlaczego cały się trzęsiesz?

To go zaskoczyło. Niemal widziałem, jak sprawdza, czy jakimś cudem jego martwe cielsko nie podjęło niektórych procesów życiowych.

Punkt dla Garretta.

- Przeżyłeś jakiś rodzaj odlotu, kiedy z nią rozmawiałem. Można się dowiedzieć, co to było?

Stwierdziłem, że dzięki krótkiej podróży poza miasto jesteś w stanie załatwić ostatecznie całą sprawę.

Był wyraźnie przygotowany na kolejne peany pod adresem swojego geniuszu.

- Mówisz o wyjeździe na farmę, żeby przyskrzynić Donni Pell?

Sam to wymyśliłeś!

- Wiele razy mówiłeś mi, że mam zacząć używać własnej głowy. Używanie twojej jest za bardzo pracochłonne. Wszyscy ludzie i wszyscy łapacze kacyka zdołali przechwycić tylko kilka starych, dawno wystygłych śladów. Swoich przyjaciół w mieście już wykorzystano do maksimum. Gdzie indziej mogłaby się ukryć?

Doskonale. Wciąż jednak opieramy się na założeniu, że nie wykorzystano bogatych

owoców swoich zdradzieckich i przebiegłych poczynań, aby zainstalować się gdzieś, gdzie nikt jej nie zna i, przy odrobinie szczęścia, gdzie mogłaby zostać ogólnie szanowaną osoba.

- Nie sądzę. Nie ma takiej siły woli ani charakteru, żeby skończyć z tym wszystkim. Gdyby miała, zrobiłaby to już dawno temu.

Pojedziesz na tę farmę?

- Wciąż jeszcze formułuję strategię - odparłem oszczędnie. - Na razie wybieram się do domu państwa daPena na małą pogawędkę ze starym Strażniczką i Willą Dount, a także ze służbą, jeśli okaże się to przydatne. A gdzieś w zakamarkach mojej mózgowicy zastanawiam się, czy Skredli byłby na tyle cwany, żeby samemu to wszystko wykombinować.

O tym nie pomyślałem.

- Bo nie myślisz jak zbir. Bądź pewien, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi Skredli, kiedy tylko zorientuje się, że może już przestać uciekać, jest znalezienie kozła ofiarnego, na którego zrzuci winę za bagno, w jakim się znalazł. Bardzo łatwo będzie wyrównać rachunki z Donni. Zobacz, jaki doskonały stanowi cel. Nie ma przyjaciół. Żadnych obrońców ani ochroniarzy. Do tego ma worek forszy, który można sobie wziąć bez obawy o konsekwencje. A przede wszystkim jest kobieta.

Żal ci jej?

- Nie za bardzo. To ona pierwsza chciała się bawić z niegrzecznymi chłopcami.

W drzwiach stanął Saucerhead, czekając, aż skończę rozmawiać. Gestem zaprosiłem go do środka.

- Poszli już?

- Poszli.

- Wiesz, o czym mówiłem?

- Słyszałem twoje słowa.

- No to słyszałeś wszystko, co było warte usłyszenia. - Wziąłem do ręki jedną z map, które studiowałem po rozmowie ze Skredlim, i rozłożyłem ją.

- Widzisz to? Tu jest skrzyżowanie, na którym ty i dziewczyna natknęliście się na Skredliego i jego chłopców. Jeśli teraz pójdziesz na zachód, mniej więcej do tego miejsca, dojdiesz do dwóch młodych drzewek morwowych, które zarastają koniec starej, zapomnianej drogi. Znajdziesz tam równie starą, opuszczoną farmę. Tam właśnie przetrzymywali Karla Juniora, kiedy cały ten bałagan był jeszcze tylko porwaniami. Myślę, że właśnie tam znajdziemy Donni Pell.

- Chcesz, żebym ją tu przy włókł?

- Och, nie. Niech sobie siedzi. Mam zamiar zorganizować rodzinne spotkanie właśnie

tam, na farmie. Ale wtedy chciałbym już wiedzieć, w co wdepnę.

- Więc chcesz, żebym wyruszył na zwiad, tak?

- Dasz sobie radę?

- Bez problemu. Kiedy?

- Najszybciej, jak można. Nie zabłądź, idąc do domu na końcu tej drogi.

Prychnął tylko.

- Garrett, możesz mi chyba trochę zaufać?

- Spotkajmy się jutro na skrzyżowaniu. Postaram się być tam jak najbliżej południa. W drodze będę musiał się parę razy zatrzymać.

Tharpe skinął głową, przybliżenie w stronę kuchni.

- A co z tamtymi chłopakami?

- Nie obchodzą mnie. Jeśli chcą, mogą iść z tobą albo zostać tutaj. Ale jeśli będą chcieli powlec się za tobą, przypilnuj, żeby nie zaczęli własnej rozgrywki. Ja w tej chwili wychodzę na kilka minut na Górę, a ty dowiedz się przez ten czas, co zamierzają.

Garrett, co zamierzasz zrobić?

Głos Truposza brzmiał podejrzliwie.

- Nie wiem, będę improwizował po drodze.

Coś mi się zdaje, że masz jakiś pomysł.

- Chciałbym mieć. Kiedy to wszystko się skończy, pozostaną różne ślady i strzępki spraw, które mogą stwarzać problemy.

Na przykład biedny Garrett, który znalazł się nagle pomiędzy młodą, atrakcyjną kobietą, która zawsze dostaje to, co chce, a nieco starszą, zdecydowaną na wszystko rudowłosą damą, uważającą, że ma pewne prawo własności w stosunku do rzeczonoego pana.

- Akurat o tym nie pomyślałem. Uznałem raczej, że Strażniczka będzie chciała się do mnie dobrać za podejrzenia i brak szacunku, skoro tylko przestanę jej być potrzebny. Amber przestanie się mną interesować, kiedy tylko uda jej się położyć łapki na tym złocie.

Garrett, muszę przyznać, że w większości przypadków jesteś niezwykle zdrowo myślącym przedstawicielem swojego gatunku. Jeśli jednak chodzi o płęć przeciwną, najczęściej zachowujesz się jak głupiec.

- To wrodzone. Po ojcu. Ale pracuję nad tym.

Jestem pewien, że już prędzej przelamiesz w sobie nałóg picia piwa.

- A wracając do Amber, chyba powinienem powiedzieć jej, co się dzieje.

Drobna rada, jeśli nie chcesz znaleźć się na pierwszych miejscach listy Strażniczki, kiedy będzie wyrównywać rachunki.

- To znaczy?

Zmityguj nieco tę część swojej osobowości, która upiera się, żeby być sarkastyczną, złośliwą i skłoną do konfrontacji.

- Nad tym też pracuję. Chyba zajmę się tym zaraz po tym, jak załatwię sprawę stosunku do kobiet.

Wyszedłem i zajrzałem do kuchni.

- Postanowili zostać ze mną - oznajmił Saucerhead. Z jego miny widać było, że ich decyzja wynikała z chronicznej niechęci do wchodzenia w drogę Strażniczce Raver Styx.

Mrugnąłem i ruszyłem na górę.

Zastukałem do drzwi Amber.

- Jesteś tam?

- Drzwi są otwarte.

Wszedłem.

Siedziała na skraju łóżka. Była blada i zmęczona.

- Poszła sobie?

Usadowiłem się wygodnie na jedynym krześle, jakie się tam znajdowało.

- Poszła. Udało nam się wypracować pewien układ.

- O ile więcej ci zapłaciła?

- Amber, ja nie lubię twojej matki.

- Co to znaczy?

- Ludzie, których nie lubię, nie są w stanie mnie przekupić, jeśli w grę wchodzi ludzie, których lubię, choć nieraz czasem pozwalam im myśleć, że jest inaczej.

- Dzięki - nie wyglądała na pocieszoną.

- O co chodzi?

- To już prawie koniec, prawda?

- Mam zamiar jutro założyć stryczek na czyjaś szyję.

- Wiesz, na czyją?

- Nie na pewno. Na razie.

- Chyba nikogo to nie uszczęśliwi...

- Morderstwo nigdy nie uszczęśliwia. Nie na długo.

- I już cię nie zobaczę...

Miałem wielką ochotę podreptać na dół i podłożyć Truposzowi porządnego kopa. Prawdopodobnie teraz podsłuchuje i kwiczy z radości. Dlaczego ta cholerna kupa miecha zawsze musi mieć rację?

- Kto wie? Słuchaj, wybieram się do domu twojej matki, żeby przesłuchać baroneta i Dominę Dount. Jak tam twoja kondycja psychiczna? Chciałabyś wybrać się ze mną i odegrać rolę milczącego świadka? Może weźmiesz sobie jakieś ubranie na zmianę?

- A co, śmierdzą?

- Co takiego?

- Nieważne. Co to jest milczący świadek?

- Ktoś, kto sobie stoi i zmusza ludzi do trzymania się prawdy, ponieważ wiedzą, że milczący świadek zawsze może podważyć ich słowa.

- Och. - Zmarszczyła czoło. - Nie wiem, czy będę w stanie. Mój własny ojciec,...

- Będziesz miała szansę zobaczyć, jak Domina gryzie się we własny tyłek.

- Doskonale. - Zerwała się natychmiast.

- Bogowie, cóż za entuzjazm.

- Nie chcę skrzywdzić ojca, Garrett. Wiem, że zapędzisz go w taki kąt, gdzie będzie musiał wyznać rzeczy, których moja matka raczej mu nie przebaczy.

Coś w jej tonie głosu mówiło mi, że gotowa jest wyjawić wszystkie sekrety rodzinne.

- Może jeśli nie zadam pewnych pytań, twoja matka nie będzie musiała usłyszeć odpowiedzi. Jeśli tylko nie wyrze to wpływu na...

- Nie wiem! - w tym okrzyku brzmiał ból i błaganie o pomoc.

- Powiedz mi.

- Ami... to on był ojcem dziecka, które nosiła.

- Nie jestem zaskoczony tą nowiną, Amber. Podejrzewam, że twoja matka także już rozważała taką możliwość.

- Domyślałam się, że tak będzie. Ale nawet wtedy niczego nie zrozumie. - Biedna Amber wyglądała jak kupa nieszczęścia. Musiało ją to bardzo gryźć.

- To w zasadzie nie było kazirodztwo...

- Mogło być.

- Jak to? Jakim sposobem?

- Ami... nie była chętną partnerką.

- Zgwałcił ją? - nie mogłem uwierzyć, że Amiranda zniósłaby to z czyjejkolwiek strony.

- Tak. Nie. Nie tak, jak myślisz. Nie przyłożył jej noża do gardła. On ją po prostu... skłonił do tego... tak mi się wydaje. Nie wiem, jak to zrobił. Nigdy mi tego nie opowiedziała. Tylko Karłowi. Ale Karl powiedział mnie: to się zaczęło, kiedy miała trzynaście lat. Kiedy jest się tak młodym, trudno... trudno osądzić, jak się zachować.

- Ale ciebie chyba nie...

- Nie. Ale... próbował. Dwa razy. Kiedy miałam czternaście lat. Prawie piętnaście. To było straszne, Garrett. Mężczyzna chyba nawet by tego nie zrozumiał. Za pierwszym razem, kiedy się zorientowałam, czego chce, po prostu uciekłam. Za drugim razem załatwił to tak, żebym nie miała gdzie uciec. I... on... nie chciał mnie zostawić w spokoju, dopóki nie zagroziłam, że powiem matce.

- A wtedy?

- Wpadł w panikę. Psychotyczną panikę. Dlatego właśnie...

- Groził ci? Fizycznie?

Skinęła głową.

- Rozumiem. - Oparłem się o krzesło, żeby to przetrwać. Rozumiałem jej lęki. To ani trochę nie poprawi sytuacji Karla Seniora, tym bardziej, że uważałem go za podejrzanego numer jeden. Wciąż tylko miałem problem ze znalezieniem jakiegoś motywu.

- Oboje byli głupi. I Ami, i ojciec. Powinni byli zdawać sobie sprawę z tego, że prędzej czy później tak się to skończy. W miejscach takich, jak zamek matki, zbyt wiele jest unoszącej się w powietrzu swobodnej energii, żeby nie wpłynęła ona na zakłęcie amuletu antykoncepcyjnego.

- Gdyby wiedziała, że tak będzie...

- Garrett, nie zaczynaj. Nie wiesz, jak to jest. Nie jesteś kobietą. Nie jesteś córką. I nigdy nie byłeś w tak trudnej sytuacji.

- Masz rację. W porządku, posłuchaj, co zrobię. Porozmawiam z nim wtedy, kiedy twojej matki nie będzie w pokoju. Jeśli nie jest to istotne dla sprawy, nie dowie się o niczym.

- Nie pozwoli na to.

- Będę nalegał. Będę także nalegał, abyś była z nami.

- Och, czy naprawdę muszę?

- Chcę zapędzić go w tak ciasny kąt, żeby myślał, że jedynym wyjściem jest wyznanie całej prawdy. Nie będzie kłamał, widząc cię w pobliżu, gotową wykrzyknąć: "A pamiętasz, jak próbowałaś...?".

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też. Ale człowiek radzi sobie tym, co ma pod ręką.

- On nie zrobiłby czegoś takiego, jak myślisz.

- Po Amirandzie niedługo zaczęłoby być widać. Twoja matka jest dociekliwa, a kiedy pyta, otrzymuje odpowiedzi. Jak zareagowałaby...

- Wiem, co powiesz, Garrett. Spanikował. Oszalał ze strachu. Tak, ale nie do tego

stopnia.

- Może masz rację. Ale kiedy go już przyprzemy do muru, dowiemy się tego z całą pewnością. - Wolałem przemilczeć, że Strażniczka sama odkryła ciążę Amirandy. Wydawało mi się to dobrym wyjściem.

- Garrett, czy mamy czas... Powoli pokręciłem głową.

- Wielka szkoda, naprawdę.

- Przykro mi.

Idąc w stronę schodów, dodała jeszcze:

- Pewnie nawet nie wiedział, że Amiranda jest w ciąży. Nie powiedziała by o tym nikomu z wyjątkiem Karla.

Burknąłem coś niezobowiązująco. Teraz już wie, choć chętnie przyjmę pod rozwagę możliwość, że wówczas nie wiedział. Zatrzymałem się, żeby zajrzeć do pokoju Truposza.

- Już idziemy.

Uważaj na siebie, Garrett. I pamiętaj o zachowaniu dobrych manier wobec lepszych od ciebie.

- Nawzajem, Chichotku. A może teraz wyjawisz mi sekret Glory'ego Mooncallea? Na wszelki wypadek? Nie chciałbym opuszczać tego padołu w nieświadomości...

Teraz, kiedy idziesz w samą paszczę Strażniczki? O, nie. Poczekam, aż wrócisz i wszystko wyjdzie na jaw.

Miał trochę racji.

Zanim wyszliśmy, całkiem niepotrzebnie kazałem Deanowi zamknąć za nami drzwi.

Postanowiłem zboczyć z drogi i zahaczyć o Lettie Faren. Może nie miałem racji. Czasem naprawdę lepiej jest umrzeć w nieświadomości.

Facet przy drzwiach znał mnie i wiedział, że moja obecność nie jest pożądana, ale zrobił tylko symboliczny gest, żeby mnie zatrzymać. Amber rozdziawiła buzię i stwierdziła szeptem, że nie uwierzyłaby, gdyby tego nie zobaczyła na własne oczy.

Ja także rozdziawiłem gębę, ale z całkiem innego powodu.

Zakład był nieczynny. Do tej pory nie zdarzyło się to nigdy, odkąd sięgam pamięcią. Zaniepokojony przepchnąłem się obok barmana i goryla, który usiłował mnie zatrzymać, ale bez przekonania. Wpadłem do tego gniazda zarazy, które Lettie nazywa domem.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Kazałem Amber pozostać na zewnątrz.

Kupa nieszczęścia, która niegdyś znana była jako Lettie Faren, próbowała łyknąć na mnie podsinionym i spuchniętym okiem, ale jej nie wyszło. Nie była w stanie wykrzesać w sobie tej iskry. To, co pozostało, przypominało kiepską maskę strachu.

- Chłopcy Choda? - zapytałem. Skrzeknęła twierdząco.

- Powinnaś była powiedzieć mi, gdzie jest Donni, kiedy jeszcze wiedziałaś. Zanim dzielni chłopcy stwierdzili, że oni też mają na nią chęć.

Tylko się na mnie gapiła. Prawdopodobnie na chłopców Choda też tylko się gapiła. Przez jakiś czas. Była niemal tak cholernie twarda, za jaką się uważała.

- Ostatnimi czasy pracuję dla Raver Styx. Wolałbym nie być na miejscu tego, który właduje się w ciasną szparę pomiędzy Strażniczką a kacykiem.

- Nie miałam im nic do powiedzenia, Garrett, i tobie także nie mam. Przyprowadź tu tę starą wiedźmę, jeśli chcesz.

- Na złodzieju czapka gore. Życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia, Lettie.

Po drodze do wyjścia Amber zapytała:

- Dlaczego nie chciałeś, żebym tam wchodziła?

- Nie tylko ja szukam Donni Pell - wyjaśniłem bez ogródek. - Tamci pobili ją, usiłując się dowiedzieć, dokąd udała się Donni.

- Mocno?

- Mocno. To nie są mili ludzie. Właściwie zaczynam dochodzić do wniosku, że jedyną miłą osobą w tym całym bałaganie jesteś ty.

Zaśmiała się trochę nerwowo.

- Przecież jeszcze wcale mnie nie znasz - odparła i dodała konwersacyjnym tonem: - Ty także nie jesteś wcale taki zły, Garrett.

Może i ona wcale mnie nie zna.

XLIX

Żołnierz u bramy domu Strażniczki był mi obcy. Miał profesjonalny, kompetentny wygląd.

- Jak minęły wakacje w słonecznym Kantardzie? Nie załapał.

- Ponuro jak zwykle, panie Garrett. Strażniczka oczekuje pana w swoim gabinecie.

Panna daPena może pokazać panu drogę.

- Taak. Dzięki. Robicie coś w sprawie Slauce'a, chłopaki?

- Nie rozumiem?

- Składacie się może na jakieś kwiatki czy coś? Tak sobie pomyślałem, że w zasadzie to mógłbym się jakoś dołożyć. W końcu nigdy by go to nie spotkało, gdyby nie wybierał się do mnie.

- Jeszcześmy nie zdecydowali. Jeśli się zdecydujemy, damy panu znać, dobrze?

- Jasne. Dzięki.

Kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem jego słuchu, Amber szepnęła:

- Widzisz? Mówiłam ci, że wcale nie jesteś taki zły.

- Cyniczny, manipulacyjny gest obliczony na to, by wzbudzić sympatię wśród żołnierzy.

- Jasne, Garrett. Cokolwiek powiesz, uwierzę we wszystko.

Raver Styx siedziała sama w półmroku, w pozbawionym światła pokoju, mniej więcej podobnym rozmiarami do pokoju Truposza. Była tak nieruchoma i zamknięta w sobie, że poczułem dreszcz niepokoju. Czyżbyśmy stracili jeszcze jednego przedstawiciela rodziny daPena?

Nie. Te podobno przerażające oczy otwały się i spojrzały na mnie. Zobaczyłem tylko zmęczoną i steraną, starszą panią.

- Niech pan usiądzie, panie Garrett - zaczęła się zmieniać, jak człowiek-wilk w świetle księżycy. - Amber, sądzę, że powinnaś się zamknąć w którymś z pokoi tego domu, ale jeśli czujesz się bezpieczniej z panem Garrettem i jego współnikami, możesz tu zostać.

Znowu stała się Strażniczką Raver Styx - z odrobiną troskliwej matki w tle.

Amber znajdowała się w zasięgu, a moje stopy były dla Raver Styx całkowicie niewidoczne, z czego natychmiast skorzystałem. Delikatnie kopnąłem ją w kostkę. Drgnęła - zrozumiała, o co chodzi.

- Dziękuję, matko. Będę się znacznie lepiej czuła z panem Garrettem. Przynajmniej na

razie.

To nie było takie trudne. Nieraz, abyśmy byli dla siebie uprzejmi, wystarczy tylko obecność trzeciej osoby, w której oczach nie chcemy stać się durniami.

- Jak sobie życzysz. Od kogo zaczniemy, panie Garrett?

- Od Dominy Dount.

- Od Willi Dount, panie Garrett. Strata jej pozycji i tytułu jest karą tylko w zawieszeniu. Nie należy budzić fałszywych nadziei.

- Pani tu rządzi. W każdym razie najpierw ona, później pani małżonek i, jeśli okaże się to niezbędne, służba.

- Czy to nie nazbyt drobiazgowo?

- Być może, ale w tej chwili właśnie tego potrzebuję. Drobiazgow, którymi wypełnię luki w obrazie, jaki już posiadam.

- Kusi mnie, aby nałożyć kary na wszystkich po kolei, a bogowie niech sobie rozstrzygną, kto był winny, a kto tylko niekompetentny.

Nieraz czuję to samo w odniesieniu do klasy rządzącej. Zastosowałem się jednak do rady Truposza i pozostawiłem tę opinię dla siebie.

- Wiem, co pani ma na myśli.

- Jak ma pan zamiar to zorganizować? W mojej obecności? W obecności Amber?

- W przypadku Willi Dount, w obecności pani i bez Amber. Powiedziałem jej już, jak długo ma pozostawać za drzwiami. Kiedy wejdzie, chciałbym, aby znalazła pani powód do wyjścia z pomieszczenia. Po załatwieniu sprawy z Willą Dount chyba nie będę musiał przesłuchiwać nikogo więcej, ale chcę spróbować.

- Doskonale.

- Chciałbym też zobaczyć wszystkie dokumenty będące w jej posiadaniu. Listy od porywaczy również. Widziała je pani?

- Tak. Widziałam.

- Rozpoznaje pani pismo?

- Nie. Ale wydawało mi się, że należy do kobiety.

- Ja też tak pomyślałem. Wyjątkowo precyzyjne. Do tego stopnia, że przez chwilę zastanawiałem się nad szansą jedną na tysiąc, czy to nie Amiranda.

- Amiranda miała charakter pisma pijanego trolla. Nie sposób je było odczytać, ale i nie sposób podrobić czy się pomylić.

- Dobrze. Z pani mężem chciałbym porozmawiać tylko w obecności Amber. W przypadku służby będę panią i Amber prosił z każdą osobą oddzielnie. Gdyby czynnik

onieśmielenia, oczywisty w pani obecności, okazał się hamujący...

- Rozumiem. Zaczynamy już.

- Gdzie teraz jest Willa Dount?

- W swoim biurze. Wykonuje pracę, która będzie należeć do jej obowiązków jeszcze tylko przez kilka godzin.

- Czy możesz ją poprosić, Amber? Powiedz jej, żeby przyniosła wszystkie dokumenty.

- Tak, mistrzu. - Puściła do mnie oko, co zauważyła jej matka.

- Prosiłbym, by dzisiaj powstrzymała się pani przed wymierzaniem kary Willi Dount czy komukolwiek innemu, Strażniczko. Jutro chciałbym zabrać wszystkich na wizję lokalną tego, co zdarzyło się tamtej nocy, gdy zapłacono okup i zginęła Amiranda.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Tak. Niezbędne. Potem nie będzie już żadnych wątpliwości.

Nie żądała szczegółów, co szczerze doceniłem. Może w sumie nie była znowu aż taka zła. Czekaliśmy w milczeniu.

L

Willa Dount wmaszerowała ze stosem papierów.

- Wzywała mnie pani, madam? - Nie wydawała się zaskoczona moim widokiem...

...i nie powinna być nim zaskoczona, skoro ma wśród służby swoich szpiegów.

- Wynajęłam pana Garretta, aby odnalazł dla mnie osobę lub osoby odpowiedzialne za śmierć Amirandy, Karla i Courtera Slaucea. Pan Garrett chce ci zadać kilka pytań, Willo. Masz odpowiedzieć sumiennie i zgodnie z prawdą.

Uniosłem brew. Slauce też? Niespodzianka, niespodzianka. Ale na pewno punkt dla niej.

- Proszę dać te papiery panu Garrettowi. Usłuchała, aczkolwiek niechętnie.

- Jesteś jak sęp krążący wokół tej rodziny. Nie spocznesz, dopóki nie dodziobiesz się do kości.

- O ile sobie dobrze przypominam, nie prosiłem o zatrudnienie w rodzinie daPena nawet tyle razy, ile pani ma nosów na twarzy. Proszę policzyć i sprawdzić.

- Inteligencja ci się jakoś nie poprawiła.

- Willo. Usiądź i uspokój się. Pohamuj swoje uprzedzenia i odpowiadaj wyłącznie na pytania.

- Tak jest, madam.

Czy mnie słuch myli, czym słyszał tu trzask bicza?

Willa Dount z chłodną, pustą twarzą usadowiła się na krześle.

Jeśli ona siedzi na grzędzie, to ja będę krążył. Wstałem, zacząłem chodzić, przetasowywać papiery. Porywacze dołożyli ogromnych starań, żeby Domina dokładnie wiedziała, gdzie ma iść i co robić. Wsunąłem palec za listy, które już poznałem i rzuciłem pierwsze pytanie:

- Kiedy zorientowała się pani, że porwanie jest sfingowane?

- Kiedy zniknęła Amiranda. Była dziwna już od jakiegoś czasu, a zanim zniknęła, ciągle coś sobie szeptała po kątach z Karlem.

Kłamstwo numer jeden już w pierwszym podejściu? Domina Dount powinna była być w drodze do miejsca zapłacenia okupu, zanim jeszcze Amiranda rozwinęła skrzydełka... A może...

A może Willa Dount wiedziała wcześniej, co planuje Amiranda.

- A kiedy spostrzegła pani, że fikcja przerodziła się w prawdziwe porwanie?

- Kiedy dotarłam do miejsca, w którym miałam przekazać złoto. Ci ludzie nie grali. Byli śmiertelnie poważni. Obawiam się, że omal nie straciłam panowania nad sobą. Nigdy jeszcze się tak nie bałam.

- Proszę opisać ludzi, którzy tam byli. Zmarszczyła brwi.

- Już przedtem pytałem panią o wypłatę okupu - zaznaczyłem. - Nie chciała pani mówić. Wtedy było to pani prawo. Teraz już nie. Dlatego proszę opowiedzieć o tamtych ludziach i o tamtej nocy.

Trzymałem w dłoni pierwszy z listów, których jeszcze nie czytałem.

- Były tam dwa zamknięte powozy i przynajmniej czworo ludzi. Dwóch woźniców mieszanej rasy, prawdopodobnie wilkołaczej i ludzkiej. Najbrzydszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałam. I całkiem atrakcyjna młoda kobieta. Ten brzydki mężczyzna dowodził.

- Powiedziała pani: przynajmniej czworo. Co to znaczy? Czy był tam ktoś jeszcze?

- Ktoś jeszcze mógł się kryć w powozie kobiety. Dwa razy wydawało mi się, że widzę tam jakiś ruch, ale kazali mi zostać na wozie. Nie byłam dość blisko, żeby się upewnić.

- Aha. - Znalazłem sobie kawałek dobrze oświetlonego miejsca i podsunąłem tam krzesło. - A teraz wszystko od początku o tej nocy. Każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Zaczęła opowiadać. Wkrótce usłyszałem dokładnie to, czego się spodziewałem, czyli historię nieznacznie tylko odbiegającą od opowieści Skredliego.

Poświęciłem jej oboje uszu i jedno oko, bo drugim przeglądałem listy. Wybrałem kilka i przejrzałem jeszcze raz. I jeszcze raz. Aż wreszcie stwierdziłem, że zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć, pomimo że nie jestem ekspertem w dziedzinie fałszerstw.

Willa Dount dotarła tymczasem do przejazdu po mostku nad Cedrowym Potokiem. Nie sądziłem, że później mogłoby się jeszcze zdarzyć coś ciekawego.

- To mi wystarczy.

Zatrzymała się w martwym punkcie. Głos, jakim opowiadała, również określiłbym jako martwy. Przez tak długi okres żyła w straszliwym napięciu, że teraz wszystko już się w niej wypaliło.

- Cała organizacja przekazania okupu była równie dziwaczna jak rusałka wysoka na pięć metrów. Żadnej wymiany na miejscu... choć muszę przyznać, że w momencie dotarcia na miejsce niewiele pani mogła zrobić. A w każdym razie na pewno nie uciec. Jednak zostawili panią przy życiu, pomimo że widziała pani ich twarze i wiedzieli, dla kogo pani pracuje. Wiedzieli też, że w kilka godzin potem zostanie popełnione morderstwo.

- Tego nie umiem wyjaśnić, panie Garrett. Właściwie, kiedy stwierdziłam, że Karla tam nie ma, spodziewałam się już tylko śmierci.

A może zabezpieczyłaś się w jakiś sposób? Na przykład, nie płacąc całego okupu i, być może, odmawiając wyrównania rachunku do momentu, aż oboje z Karlem będziecie bezpieczni. Cos się tam stało albo nie byłoby cię tutaj.

Tak pomyślałem, ale nie powiedziałem na ten temat ani słowa.

- Czy słyszała pani jakieś nazwiska? Czy przyjrzała się pani któremuś z nich?

- Nazwisk - nie. Księżyc świecił, więc rozpoznałabym kobietę i tego szpetnego mężczyznę, chociaż starali się stać w tyle. Doskonale widzę w nocy. Może nawet nie zdawali sobie sprawy, jak wyraźnie ich widziałam.

- Może. W tej chwili to i tak nie ma znaczenia. Oprócz kobiety wszyscy nie żyją.

Tylko uniosła na mnie wzrok. Tej kobiety nie zniszczy się nawet młotem parowym.

Wiedziałem już wszystko, co chciałem wiedzieć w obecności Strażniczki. Właśnie zastanawiałem się, jak zawiesić przesłuchanie, kiedy zjawiała się Amber.

Raver Styx nie udawała i nie usprawiedliwiała się. Po prostu wstała i wyszła.

Amber szepnęła:

- Nie znalazłam nic w jej pokoju. Nie prowadziła dziennika ani...

- Nie musisz szeptać mi poza plecami, droga Amber. Powiedz wprost.

Skinąłem głową.

- Rachunki nie wydają się problematyczne. Srebro było sprzedawane od siedmiu do dziesięciu procent poniżej ceny rynkowej, ale podejrzewam, że był to jedyny rozsądny wybór w takiej sytuacji. W każdym razie ceny srebra spadły od tego czasu o tyle, że obecnie kupujący dużo na tym stracili.

To była moja Amber - na bieżąco z rynkiem metali szlachetnych pomimo wszelkich okoliczności.

- Kto kupował? Podała mi listę.

Ciekawe. Pierwsze nazwisko, Lyman Gameleon, opiewa na sto dwadzieścia tysięcy po najniższej cenie. Ciekawe. Gameleon jest jednym z naszej trójcy głównych podejrzanych.

Nawet to nie było w stanie poruszyć Willą Dount.

-To była sytuacja wyższej konieczności - stwierdziła jedynie. - Musiałam udać się tam, gdzie uzyskam najwięcej złota z przeprowadzonych transakcji. Sama Strażniczka sprawdzała te rachunki i nie wyraziła dezaprobaty.

Nagły pomysł. Inspiracja? Być może.

- Amber, czy pamiętasz czas i daty transakcji? Nie zanotowała.

- Nie. Czy mam je przynieść?

- To nie będzie konieczne - wtrąciła Willa Dount. - Pamiętam - wyrzuciła z siebie

każdą transakcję po kolei, jakby je czytała z rejestru.

Rozkład transakcji w czasie był taki, że one same mogły się stać przyczyną łańcucha komplikacji. A przynajmniej stanowić źródło komplikacji wtórnych, równie paskudnych.

- Czy Gameleon wiedział, po co jest to złoto?

- Lord Gameleon, panie Garrett - zganiała mnie Domina.

- Słuchaj, dla mojej przyjemności możecie go nawet nazywać Pinky Porker. Chcę usłyszeć odpowiedź na pytanie.

- Tak. Musiałam mu powiedzieć przed zawarciem transakcji. Ku mojej wielkiej satysfakcji, właśnie ustanowiłem powiązanie pomiędzy Gameleonem a Donni Pell.

- Czy to było rozsądne?

- Patrząc z obecnego punktu widzenia - nie. Ale wtedy Lord Gameleon był naszą ostatnią deską ratunku.

- Nie powiedziałbym tego. Ale nie kłóćmy się o szczegóły. Tyle na dziś.

- Na dziś?

- Jutro będę pani znowu potrzebował. Wcześniej rano. Zrobimy wizję lokalną.

Wstała, obdarowując mnie zadumany spojrzeniem. Co ja znowu kombinuję?

- Proszę znaleźć baroneta i przysłać go tutaj.

Zanim drzwi otwarły się ponownie, byłem już zniecierpliwiony i wściekły. Otwarcie rzeczonych drzwi zresztą wcale nie poprawiło mi humoru.

Do pokoju weszły bowiem Strażniczka i Willa Dount. Raver Styx wyglądała jak jedna z jej własnych burz.

- Czy zechce pan przesłuchać służbę, panie Garrett?

- A gdzie jest pani mąż?

- Nie wątpię, że odpowiedź na to pytanie będzie bardzo interesująca. Wyszedł z domu wkrótce po pańskim przyjsciu. Ostatnio widziano go, jak wchodził do domu Lorda Gameleona, swego przyrodniego brata, który mieszka po drugiej stronie ulicy. Lord Gameleon nie zaprzecza, że tam był, ale twierdzi, że teraz już go nie ma. No więc, co z tą służbą?

Wycisnęła mnie do cna. Miałem dość. Zacząłem pełgać jak wypalona świeca.

- Do diabła z nimi. Rozwiążę tę sprawę bez nich. Wracam do domu przespać się trochę. Spotykamy się u mnie w domu o ósmej. Bądźcie przygotowani na wycieczkę za miasto. Niech już lepiej nikt nie ucieka. Kiedy będzie pani wychodzić z domu, proszę to zrobić tak, żeby wiedziało o tym pół miasta.

- Jak pan sobie życzy, panie Garrett. To wszystko na dzisiaj, Willo.

- Amber, a ty idziesz czy zostajesz? - zapytałem. Wbiła wzrok w ziemię i mruknęła:

- Idę z tobą. Muszę tylko zabrać parę rzeczy.

Zdaje się, że była to odpowiedź najbliższa propozycji ugryzienia się w nos, na jaką mogła się zdobyć wobec matki. Strażniczce przydarzył się poważny wypadek tiku w lewej części twarzy, ale się nie odezwała. Potrafiła zarówno wygrywać bitwy, jak i przegrywać.

Zaraz po powrocie napisałem list do Morleya i posłałem go przez dzieciaka z sąsiedztwa. Następnie zaktualizowałem wiedzę Truposza w interesującej nas dziedzinie, udając przy okazji, że próbuję wydobyć z niego kilka sekretów, ot, po to tylko, żeby się poczuł potrzebny. Dołączyłem do Amber w kuchni, gdzie wspólnie pławiliśmy się w rozkoszach ostatniego dzieła sztuki kulinarnej Deana. A potem udałem się na nocny spoczynek.

Sny, których zwykle nie pamiętam, miałem takie, że tym razem też wolałbym ich nie pamiętać.

Dean ściągnął mnie z betów dość wcześnie, bym spokojnie zdążył się przygotować. Zjedliśmy potężne śniadanie i zapakowali prowiant. Przejrzałem mój arsenał, wybrałem jeszcze parę śmiercionośnych urządzeń odpowiednich dla damy. Uczyłem Amber, jak się nimi posługiwać, dopóki nie pojawiła się kawalkada jej matki.

Strażniczka to troskliwa kobieta. Skądś tam dowiedziała się, że nie posiadam własnego transportu. Przywiozła powóz, wóz i luzaka. Sama zajęła powóz, Willa Dount powoziła wozem. Amber wskoczyła na siedzenie obok niej. Cóż za miła, przyjacielska i w ogóle urocza przejażdżka!

Ostrożnie obszedłem konia z przodu i zajrzałem mu w oczy. Odpowiedział mi tym samym. Nie dostrzegłem zwykłej złośliwości szkapiego pomiotu. Chyba po prostu jeszcze o mnie nie słyszał.

Strażniczka wykazała też nieco rozsądku również w innej sprawie. Spodziewałem, się, że będę musiał mocno nalegać, aby wysłała swoją armię do domu, ale wzięła ze sobą tylko dwóch mężczyzn na powozie. Nie mogłem nawet pisać, że jest ich za wielu.

Podejrzewam, że strażnicy burzy potrzebują obstawy jedynie na pokaz.

- Ty pojedziesz przodem - poleciłem Dominie Dount. Skinęła głową i z twarzą jak stary kamień nagrobny popędziła zaprzęg. Amber, kiedy zobaczyła, że jadę jako tylna straż, także usadowiła się tyłem do kierunku jazdy, choć przez większość czasu i tak rozdzielał nas powóz Strażniczki.

Willa Dount narzuciła ostre tempo, zwalniając od czasu do czasu, aby jej pani mogła dołączyć. Ja jechałem pięćdziesiąt jardów za powozem. W mieście przyglądałem się, jak

ludzie gapią się na nas. Na wsi obserwowałem farmerów. W miarę, jak oddalaliśmy się od miasta, powtarzałem sobie mapy w pamięci.

Nie zobaczyłem ani jednego miejsca, które mogłoby być odpowiednie do przeprowadzenia tego, co podejrzewałem.

Rozważałem możliwość zmiany miejsca. Gdybym usiadł koło Willi Dount, może popuściłaby farbę.

Aha. A kamienie zatańczą sambę.

Miałem zresztą swoje powody, żeby wlec się z tyłu.

LII

Morley dogonił mnie w dwóch trzecich drogi do śmiertelnoścnośnego skrzyżowania. W tym punkcie droga wiodła między drzewami i podróżni nie mogli być obserwowani z daleka. Odważył się zatrzymać i porozmawiać.

- Są tam - rzekł. - Gameleon i sześciu ludzi. To nie będzie łatwe.

- Próbują nas dogonić? - Nie.

- Dobrze. Wszystkich złowimy w jedną sieć.

- Oszalałeś, Garrett. Jest ich siedmiu i nie wiadomo co przed nami, a ty mówisz o nich tak, jakbyś już ich miał pod nogą!

- Oni mają tylko przewagę liczebną. Ja mam strażniczkę burz. Ruszaj w przód i powiedz Saucerheadowi.

Morley pospiesznie powrócił do roli samotnego jeźdźca. Wszystko się przepięknie układało, ale wolałbym nie być w środku, kiedy się zawali.

Kiedy dojeżdżaliśmy do skrzyżowania, nie byłem najszcześliwszym z ludzi. Nie znalazłem ani jednego miejsca, które spełniałoby kryteria dla mojej koncepcji losu, jaki spotkał większą część forsy z okupu. Zauważyłem wprawdzie kilka bocznych drózek i tym podobnych miejsc, które zasługiwały na późniejsze bliższe zbadanie. Jeśli w ogóle będzie jakieś później. Jeśli Amber nie okaże się większą defetystką ode mnie.

Przez krótką chwilę popełniłem tę omyłkę, że zamarzył mi się wielki skok. Lepiej nie wpadać w tę pułapkę. Można się zniszczyć. Myślenie o wielkim skoku niszczy perspektywę i zawęża horyzont, aż wreszcie świat zaczyna uciekać na boki.

- Stać! - ryknąłem do Willi Dount. Skręciła na zachód bez zatrzymywania się. Moja wina. Nie powiedziałem jej, że będzie postój.

Zjechaliśmy z drogi. Zsiadłem z konia. Gdzież ten Saucerhead? Miał tu na nas czekać.

Wyszedł z lasu po południowej stronie drogi. Kątem oka odnotowałem zdumienie Willi Dount. Podszedłem do niego.

- I co się dzieje?

- Miałeś rację. Ona tam jest. - Sama?

- Gdzie tam. Pełno luda. Wczoraj, około północy, pojawił się jeden facet, całkiem sam. Potem, tuż przed moim wyjściem, pojawił się cały tłum wilkołaków.

- Skredli? Kiwnął głową.

- Ilu?

- Piętnastu.

- Crask i Sadler są grzeczni?

- Nie są durniami, Garrett. Wiedzą, co im wolno, a czego nie.

- Mam nadzieję. Powiem teraz Strażniczce. Znalazłeś jakieś odpowiednie przejście?

- Jasne. A co z tymi facetami za tobą?

- Potrafią się sami sobą zająć. - Odczekałem, aż przejedzie kawalkada kozich zaprzęgów, następnie podszedłem do powozu Strażniczki i wprosiłem się do środka.

- Dlaczego stoimy, panie Garrett?

- Nie spodziewałem się, że nasza impreza będzie aż tak liczna. Poza tym wszystko gra.

Ma pani jakieś propozycje?

- Nie. A ten człowiek, który przyjechał w nocy? Czy to mój mąż?

- Prawdopodobnie. Mój przyjaciel nie poznałby go, nawet gdyby go lepiej widział.

- Czy Lord Gameleon wie, dokąd jedziemy?

- Nie mam pojęcia.

- Może trzeba go śledzić?

- Nie jesteśmy w stanie napaść na niego.

- Wiem, panie Garrett.

- Mam paru ludzi do pomocy, ale nie jestem w stanie walczyć w stosunku czterech na jednego.

- Ma pan mnie.

Ciekawe, ile to warte? Nie zapytałem.

- W porządku. Mój przyjaciel i ja podejmiemy ich przez las. Pani niech tylko będzie ostrożna.

- Weźcie ze sobą Amber. I pan też niech będzie ostrożny, panie Garrett. Muszę coś ocalić z tej katastrofy.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłem, wysiadając z powozu. - Amber, jedziesz ze mną.

Strażniczka opuściła powóz z drugiej strony. Powiedziała coś do ludzi na górze. Woźnica skinął głową. Drugi zszedł na dół i oboje ze Strażniczką wsiedli na wóz. Amber dołączyła do mnie i Saucerheada, a wóz odjechał.

- Co robimy? - zapytała.

- Idziemy na spacer do lasu. - Przywiązałem wodze mojego wierzchowca do powozu.

Weszliśmy pomiędzy drzewa.

W samą porę. Lord Gameleon i jego chłopcy przegalopowali obok. Nie byli w

liberiach i starannie udawali, że nie widzą powozu. Kiedy przejechali, Saucerhead zapytał:

- Strażniczka jedzie bezpośrednio na miejsce?
- Chyba tak. Musimy się pośpieszyć. Gdzie Morley? Z Craskiem i Sadlerem?
- Zgadza się. Za mną. Panno daPena?
- Proszę prowadzić, panie Tharpe. Poradzę sobie.

LIII

Mieliśmy doskonały czas.

Znajdowaliśmy się na skraju przecinki, kiedy nagle, znikąd pojawił się Morley.

- Nieźle jak na mieszcucha - pochwaliłem. Crask i Sadler wyskoczyli równie niespodziewanie. Gdybyśmy nie byli po jednej stronie, miałbym poważne kłopoty.

- Dzieje się coś ciekawego?

- Kupa wrzasku.

- Co?

- Zaczęło się, zaledwie tu doszedłem. Ktoś zadaje pytania. Ktoś odpowiada, ale nie tak, jak oni by sobie tego życzyli.

Nie byłem zaskoczony.

- Coś się dzieje - zauważył Crask.

Podszedłem do niego. Z tego miejsca farma była widoczna jak na dłoni. Wypadła z niej banda wilkołaków, które pognały przez zachwaszczone pola w stronę miejsca, gdzie droga wychodziła z lasu.

- Ich wartownicy musieli zauważyć Strażniczkę. Ktoś stęknął.

- Ciekawe, czy patrolowali drogę, czy tylko tak sobie patrzeli? - Tak sobie patrzeli - ponuro stwierdził Sadler. - To tylko wilkołaki.

- Dupki. Strażniczka chyba przeceniła swoje siły. Oni mogą najpierw zabijać, a potem zadawać pytania.

- Teraz są zajęci - wtrącił Saucerhead. - Dobry moment, żeby się ruszyć. Jeśli pójdziemy powolutku wzdłuż tamtego zbocza, będziemy mogli podejść dość blisko. Może nawet do miejsca, gdzie były kiedyś fundamenty stodoły.

Przypomniałem sobie ścieżynkę, która prowadziła pośród wysokiej trawy dokładnie tą trasą. Spojrzałem, ale nie mogłem dostrzec kamieni fundamentów.

- Byłeś tam już?

- Aha. Musiałem zobaczyć i upewnić się.

- W drogę.

Saucerhead poszedł pierwszy, za nim Crask, potem Morley. Nakazałem Amber, żeby się schyliła i poszła jako następna. Ja podążyłem za nią. Sadler osłaniał tyły.

Byliśmy w połowie drogi, kiedy z lasu dobiegł nas okropny harmider. Zatrzymaliśmy się.

- To nie brzmi jak banda wilkołaków, która wpakowała się na zakłęcie-niespodziankę
- mruknałem.

- Chyba nie.

- Idziemy dalej.

Przycupnęliśmy pośród kamieni o trzydzieści jardów od tylnej części domu. Banda Skredliego wyłoniła się właśnie z lasu, prowadząc pięciu czy sześciu więźniów.

- Gameleon - mruknałem. - A co ze Strażniczką?

- Garrett, tam jest dwunastu chłopów - szepnął Morley. - Za chwilę będziemy osłonięci przed ich wzrokiem. Może wykonamy nasz ruch i zaczekamy na nich wewnątrz?

Nie bardzo mi się to podobało. Ale nasze szansę nie rosły, wręcz przeciwnie. Porozumiałem się z pozostałymi. Skinęli głowami.

- Amber, siedź tu. Zawołam, kiedy już będzie bezpiecznie.

Niestety, to był ciężki przypadek nagłej głuchoty. Kiedy ruszyliśmy w stronę tylnego wejścia, poszła za nami. Zakląłem pod nosem, ale mogłem najwyżej skoczyć jej na plecy i ogłuszyć.

Dotarliśmy niezauważeni do samego domu. Morley poszedł pierwszy, na ochotnika. Nikt się nie sprzeciwiał - w końcu on jest najlepszy.

Ruszyliśmy.

W środku były trzy wilkołaki, jedna kobieta i Karl daPena, senior. Morley zmiksował dwa wilkołaki jeszcze zanim się zorientowały, że mają kłopoty. Trzeci próbował krzyczeć, ale tylko zawarczał, gdy Crask wsadził mu nóż w krtań.

Sadler wykończył pozostałą dwójkę.

Amber zwymiotowała śniadanie.

- Mówiłem, żebyś siedziała na tyłku. - Zgrzytnąłem zębami i przyjrzałem się naszym ofiarom. Żadne nie wydawało się szczególnie uradowane naszym widokiem.

- Z deszczu pod rynnę, co, baronecie?

Oboje przywiązano do krzeseł. DaPena został zakneblowany. Kobieta nie, ale ona już swoje wyrzeszczała. Oboje byli torturowani, i to w dość prymitywny sposób.

- Ty chyba jesteś ta wspaniała Donni Pell. Bardzo chciałem cię poznać, ale teraz nie wyglądasz na osobę, dla której ktoś mógłby popełnić morderstwo.

- Garrett, przestań świergolić - burknął Morley. - Już idą. Wyjrzałem na zewnątrz.

- Ten błazen Skredli musiał tu ściągnąć całą armię.

- Damy sobie radę. Muszą w końcu pilnować swoich więźniów.

- Lubię pozytywne nastawienie do życia, chłopcze. A może wyjdę sobie tylnymi

drzwiami i zaczekam? Jak skończycie, to mnie zawołacie.

- Czy zamierzasz kłapać paszczą, czy wymyślisz, co dalej robić?

- Crask, Sadler, schowajcie się w tamtym korytarzu. Saucerhead, czekaj przy drzwiach. Wpuść czterech czy pięciu i zamknij na zasuwę. Morley i ja skoczmy na nich z kuchni. Będziemy musieli ich załatwić, zanim reszcie uda się wejść do środka. Amber, ty się schowaj.

Tym razem usłuchała. Nie ma to jak dobrze kogoś postraszyć.

- I ty nazywasz mnie geniuszem taktyki - burknął Morley, ale zniknął w kuchni, nie proponując żadnego własnego rozwiązania

Nawet geniusz taktyki ma swoje złe dni. Kiedy Saucerhead podbiegł, żeby zatrzasnąć drzwi, Skredli i dwóch innych byli już w progu. Miał dość siły, żeby dwóch wypchnąć z powrotem na podwórze, ale trzeci uwiązał pomiędzy framugą a skrzydłem drzwi. Darł się i miotał, a Saucerhead stękał i kłął, próbując zamknąć na nim drzwi. Udało mu się wytrzymać tak długo, że my w tym czasie zdążyliśmy rozwalić pozostałych pięciu.

- Siedmiu z głowy - zachichotał Morley. - Saucerhead, następni proszę.

Tharpe odskoczył. Skredli i jego chłopcy wparowali do środka.

Spodziewaliśmy się, że już wyciągnęli sztuce i są gotowi do krajania, ale nie myśleliśmy, że grupka brunów od Gameleona im pomoże. A jednak.

- Garrett, zrobili nas! - krzyknął Saucerhead, kiedy przetaczał się obok mnie.

Długi nóż w jednej ręce, łamięłówa w drugiej - tak utrzymywałem w ryzach dwóch wilkołaków i jednego człowieka. Wymanewrowałem się w pobliże okna i rzuciłem okiem, czy nie nadchodzi pomoc.

Strażniczki nie było.

Czyżby gang już sobie z nią poradził? Może złapali ją we wnyki w lesie?

Kopnąłem jednego z chłopców w krocze, ale nie dość mocno, żeby go spowolnić. Cała trójka moich przeciwników przepychała mnie w stronę kuchni. Byłem zbyt zajęty utrzymaniem się przy życiu, aby zwracać uwagę na to, co robią inni. Wygrana czy przegrana, ale Skredli i jego banda popamiętają nas. Zadarli z wszystkim, co TunFaire ma najlepszego. Słaba pociecha.

Zdeponowałem na jakimś wilkołaczym łbie solidny cios i cofnąłem się do kuchni. Zachwiał się, hamując rozpęd swoich kompanów. Okręciłem się na pięcie i dałem dyla przez okno kuchenne. Nie wylądowałem dobrze. Powietrze z sykiem wyleciało mi z płuc i za nic nie chciało wrócić. Na szczęście spadłem na nogi, dzięki czemu byłem w stanie uraczyć pałką w czołkę faceta, który wpadł na pomysł, żeby wyskoczyć za mną. Nie było to miażdżące

uderzenie, ale trochę go zniechęciło.

Pokuśtykałem do drzwi frontowych, zebrałem siły i rzuciłem jeden z kryształów wiedzy. A potem oparłem się o ścianę i czekałem, aż oddech mi wróci, a kryształ odwali swoją robotę.

Hałas wewnątrz ucichł nagle.

Kiedy wszedłem, wszyscy byli poskładani w pół i rzygali z całego serca. Pokręciłem się wokoło, waląc po łbach. Potem, kiedy już poubijałem wszystkich brzydkich chłopców, zmiotłem ich na kupę i powiązałem. Zdażyłem akurat przed zakończeniem działania zaklęcia.

Morley, skulony i oparty o ścianę, łypnął na mnie okiem i zakwilił:

- Cholerne, gigantyczne dzięki, Garrett. Jestem wykończony.

- Niewdzięcznik. Przecież żyjesz.

Nie odważę się opisać spojrzeń, jakimi obdarzyli mnie ci niewdzięcznicy, Sadler i Crask. Mieli w końcu szczęście, że uszli z tego tylko z kilku ranami i obolałymi żołądkami do polatania.

Usłyszałem, że na zewnątrz coś się dzieje. Wyjrzałem.

Nadjeżdżała Strażniczka. Wreszcie.

Wysiadła z powozu i ruszyła w moją stronę. Ustąpiłem jej z drogi. Weszła, rozejrzała się po polu bitwy, pociągnęła nosem, spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Jesteśmy już wszyscy - wyjaśniłem. - Zaraz poustałam pewne sprawy i możemy zaczynać.

- W porządku. - Podeszła do baroneta. Jego krzesło przewróciło się w trakcie walki. Przez chwilę przyglądała mu się, po czym przeszła do Donni Pell.

- Czy to ta słynna dziwka, Garrett?

- Jeszcze nie pytałem, ale chyba tak.

- Niespecjalnie wygląda.

- Z babami nigdy nic nie wiadomo. Kiedy się ją umyje i umieści tak, żeby mogła poczarować tym i owym, może wyglądać zupełnie inaczej.

Tymi słowami zarobiłem sobie najczarniejsze z możliwych spojrzeń.

Tymczasem w drzwiach stanęła Domina Dount, po raz pierwszy odkąd ją znam całkowicie ogłupiała.

- Saucerhead, czy mógłbyś przyprowadzić Amber?

Obdarzył mnie spojrzeniem równie pełnym miłości jak spojrzenie Strażniczki, skinął głową i wyszedł na zewnątrz. Ja tymczasem zagadnąłem Strażniczkę:

- Pani wybaczy, nie wiem, czy leży to w pani magicznych możliwościach, ale

przydałoby nam się tutaj co nieco uzdrawiających czarów.

- Wszyscy, którzy stykają się z wojennymi lordami i Venageti muszą posiadać podstawowe zasady magicznej pierwszej pomocy medycznej, panie Garrett.

- Ma pani zapewne na myśli “wszystkich” określonej klasy, madam - w tym momencie weszła Amber i natychmiast poszarzała na twarzy. Już myślałem, że znowu puści pawia.

- Cóż, Amber, nieraz tak się zdarza. Rzygaj, ile dusza zapragnie. Jak się czujesz, Saucerhead?

- Przeżyję. Garrett, do cholery, dlaczego nigdy nie uprzedzisz, kiedy wyciągasz z rękawa któryś ze swoich cholernych trików? - Skrzywił się i rozmasował obolały żołądek.

Nie chciało mi się wyjaśniać mu, że gdybym ich uprzedził, uprzedziłbym także naszych przeciwników.

Wrzuciliśmy wilkołaki i Brunów w zarośla bez względu na to, czy byli żywi, czy martwi. Farma wciąż była zatłoczona jak królicza nora. Znaleźliśmy dla wszystkich miejsce do siedzenia. Tylko Amber i ja pozostaliśmy w pozycji stojącej. Ona oparła się o framugę drzwi - była zbyt nerwowa, żeby usiąść. Siedzisko Strażniczki nie było lepsze od innych, ale jej obejście zmieniło je w tron.

- Proszę zaczynać, panie Garrett - rzekła.

- Zaczniemy od mojego przyjaciela Skredliego. Skredli, opowiedz tym miłym państwu historyjkę, którą mnie uraczyłeś u Choda. I pamiętaj, proszę, że ta pani może ci zrobić większą krzywdę niż Chodo.

Skredli jeszcze raz przeżył atak fatalizmu. Opowiedział. Dokładnie to samo co mnie.

W jego opowieści czarnym charakterem była Donni Pell. Cudownie było patrzeć, jak związana kusicielka stara się na bieżąco skłonić go do zmiany opinii na temat jej osoby.

Na Gameleona i daPenę też warto było popatrzeć. I na Dominę Dount, jeśli już o tym mowa, bo właśnie dowiedziała się o paru sprawach, o których słyszała, ale którym w głębi ducha nie dawała wiary.

Kiedy Skredli skończył, spojrzałem na Gameleona.

- Myślisz, że uda ci się z tego wykręcić?

- Obedrę cię ze skóry.

- Może go trochę poobijać, żeby był miłszy? - zaproponował Morley. - Zawsze chciałem się dowiedzieć, czy szlachetne gnaty łamią się z takim samym trzaskiem, jak pospolite.

- To chyba nie będzie potrzebne.

- Pozwól mi chociaż troszkę wykręcić mu ramię. A co ty na to, Saucerhead? Moglibyśmy powiesić go za kostki i rozszcześcić jak drewno.

- Spokój tam! - krzyknąłem.

Raver Styx uniosła lewą rękę i wyciągnęła ją w stronę Gameleona. dłońią i rozpostartymi palcami w jego stronę. Jej twarz nie zmieniła obojętnego wyrazu, ale lawendowe iskry zatańczyły między nimi.

- Nie! - wrzasnął Gameleon i wydał z siebie długi, mrozący krew w żyłach ryk. Nigdy bym nie uwierzył, że ktoś może mieć w płucach tyle powietrza. Potem oklapł.

- To tyle, jeśli chodzi o niego. A teraz pan, baroncie? Zaśpiewa nam pan swoją arie?

Cholera, nie miał na to ochoty. Jego stara siedziała tuż obok. Usmaży mu jaja na patelni bez masła.

- Karl - przemówiła Strażniczka. - O czymkolwiek teraz myślisz, alternatywa jest znacznie gorsza.

Znowu uniosła lewą dłoń. Zabłysło kilka iskier. Baronet skrzywił się, zaskomlał. Opuściła dłoń na kolana i uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

- To też zrobię, wiesz o tym. Byłem przekonany, że nie buja.

W pomieszczeniu było jednak kilka obojętnych twarzy. Powiodłem wzrokiem od Gameleona, poprzez daPenę, po Amber, która zdaje się szczerze żałowała, że przyszła. Biedny Skredli pluł sobie w brodę, że nie uciekł, zamiast próbować ostatniej szansy.

Donni Pell... Po raz pierwszy skoncentrowałem uwagę na pajęczycy, autorce sieci. Do tej pory starałem się unikać bliższego z nią kontaktu, gdyż nawet ja jestem troszkę wrażliwy na to, co było jej najniebezpieczniejszą bronią.

Nie wyglądała groźnie. Była niewysoka, jasnowłosa, dobrze po dwudziestce, ale miała tę cudowną twarz i cerę, która sprawia, że niektóre kobiety wyglądają jak nastolatki przez dziesiątki lat. Była ładna, ale nie piękna. Nawet w łachmanach, brudna i wytarmoszona miała w sobie coś, co poruszało w mężczyźnie i ojcowską, i samczą strunę. Coś, co sprawiało, że chciałoby się i chronić, i posiadać zarazem.

Nie bawię się z małymi dziewczynkami, ale znam to uczucie, kiedy człowiek patrzy na dojrzewającą piętnastolatkę.

Swojego czasu spotkałem kilka takich Donni Pell. Wiedzą doskonale, jakie wrażenie wywierają na mężczyznach - potrafią nimi manipulować. Równoważą szaleństwo zmysłów, grając na ojcowskiej nucie. Z reguły pomiędzy uszami mają tylko wielką pustkę i rzeczywiście potrzebują obrony.

Podejrzewam, że Donni Pell to artystka, która przekształciła cokolwiek patriarchalny

stereotyp roli kobiety w zakłęcie, którym podporządkowywała sobie mężczyzn. Nawet teraz, spętana i zakneblowana, wciąż usiłowała to zrobić.

A pod tą całą warstwą była po prostu twardzielem. Równie napalonym i pozbawionym serca jak Morley Dotes, którego można by zakwalifikować jako męski odpowiednik Donni Pell. Skredli i jego chłopcy nie byli aż tak dobrzy.

- Czy pan kontynuuje, Garrett? - odezwała się Strażniczka.

- Zastanawiam się, z której strony wsadzić kij w mrowisko. W danej chwili ci ludzie nie mają bodźca.

- A perspektywa ujścia z życiem? - Wstała i podeszła bliżej. - Ktoś z tych ludzi zabił Amirandę. Ktoś z nich zabił mojego syna. I ktoś za to zapłaci. Może wielu ktosiów, jeśli niewinni nie przekonają mnie o swojej niewinności. Czy to wystarczy jako motywacja, panie Garrett?

- W zupełności. O ile zdoła pani przekonać paru ludzi, którzy uważają, że miejsce, jakie zajmują w hierarchii społecznej, stawia ich poza prawem.

- Prawo nie ma tu nic do rzeczy. Ja mówię o zupełnie normalnej, krwawej, wrzeszczącej i miażdżącej zemście. Nie liczę się z reperkusjami politycznymi. Nic mnie nie obchodzi, że mogą mnie zdegradować.

Jej siła woli nieco mnie przekonała. Spojrzałem na daPenę i Gameleona. Baronet też był już przekonany. Tylko Gameleon wiedział swoje.

- Courter Slauce - odpowiedziałem cichutko.

- Nie zapomniałam o nim - równie cicho odparła Strażniczka. - Proszę dalej.

Spojrzałem na nich jeszcze raz, po czym zwróciłem się do Dominy Dount.

- Czy może chciałaby pani coś zmienić w swoich zeznaniach? Spojrzała na mnie tępo.

- Nie sądzę, aby była pani bezpośrednio odpowiedzialna za któreś z tych morderstw, Domino. Ale pomogła pani zmienić zabawę w coś śmiercionośnego.

Zadrzała. Willa Dount zadrzała! Była bliska załamania. Przelana krew dotarłaby do niej wcześniej, gdyby ją zobaczyła. Amber poczuła to także. Pomimo rozpaczliwego stanu swoich nerwów spojrzała na mnie.

Mrugnąłem do niej.

- Nikt nie chce nic dodać?

Nikt nie chciał uratować własnej skóry na ochotnika.

- Doskonale. Zaczynam rekonstrukcję. Jeśli się pomyłę, proszę mnie poprawić. Podobnie wówczas, jeśli kto inny będzie chciał przejąć pałeczkę.

- Panie Garrett...

- Oczywiście, Strażniczko. No więc tak: Wszystko zaczęło się bardzo dawno temu, w pewnym domu na Górze, kiedy pewna kobieta, która nigdy nie powinna mieć dzieci, urodziła je.

- Panie Garrett!

- Umowa jest taka, że robię to, co do mnie należy i nikt mi się nie wtrąca. Strażniczko. Chciałem zrobić to delikatniej, ale skoro zależy pani na czasie, powiem po prostu: zrobiła pani z ich życia takie piekło, że cała rodzina była gotowa na wszystko, byle się z niego wyrwać. Nikt jednak nie miał w sobie dość odwagi, żeby spróbować, dopóki nie wyjechała pani do Kantardu. I pewnie dalej nikt by się nie odważył, gdyby nie pani mąż, który w wyniku długoletnich i niemile widzianych zalotów sprawił, że Amiranda zaszła w ciążę.

Amber spojrzała na mnie tak, że mogłaby zabijać wzrokiem. Domina zakwiliła tylko. Strażniczka też zgromiła mnie spojrzeniem, ale tylko dlatego, że wyciągnąłem na światło dzienne sprawy, których istnienie już od dawna podejrzewała. Baronet zemdłał.

- Amiranda, kiedy tylko się zorientowała, zwróciła się do swego jedyne przyjaciela, pani syna. Wymyślili plan, żeby uchronić ją od wstydu, a obojgu umożliwić ucieczkę ze znieawidzonego domu. Junior zostanie porwany, a za okup rozpoczną nowe życie. Ale sami nie byli w stanie tego zaaranżować. Chcieli stworzyć mistyfikację tak realną, aby sama Strażniczka Raver Styx uwierzyła, że jej syn został zamordowany przez łajdaków bez honoru. Dlaczego? Dlatego, że pomijając wszelkie inne uczucia, bachory daPena kochały swego ojca i nie chciały, by został ukrzyżowany. Chcieli go ratować.

- Panie Garrett...

- Zrobię to po mojemu, Strażniczko. - Stałem twarzą do Donni Pell. - Nie mogli zaaranżować tego bez pomocy. Dlatego Junior zwrócił się do swojej przyjaciółki. Obiecała, że wszystko załatwi. I natychmiast wszystko zaczęło się gmatwać, bo Donni Pell nie potrafi niczego porządnie załatwić. Powiedziała wynajętym chłopcom, o co chodzi, z myślą o zysku. Powiedziała Baronetowi, uważając, że coś z niego wyciągnie. Może powiedziała też lordowi Gameleonowi. A może dowiedział się o tym skądinąd. Miał wiele możliwości, żeby uzyskać tę informację, Donni zaplanowała ten skok za pomocą wilkołaków, które okradały magazyn daPenów i sprzedawali towar Gameleonowi. I to był ten fałszywy krok. Domina Dount właśnie poleciła Juniorowi zająć się sprawą znikającego towaru. - Zwróciłem się bezpośrednio do Donni: - A ty o tym wiedziałaś. W międzyczasie Karl Senior przekazał Dominie Dount nowinę.

Willi Dount wydała z siebie nieartykułowany protest.

- Karl został zgodnie z planem porwany i przywieziony tutaj, gdzie Donni się

wychowała. Wtedy Domina, aby z jej strony także wyglądało to właściwie, poprosiła mnie o konsultację, czy wszystko robi tak jak należy. Porywacze sądzili, że zostałem wynajęty, aby wsadzać nos w interes z magazynem. Próbowali mnie przekonać, żebym trzymał się z daleka. Od tej chwili nie jest całkiem jasne, co, kto, komu i kiedy zrobił i dlaczego. Żadna z głównych postaci nie rozumiała, co robi, ponieważ każdą z nich ciągnięto w różne strony jednocześnie. Wszyscy w domu Strażniczki uważali, że robią wielki skok, po którym uda im się zerwać z Raver Styx. Ci z zewnątrz widzieli wyłącznie wielki skok. Jednakże przy okazji śledztwa w sprawie porwania, na jaw mogły wyjść cięża i magazyny. Trzeba było Juniora posłać do domu, aby ślady zdążyły wystygnąć, zanim wróci Strażniczka. I nagle pośrodku tego wszystkiego zjawiam się ja. Nikt nie wie, co robię, a do tego nie chcę odejść. W porządku. Żądanie okupu zostało wysłane. Ustalono sposób dostarczenia złota. Domina znalazła pieniądze, zaś Amiranda, która czuła, że coś nie idzie zgodnie z planem, wyruszyła na spotkanie z Juniorem. Donni jednak zaangażowała jeszcze inne osoby. A im zamarzył się cały okup. Do diabła z bachorem. Cóż on może? Wyląkać się w spódnice mamusi? Ale Karl Senior, który wierzył, że dostanie pół działki Donni z okupu, ostrzegł ją, że Ami jest na tyle odważna, że może zepsuć wszystko. - Spojrzałem na baroneta. Już się ocknął i był blady jak trup. - Donni zatem zaaranżowała dla Ami to, o czym dziewczyna i tak marzyła, to znaczy zniknięcie na zawsze. Podejrzewam, że Junior miał pomyśleć, że to Ami pozostawiła go bez jego działki.

Donni Pell wydała z siebie jakiś dźwięk i potrząsnęła głową. Strażniczka spojrzała na nią jak wąż na przyszłą kolację.

Nie wiem, czy dobrze rozszyfrowałem tę część. Jeśli nie, to śmierć Amirandy była na rękę jedynie baronetowi, ale jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że wyda taki rozkaz. Nie zrobiliby tego nawet za cenę swojej marnej działki w okupie. A może jej nigdy nie dostał, bo nie zostawił śladów, które wskazywałyby, że kiedykolwiek miał wolną gotówkę.

Zezem spojrzałem w oczy Donni.

- Powiesz mi, kto chciał zabić dziewczynę? A może powiesz mi tylko, że to nie ty?

Miała całkiem wyschnięte gardło. Chyba nie usłyszał jej nikt oprócz mnie.

- To ten młodzik. Powiedział...

Nieczęsto biję kobiety. Kiedy walnąłem ją z bekhendu, powiedziałem sobie, że ona nie jest kobietą. A przynajmniej nie jest damą.

Z jej talentem mogła ten pomysł sprzedać komukolwiek. Ale ja za długo w tym siedziałem, i to od samego początku, żeby nie zorientować się - a była to może jedyna rzecz, której się naprawdę dowiedziałem - że syn nie jest temu winien. Jego największą zbrodnią

była głupota połączona z niezgulstwem.

- Wymyśl lepiej jakąś bardziej prawdopodobną ofiarę, maleńka. Albo ty nią zostaniesz.

Donni Pell stanowiła pewien problem: nie dawała punktu zaczepienia. Wiedziała doskonale, na czym stoi i jakie ma szansę. Była jedyną żyjącą osobą, która wiedziała, co się naprawdę zdarzyło. Mogłem zgadywać, domyślać się, nawet trafić od czasu do czasu, ale nigdy nie wyjdę poza siedemdziesiąt pięć procent prawdy.

- Panie Garrett - odezwała się Strażniczka. - Chciałabym zachować maksymalną cierpliwość, ale to podejście nikogo nie zdemaskuje. Z tego, co pan do tej pory powiedział, wyciągnęłam następujące wnioski: pierwszy, to że mój szwagier, Lord Gameleon, z powodów, które uważał za wystarczające, polecił zabić mojego syna. W tym przypadku mam tylko jedno do ustalenia: w jakim stopniu mój mąż był w to zamieszany i co wiedział o tej próbie drenażu moich źródeł dochodu?

Nie jest głupia. A jeśli nawet nie siedzi w interesie, to nie znaczy, że jest ślepa.

- W porządku. I tak doszlibyśmy do tego prędzej czy później. Miałem nadzieję, że nasza droga Donni potwierdzi wszystko potokiem łez.

- Ona nie uroni nawet jednej łzy, Garrett. Wie pan o tym. Ona ma duszę...

Brak słów? Podsunąłbym "Strażniczki", aby uzupełnić metaforę, ale Raver Styx już i tak była ze mnie niezbyt zadowolona. To nie czas na testowanie szczęśliwej gwiazdy.

- Jestem także pewna, że to mój mąż zabił Courtera Slauce'a - ciągnęła. - Tyle dedukcji mogę przeprowadzić sama. Był poza domem, kiedy to się stało. Wyszedł zaraz za Slauce'em, w panice, jak stwierdzili wartownicy w bramie.

Baronet próbował protestować, ale nikt go nie słuchał.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Slauce coś wiedział. Karl był tak przerażony, że gotów był popełnić morderstwo, byle pan się o tym nie dowiedział. Courter nigdy nie był dla niego miły. Można powiedzieć, że Karl go nienawidził, a Slauce nie sądził, że ze strony takiego tchórza może mu zagrazać jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pozostaje Amiranda.

LIV

Kto zabił Amirandę Crest?

To było główne pytanie całej sprawy. Zacząłem już podejrzewać, że nigdy nie uzyskamy na nie odpowiedzi. Wiedziała o tym tylko jedna osoba - on lub ona - która nie miała zamiaru przemówić.

- Mam propozycję, panie Garrett - powiedziała Strażniczka takim tonem, że zabrzmiało to jak rozkaz. - Proszę zabrać przyjaciół i wilkołaka, oraz Amber i wracać do TunFaire. Ja skończę tutaj. Kiedy pan załatwi swoje porachunki, proszę dostarczyć wilkołaka do mojego domu.

Kątem oka zauważyłem, że Morley dyskretnie wykonuje kciukiem taki ruch, jakby chciał kogoś dziabnąć. Widocznie uznał, że czas się zwijać i chyba miał rację.

- Miała pani pomóc naszym rannym - przypomniałem.

Była gotowa, zaledwie skończyłem mówić. Crask i Sadler byli zszokowani. Za pomocą Saucerheada wzięli Skredliego za kołnierz i wywlekli za drzwi. Wył i miotał się, jakby wierzył, że Strażniczka go wybawi.

- Do powozu - poleciłem.

Morley uniósł brew i skinął głową w stronę domu.

- Jej sprawa. Ty złaż - poleciłem człowiekowi, który przywiózł tu Strażniczkę i Willę Dount. - Amber, wsiadaj. Nie, nie kłóć się. Po prostu wsiądź. Saucerhead, zatkać mu gębę. - Człowiek Strażniczki cofał się przed nami, patrząc na mnie tak, jakbym miał w oczach samobójczą radochę. Zamiast wejść do domu, uciekł za róg.

- Sadler, ty powozisz. Crask, miej oko na wilkołaczka. Obrzucili mnie smętnym wzrokiem. Co mi tam. Po drodze na pagórek chciałem pogadać z Morleyem i Saucerheadem.

- Naprzód.

Ruszyli. My poczłapaliśmy za nimi. Obejrzałem się tylko raz. Człowiek Strażniczki pędził w stronę polanki. Prawdopodobnie przewąchał, co się dzieje, i chciał być od tego jak najdalej.

Morley odezwał się pierwszy.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki nagle przejęła kontrolę.

- Chyba już nigdy nie zechcesz złożyć jej wizyty - dodał Saucerhead.

- Wiem. Podałaby mi moją własną głowę na tacy. - Doszliśmy do skraju lasu.

Kazałem Sadlerowi przystanąć. - Chłopaki, wiecie, co się tam dzieje? O czym myśli ta stara

suka?

Crask wiedział:

- Najpierw rozsmaruje ich po ścianach. A potem wymyśli coś dla nas, ponieważ nie chce, żeby ktokolwiek dowiedział się od nas, co zrobiła swojemu staremu i Gameleonowi.

Obejrzałem się na Amber. Chciała zaprzeczyć, ale tylko zadrżała. Po chwili szepnęła:

- Zdaje się, że zobaczyłam tę zmianę jeszcze wcześniej niż ty, Garrett. Co teraz zrobisz?

- Gdybyśmy zagłosowali, żaden z nas nie pozwoliłby jej zrobić tego, na co ma ochotę.

- Zabić wszystkich i niech bogowie rozsądzą - podsunął Morley.

- Oni i tak nie są niewinni - dodał Saucerhead. - Może z wyjątkiem Willi Dount.

- Amber, co z Willą Dount?

- Nie wiem. Już wcześniej załatwiała dla matki takie rzeczy. Matka będzie pewna jej milczenia, ale teraz wydawała mi się trochę zbyt wściekła. Może nie zrobić wyjątku dla Willi. I tak na pewno jest czegoś winna, nawet jeśli nikogo nie zabiła.

- O, tak. Jest winna, i to bardzo. Ale nie morderstwa. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Przyjaciel Skredli zaczął się miotać po powozie. Od strony farmy dobiegł wrzask.

- Gameleon - mruknął Morley. - Tak właśnie myślałem, że zacznie od niego.

- Będzie nim zajęta jeszcze przez jakiś czas. Rozumiesz, w jakiej jesteśmy sytuacji?

Nie chciała zrozumieć.

- Twoja matka zamierza ich zabić, a potem nas, żebyśmy nie mogli jej oskarżyć.

Zgadza się? - przycisnąłem ją do muru.

- Taak... chyba masz rację - odparła słabym głosem.

- A co nam pozostaje?

Wzruszyła ramionami. Pozwoliłem, żeby sobie to przez chwilę przemyślała.

- Myślisz, że ona uważa nas za taki głupich, że na to nie wpadniemy?

Nikt tak nie uważał.

Skredli znowu podskoczył, ale nikt nawet nie zwrócił na to uwagi.

- Może ona myśli, że wrócimy do miasta i będziemy próbowali się zabezpieczyć?

Albo że zaczniemy coś kombinować już teraz?

- Jak dobrze nas zna?

- Nie wiem. Sprawdziła mnie, zanim mnie wynajęła.

- Podejrzewam, że spodziewa się naszego ruchu już teraz.

- Nigdy nie będzie bardziej bezbronna - zauważył Saucerhead.

- Cholera, czekajcie chwilę! - krzyknęła Amber.

- Kochanie, sama powiedziałaś...

- Wiem, ale nie możecie....

- Myślisz, że powinniśmy jej pozwolić ich pozabijać?

- Możecie opuścić TunFaire. Możecie...

- Ona też może. Ale tego nie zrobi. My też nie. TunFaire to nasz dom. Crask, Sadler, co o tym myślicie?

Odeszli na bok i poszeptali między sobą. Crask sam się wyznaczył przedstawicielem ich obozu.

- Masz rację. Zrobimy wszystko, co uznasz za stosowne. Jeśli, oczywiście, będzie to wyglądało rozsądnie.

Gameleon przestał się drzeć. Prawdopodobnie zemdłał. Po chwili pieśń podjął Baronet. Zszedłem trochę niżej, żeby widzieć dom.

- Chciałbym wiedzieć coś więcej o jej umiejętnościach. Czy ona wie, że tu jesteśmy? Czy może stwierdzić, gdzie dokładnie się znajdujemy?

Spojrzałem na Amber.

- Nie spodziewasz się chyba, że ci pomogę, Garrett? Nawet, gdyby planowała morderstwo.

Powiodłem wzrokiem po pozostałych. Czekali na moją decyzję.

- Mam pomysł. Ty zabierzesz powóz i wrócisz do domu. Albo do mnie, jak wolisz. Wtedy nie będziesz w to zamieszana. O niczym nie będziesz wiedzieć.

- Będę wiedziała, kto wróci do domu.

- Ale już nic poza tym. No, ruszaj już. Saucerhead, wyciągnij wilkołaka, zanim odjedzie. Amber, rozumiem, że umiesz prowadzić to draństwo?

- Garrett, ja naprawdę nie jestem zupełnie bezradna!

- No to spływaj. Spłynęła.

Baronet przestał wyć, ale Donni Pell już wchodziła ze swoją arią.

- Musimy przyjąć, że wie, że tu jesteśmy - mruknąłem. - Inne założenie nie ma sensu.

- Więc jak zamierzasz się do niej dostać? - zapytał Crask.

- Coś nam chyba przyjdzie do głowy.

Morley posłał mi mordercze spojrzenie, które mówiło, że on już coś ma. Ja też miałem, ale ziarenko jeszcze nie zakiełkowało.

- Zaraz zrobi się ciemno - zawyrokował Saucerhead. - Na co właściwie czekamy?

- Może właśnie na to. Teraz utniemy sobie małą pogawędkę z kolegą Skredlim.

Oparliśmy go o drzewo. Pozostali stanęli za mną, nieco zdziwieni, a ja przykucnąłem.

- No i znowu jesteśmy razem, Skredli. A ja mam pomysł, jak mógłbyś wywinąć się z tej sytuacji, pozostając wciąż w jednym kawałku.

Nie wierzył, że taki pomysł w ogóle może istnieć. Ja na jego miejscu też bym nie wierzył.

- Dam ci szansę na wyciągnięcie siebie i nas z tego bigosu. Jeśli to zrobisz, w najgorszym przypadku będziesz miał fory stąd do farmy. Słyszałem, że możesz ich złapać i pozabijać, jeśli zechcesz.

W ślepiach wilkołaka pojawił się błysk zainteresowania.

- Rozwiążcie go, a ja wyjaśnię resztę - poleciłem. - Musi się trochę rozprostować.

Saucerhead wykonał rozkaz, acz niezbyt delikatnie.

- Proszę, Skredli. Schodzisz na dół i uwalniasz swoich kumpli. Potem złapiesz Strażniczkę i wywleczesz na zewnątrz. Krzykniesz do nas i już możesz wiać. Mam w tym domu interes do załatwienia, więc nie będę cię gonił. Za Saucerheada nie mogę ręczyć, ale i tak będziesz miał swoje fory.

Spojrzał na mnie twardo.

- No i co powiesz? - zapytałem z kamienną twarzą.

- Nie podoba mi się.

- A jak się to ma do twoich obecnych szans?

Nie znałem do tej pory wilkołaka z poczuciem humoru. Skredli mnie zaskoczył, gdy stwierdził:

- To ty mnie do tego namówiłeś, ty złotousty sukinsynu.

- Dobra. Wstawaj. Rozprostuj kości. - Wyjąłem z kieszeni jeden z kryształów wiedzy. Tego nawet nie trzeba było nadebrać, żeby zadziałał.

- Oto malutki klejnocik, który pochodzi z tego samego źródła, co tamto zakłęcie sprzed kilku minut, po którym wszyscy rzygali - oznajmiłem. - I tamto, po którym twoim koleśiom w Dzielnicy Wilkołaków zaczęło się troić w oczach. Mówię ci o tym tylko dlatego, żebyś wiedział, że to nie bajer. - Wsunąłem mu kryształ do kieszeni i wypowiedziałem odpowiednie słowo. - Jeśli spróbujesz go wyjąć lub zrobisz cokolwiek, co sprawi, że zechcę to słowo powtórzyć, kryształ wybuchnie i rozerwie cię na kawałki.

- Hej, zawarliśmy przecież umowę, do cholery!

- Umowa stoi. Chcę się tylko upewnić, że z twojej strony także. Zakłęcie działa tylko przez godzinę, a kryształ nie uaktywni się, jeśli będziesz poza zasięgiem mojego głosu. Wydaje mi się, że farma znajduje się dokładnie w zasięgu głosu. Chwytasz, o co chodzi?

- Aha. Wy ludzkie bękarty nigdy nie dajecie za wygraną, co? Nie dacie nikomu pożyć

w spokoju.

- To wyłącznie twój punkt widzenia, Skredli, a mnie on bynajmniej nie przeszkadza.

Trzepnij tylko w łeb tę wiedźmę.

Skredli wydobył z głębi długiego, wymiętego cielska długo wstrzymywane westchnienie.

- Kiedy?

- Jak tylko się ściemni. To znaczy za kilka minut. Już teraz mogłem rozróżnić farmę jedynie po konturze.

W pięć minut potem szepnąłem do Skredliego:

- Możesz zaczynać, kiedy tylko zechcesz.

- A może być na następny Nowy Rok? - rzucił i ruszył w dół.

LV

Prawdopodobnie Skredli miał w sobie krztę uczciwości. Gdyby kto inny spróbował ze mną tego numeru, sprawdziłbym go najpierw. Chyba że potrafiłby gadać jeszcze lepiej ode mnie.

- Chłopaki, zbliżcie się - szepnąłem po piętnastu minutach, które na początek dałem wilkołakowi. - Zostały mi jeszcze dwa triki. Ten jest najlepszy. - Wyciągnąłem kryształ, który świecił w ciemności delikatnym, pomarańczowym blaskiem. Był większy od pozostałych i podejrzewam, że stanowił granicę możliwości magicznych wiedźmy - jeśli rzeczywiście robił to, co miał robić.

- Kiedy go rozbiję, staniemy się niewidzialni dla jasnowidzenia, czy jak tam to nazywacie, przez około dziesięć minut. Dla normalnego wzroku wciąż będziemy widoczni. Po jego rozbiciu nie traćcie ani chwili czasu.

- Wrobiłeś Skredliego, ty paskudny chłopcze - mruknął Saucerhead.

- Częściowo. No, może trochę. Troszeczkę. Jeśli po tym, co zrobił, uda mu się uciec, to nie będę go gonił.

- A co ze mną?

- Ostrzegłem go. Jeśli załatwisz Strażniczkę, będziesz mógł zrobić, co zechcesz.

Uśmiechnął się tak szeroko, że widać go było nawet w ciemności.

- Wszyscy zrozumieli? Stwierdzili, że tak.

- Co jeszcze masz? - zapytał Morley. - Co?

- Mówiłeś, że masz parę rzeczy. Znam cię, Garrett. Co to za sztuczki?

- Jeszcze tylko jeden kryształ z tej samej rodзинki. Ten akurat powoduje silne skurcze mięśni.

- Proszę cię, Garrett, tym razem krzyknij, albo coś w tym rodzaju.

- Doskonale. Uwaga! Zgniotłem lśniący kryształ.

* * *

Skredli znalazł z tuzin chłopców do pomocy i wykonał swój ruch, kiedy byliśmy o sto pięćdziesiąt jardów do farmy. Dla większości nie był to szczęśliwy dzień. Atak skończył się, zanim jeszcze minęliśmy dwie trzecie drogi. Wężę błękitno białego światła wily się i trzaskały w powietrzu wokół domu. Ludzie krzyczeli. Kilku odtoczyło się w płomieniach. Tylko do nas nic nie dotarło.

Zobaczyłem, jak Skredli zdziera z siebie plamę płomieni i rzuca się w stronę lasu za farmą. Saucerhead też go zobaczył. Warknął, ale wytrzymał.

Strażniczka wyszła na zewnątrz przez frontowe drzwi. Zeszliśmy jeszcze parę kroków niżej. Płonący ludzie rzucali tyle światła, że widać było, jak się uśmiecha. Zawróciła do ciemnego domu.

Rzuciłem mój ostatni kryształ i padłem na ziemię.

Brzdęk! I długi wrzask.

Ruszyłem z kopyta. Pozostali deptali mi po piętach o wiele za blisko. Wiedzieli równie dobrze jak ja, że muszę ją skrepować w ciągu tych kilku sekund, kiedy ból rozproszy jej uwagę zbyt mocno, aby była w stanie się bronić.

Walczyła z nim, kiedy się pojawiłem. Usiłowałem zatkać jej usta. Uchyliła się. Morley uraczył ją pięścią w skroń, co ją trochę rozluźniło. Wtedy Crask i Sadler przycisnęli Strażniczkę do ziemi. Okrążyłem ich i zatkałem jej usta.

- Saucerhead, zapal do cholery to światło!

Kobieta nie mogła uleżeć spokojnie. Wstrząsające nią spazmy były silne jak konwulsje.

Zapłonęła lampa, ale to Morley ją zapalił. Saucerheada nie było widać w pobliżu.

Morley postawił lampę i przyniósł szmatę, którą ja następnie wsunąłem w usta Strażniczki. W ciągu paru sekund wrócił ze sznurem. Związaliśmy ją. Spazmy powoli ustępowały.

- Skąd u licha wzięłeś ten sznur?

- Oni już go nie potrzebują.

Obejrzałem się. Miał rację. Gameleon i baronet opuścili ten padół. Donni Pell żyła, ale to było właściwie wszystko. Domina Dount stała w kącie, wolna, ale na jej twarzy zastygła maska przerażenia. Rozszerzone oczy nie widziały niczego, skóra była tak blada i zimna, jak tylko może być ludzkie ciało. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z naszej obecności.

- Ależ nieprzyjemna dama - mruknąłem. Właściwie chciałbym, żeby Amber była z nami i zobaczyła, co stało się z jej ojcem.

Niewiele z niego zostało, z jego przyrodniego brata jeszcze mniej. Teraz zrozumiałem, dlaczego był tak przestraszony, że zabił Courtera Slauce'a. Gdyby przewidział rozwój wypadków, mógłbym nawet przypuszczać, że ukatrupił także Amirandę.

Sadler i Crask także byli pod wrażeniem. A oni nie należeli do typów, którzy mdleją na widok jajecznicy z człowieka.

Strażniczka dochodziła do siebie. Otworzyła oczy - twarde, nieprzyjazne.

- Co teraz? - zapytał Sadler.

Nasz następny ruch był oczywisty. Był tylko jeden sposób, aby uratować nasze tyłki: zrobić kogo innego. Było to cholerne ryzyko, nawet wówczas, kiedy już się zdecydowaliśmy. Mam w nosie naszych panów z Góry, pozostali także, ale zostaliśmy uwarunkowani na myślenie, że są oni odporni na nasz gniew.

A teraz nasze najskrytsze życzenie się spełniło.

Usłyszałem coś i pomyślałem o Saucerheadzie. Ale Sadler i Crask, którzy znajdowali się bliżej drzwi, wyciągnęli brzytwy i przygotowali się na kłopoty.

Do pomieszczenia weszła Amber. A tuż za nią wiedźma Saucerheada.

Rozdziawiłem gębę.

Shaggoth wetknął głowę przez drzwi i mruknął coś po trollowemu, po czym z urazą pociągnął nosem i wycofał się w noc.

Morley wykrztusił:

- Co to było, u diabła?

- Troll.

Żołądek Amber tym razem nie zareagował. Spojrzała na szczątki ojca. Potem na matkę. Potem na Gameleona i Donni Pell. I jeszcze raz na matkę. Potem na Willę Dount i wreszcie na mnie. Usta miała zaciśnięte i białe. Potrząsnęła głową, objęła Willę Dount i zaczęła szeptać coś uspokajającego.

- I co teraz? - zapytał znowu Sadler. Obejrzałem się na wiedźmę.

- Przydały się te twoje kamyki.

- Tak myślałam. - Wyglądała tak, jakby i ona miała ochotę pozbyć się ostatniego posiłku.

- Co tu robisz?

- Shaggoth znalazł to dziecko na drodze w ataku hysterii. Przyprowadził ją do mnie. Udało mi się wyciągnąć z niej część historii, trochę się domyśliłam i doszłam do wniosku, że może masz kłopoty. Byliśmy za wzgórzem, tuż za wami, przez ostatnią godzinę.

- Natrafił na Amber przez czysty przypadek, he? Uśmiechnęła się.

- Lubimy wiedzieć, co się dzieje. - Rozejrzała się wokół. - Twój współnik już dwa razy zapytał, co teraz robić?

- Nie chodzi o to, co ja chcę zrobić. Planowałem, że wrzucę ich do studni, a studnię zasypię. Zanim ktoś ich wykopie, będą nie do zidentyfikowania.

- Masz tendencję, żeby myśleć równie paskudnie, jak ci, przeciwko którym dziś stajesz, Garrett. Jesteś rycerzem w kraju owładniętym

mrokiem, pamiętasz o tym? Żądza sprawiedliwości? Właśnie to przyniosło cię do mnie, a nie żądza krwi lub śmierci.

- Pokaż mi, jak to zrobić. Głowa mi nie dopisuje. To stało się już zbyt krwawe i brutalne.

- Amber, chodź tutaj.

Amber oderwała się od Willi Dount, która zaczęła już trochę przypominać człowieka.

- Tak?

- Wyjaśnij Garrettowi, o czym rozmawialiśmy, czekając na wzgórzu.

- Rozmawialiśmy? Powiedziałaś mi... Garrett, musimy tylko sprowadzić tu paru ludzi z Wysokiej Rady. Niech przyjdą i zobaczą, co się stało. Nie trzeba już nikogo więcej zabijać. Możemy sobie usiąść i przeczekać. Uczciwie odpowiadać na pytania. Moja matka nadużyła swych praw. Oni podejmą odpowiednie kroki. Włącznie z tym, że pewna kobieta już nikogo nigdy nie skrzywdzi. Ani ciebie, ani twoich przyjaciół.

Przemyślałem to sobie. I jeszcze trochę to sobie przemyślałem. Może byli zbyt cholernymi idealistami. Ale jeśli pojawi się odpowiednia grupa, jacyś nieprzyjaciele Strażniczki, możemy z tego wyjść czyści jak poranna rosa. Mogą zamknąć sprawę i zrobić z niej przyzwoite przedstawienie, dostać to, czego chcą, i sami wyjść na wielkich obrońców sprawiedliwości.

- To warte namysłu. Chodźmy się przejść. - Złapałem ją za rękę i wyciągnąłem na zewnątrz.

- O co chodzi? - zapytała.

- O złoto!

- Przepadło, nie? I tak, jeśli wszystko wyjdzie tak, jak to mówi wiedźma, dostanę to, co należało do matki i ojca, a jej już tam nie będzie...

- Złoto nie przepadło. Nie wszystko. Willa Dount gdzieś je schowała. Skredli i jego banda nie żądali dwustu tysięcy, tylko dwudziestu tysięcy. Domina dołożyła jedno zero do wszystkich listów.

- Och, rozumiem. Chcesz swojej połowy.

- Właściwie nie. Nigdy na nią nie liczyłem. Chcę tylko, żebyś pamiętała o tym, jeśli sprowadzisz tu trybunał. Gdyby przewąchali coś o złocie, mogliby nabrać na nie ochoty.

- A ty? Zgadzasz się, żeby rozegrać to w ten sposób?

- Ja się zgadzam. Pytam tylko o ciebie.

- Powiedziała, że się zgodzisz.

- Kto? Wiedźma?

- Tak. Zna cię chyba lepiej niż ja.

- Chodźmy do środka. - Wróciliśmy. Podeszedłem do Craska i Sadlera:

- Chłopaki, macie jakiś interes, żeby się tu kręcić? Crask był oparty o ścianę i przyglądał się wiedźmie.

- Aha - mruknął i pokazał palcem. - Ona. Miał na myśli Donni Pell.

- Chodo ją chce. Kiedy z nią skończycie, oczywiście, jeśli jeszcze będzie oddychać.

- A po co?

- Jako dekorację. Jak te lale, które kręcą się wokół basenu. Z tego, co słyszał, uważa, że to może być interesujące.

- Jasne. - Spodobała mi się ta myśl. Skonsultowałem się ze swoim sumieniem. To lepsze, niż ją zabić. No, może lepsze.

- W porządku. Możecie ją zabrać już teraz.

Wiedźma posłała mi nieodgadnione spojrzenie. Potem pochyliła się i zrobiła coś Donni Pell. Dziewczyna zaczęła lżej oddychać.

Wszedł Saucerhead. Zobaczył wiedźmę i momentalnie zbaraniał. Nabrałem dziwnego przekonania, że świat nie będzie już nigdy prześladowany wilkołaczym nasieniem nazwiskiem Skredli.

Morley milczał. Właściwie zmył się w najbardziej spektakularny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Nie zwracałem na niego uwagi, kiedy Crask i Sadler układali Donni Pell na noszach. A kiedy spojrzałem, Morleya już tam nie było.

LVI

Organ śledczy zjawił się w liczbie ośmiu osób. Byli cholernie dokładni, ale nie miałem żadnych wątpliwości, po czyjej są stronie. Werdykt końcowy ogłosił Lorda Gameleona, baroneta daPene i Strażniczkę Raver Styx winnymi morderstwa. Śmierć Amirandy została przypisana nieznanemu zabójcy.

Na Górze nie wieszają się wzajemnie. Raver Styx została skazana na konfiskatę majątku i utratę mocy czarodziejskiej oraz banicję z Góry, aby sama torowała sobie drogę poprzez świat. Ale nie odeszła całkiem sama. Willa Dount zniknęła także, a ostatni raz, kiedy o niej słyszałem, Raver Styx namiętnie na nią polowała. Sto osiemdziesiąt tysięcy marek w złocie!

Ciekaw byłem, czy jej się uda. Nigdy nie zdołałem namierzyć Willi Dount ani złota, pomimo wielu miesięcy poszukiwań w wolnych chwilach.

Uznałem, że najprawdopodobniej miała je ze sobą przez cały czas. Nie spóźniła się na złożenie okupu dlatego, że zatrzymywała się po drodze, ale, jak słusznie sądził Skredli, przeliczyła się z prędkością przeciążonego pojazdu. Działka, którą dla siebie odłożyła, znajdowała się w podwójnym dnie wozu. Znalazłem wóz i człowieka, który go dla niej zrobił. Cokolwiek zrobiła ze złotem, uczyniła to już po wypłacie okupu.

I tak mi się udało. Znalazłem sposób, by odzyskać resztę, a Amber zatroszczyła się, żebym dostał swoje dziesięć procent.

Nie miałem bezpośrednich kontaktów z Amber od czasu, kiedy wróciliśmy do TunFaire. Była zbyt zajęta wpychaniem się na miejsce zwolnione przez matkę, żeby mnie odwiedzać. A ja nie odważyłem się tam pójść.

Kiedy wróciłem do domu, wyglądałem, jakbym spędził sześć tygodni na dzikiej i bezludnej wyspie. Dean tylko na mnie spojrział i natychmiast zadarł nos aż po sufit.

- Postawię wodę na kąpiel, panie Garrett.

Usłyszałem dochodzący z kuchni kobiecy głos. Nie, nie byłem w stanie stawić czoła żadnej z jego bratanic.

- Dean, co ci mówiłem...

Do holu weszła Tinnie, jak wściekła, ruda furia.

- Dam ci jedną, jedyną szansę, żebyś się wytłumaczył, Garrett - rzekła i zawróciła do kuchni.

- O co chodzi?

- Dzisiaj rano, kiedy wracała do miasta, widziała, jak wychodzisz z domu Lettie Faren w towarzystwie kobiety. - Dean wyglądał na bardzo zadowolonego.

- A ty, wiedząc, z kim byłem i po co, nie raczyłeś jej wyjaśnić, ponieważ uznałeś, że mi się to należy, jeśli znajdę się na jej czarnej liście. Tak?

Nawet nie udawał, że się zawstydział. Szczur.

Tinnie przyjęła moje słowo. Mniej więcej. Kiedy wyjaśniłem wszystko po sześć razy i pokazałem jej, a jakże, że nawet na tym co nieco zarobiłem. Trochę się musiałem natrudzić, a część forsy trzeba było rozpuścić w eleganckich restauracjach i na tego typu rzeczy, zanim zdecydowała się wybaczyć mi to, co jak sądziła, musiałem narozrabiać.

Ustąpiła, kiedy zacząłem przebąkiwać o poślubieniu jednej z bratanic Deana. Chciała uratować mnie od losu gorszego od śmierci.

Do dnia, kiedy Crask zapukał do moich drzwi, minął tydzień. Nie byłem w najlepszym humorze. Dean, Truposz i Tinnie jeździli po mnie z byle powodu jak po łysej kobyle. Saucerhead unikał mnie za to, co przeszedł podczas śledztwa. Chłopcy Morleya nie dopuszczali mnie nawet w pobliże jego domu. Za każdym razem, kiedy wychodziłem z domu, Pokey Pigotta śledził mnie wyłącznie po to, żeby ćwiczyć swoje umiejętności do momentu, aż uda mu się zrobić to bez mojej wiedzy. Nie byłem w dobrym humorze.

- No? - zachowałem dla siebie najpaskudniejszy ton. Nie jestem na tyle głupi, żeby częstować nim łamignatów Choda. Następny, który się zjawi, może nie być mi znany, a wtedy zafunduje sobie na mojej czaszce solo na perkusji ołowianymi pałkami.

- Chodo chce cię widzieć.

Wspaniale. A ja wcale nie chciałem widzieć Choda. Przynajmniej dopóki nie wejdę w błoto tak głębokie, że przyjdzie czas na odebranie długu.

- Towarzysko? Crask uśmiechnął się.

- Można tak powiedzieć.

Nie spodobało mi się to. Nie widziałem uśmiechu na twarzy Craska od dnia, w którym wkroczył w moje życie.

- Ma dla ciebie prezent - wyjaśnił.

Ojejku! Prezent od kacyka. To może oznaczać wszystko, jeśli dobrze znam metody działania tych chłopców. Przy mojej wyobraźni może to również nie oznaczać niczego dobrego. Ale co mogłem zrobić? I bez kacyka miałem dość wrogów.

- Pozwól, powiem tylko służącemu, żeby zamknął drzwi. Powiedziałem Deanowi. Zajrzałem do Truposza. Ten tłusty drań wciąż spał. Przespał także naszą wyprawę na farmę i wciąż nie powiedział mi, jak Glory Mooncalled wyprawia swoje militarne czary.

Miałem dla niego niespodziankę.

Chodo mógł się lepiej postarać. Crask wywiózł mnie w powozie tak wymyślnym jak wszystko z Góry. Może nawet tym samym, którym dostaliśmy się do Dzielnicy Wilkołaków.

Kacyk przyjął mnie nad basenem. Siedział w swoim fotelu, ale przed chwilą wyciągnęli go z wody. Dziewczęta właśnie skończyły go ubierać i odskoczyły, chichocząc. Miały tu słodkie życie, dopóki tyłki im nie zaczną obwisać.

Jedna ślicznotka pozostała.

W pierwszej chwili jej nie rozpoznałem. A kiedy już do mnie dotarło, kim jest, byłem cokolwiek zdumiony.

To nie była ta sama Donni Pell, którą znałem tak krótko. Nie ta, która grała twardziela na farmie. Ta Donni została złamana i odbudowana na nowo. Wydawała mi się przymilna jak szczeniaczek.

Chodo zauważył moje zaskoczenie. Spojrzał mi w oczy z uśmiechem. Miał taki sam uśmiech, jak Crask. Tak jakbym spojrział Śmierci w twarz i rozśmieszył ją.

- To prezent, panie Garrett. Proszę nie uznać tego za załatwienie przysługi, którą jestem panu winien. Tylko jako dowód szacunku.

Jest już zupełnie oswojona. Bardzo spokojna. Nie jest mi też potrzebna. Może panu się przyda, proszę ją wziąć.

I co mogłem zrobić? Jest tym, kim jest. Podziękowałem i poleciłem Donni, żeby się ubrała. Potem Crask zabrał nas do domu.

I co ja mam z nią teraz począć?

Co oni jej zrobili? Nie była już tą samą Donni Pell.

Odpowiadała wyłącznie na pytania.

Zabrałem ją do pokoju Truposza, posadziłem i obudziłem geniusza.

Garrett, ty przyszczu na nosie... Bogowie! Tylko nie jeszcze jedna! Masz już tę rudowłosą wywłokę, która łazi tu i tam i...

- Skąd wiesz? Przecież śpisz jak zabity.

Naprawdę wierzysz, że mogę spać w tym...

- Możesz, Chichotku. To jest słynna Donni Pell. Kilka tygodni z kacykiem sprawiło, że zmieniła się nie do poznania.

Taak. Wydawał się nieco roztargniony. Może nawet było mu żal, choć, jak mi bogowie mili, kobiety nie zasługują na litość.

- Myślę, że jeśli zadam pytanie, udzieli mi odpowiedzi.

Pewnie tak. Tak. Czy to znaczy, że jeszcze czegoś tam sam nie zdołałeś wymyślić?

- Coś w tym stylu - znaczyło to, że próbuję uporządkować bałagan we własnej głowie. Przy odrobinie pomocy ze strony Tinnie zaczęło mi się to nawet udawać.

- Chcesz powiedzieć, że udało ci się wydedukować, kto zabił Amirandę?

Tak. I dlatego. Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Garrett. To przecież całkiem oczywiste.

- Oświeć mnie.

Oświeć się sam. Masz wszelkie informacje. Albo spytaj to umęczone dziecko.

Chciał chyba powiedzieć udręczone. Tylko słowo “udręczona” dokładnie odzwierciedlało stan Donni Pell.

Spróbowałem i tego, analizując całą sprawę od samego początku. Niczego nie wydumałem. Może mi się po prostu nie chciało, bo trzeba było jedynie zadać konkretne pytanie:

- Donni, kto zabił Amirandę Crest?

- Domina Willa Dount, panie Garrett.

- Co? Nie! Ale... zaraz!

- Dlaczego?

- Ponieważ to Amiranda pomagała Karlowi ułożyć listy od porywaczy, które ja potem napisałam i wysłałam. Ponieważ Amiranda wiedziała, że będziemy żądać dwudziestu tysięcy w złocie, a kiedy zobaczyła listy, stało w nich dwieście tysięcy. Ponieważ natychmiast po spotkaniu z Karlem wiedziałyby, że to nie on stał się chciwy ani nie ja się pomyliłam.

Zgadza się. Musiałem wierzyć, że Truposz doszedł do tego samego wniosku. A to dlatego, że przekazałem mu wszystkie szczegóły zeznania Dominy Dount w obecności Strażniczki. Zawierały one wskazówkę, że Willa Dount wiedziała wcześniej o planowanej ucieczce Amirandy.

Aleja akurat wtedy miałem głowę całkiem gdzie indziej. Szlag by trafił.

Miałem ją i wypuściłem z rąk. A ona posłusznie zwiła. W dodatku z całym złotem.

Zamknąłem swój umysł, a ona teraz była w domu i wolna. Nie musi się już niczym martwić przez resztę życia... no, poza tym, żeby być zawsze o krok przed Raver Styx.

Poczułem się jak ostatni dureń. A Truposz wspaniale się bawił moim kosztem.

Jeszcze bardziej radowało go to, że zostałem z Donni Pell w charakterze dekoracji. Nie miałem pojęcia, co z nią robić. W jej stanie trudno byłoby ją po prostu wyrzucić na ulicę. Jak nic oddam ją znowu do Lettie Faren...

- Dobra, Kupo Gnatów. Zanim się zdrzemniesz, opowiedz mi jeszcze, jak Glory Mooncalled rozgrywa te swoje zdumiewająco zwycięskie kampanie, ponieważ zawiązał coś

w rodzaju paktu z plemionami centaurów.

Potrafię wymyślić to i owo, jeśli da mi się odpowiednie wskazówki. Wyszczrzyłem zęby. Jego bomba spaliła na panewce.

W Kantardzie obie strony korzystają z pomocy centaurów, które wykonują dla nich większość prac zwiadowczych. Właściwie cały przepływ informacji spoczywa na barkach centaurów. Jeśli one postanowią, że czegoś nie widzą, wojenni lordowie będą ślepi. Ciekaw

byłem tylko, co to za układ, bo może pewnego dnia stanie się on równie kłopotliwy dla Karenty, jak jest obecnie dla Venageti.

Rada Wojenna Venageti prawdopodobnie już wkrótce położy na tym łapę. Nawet jeśli jesteś całkiem przekonany o swojej racji, nie możesz pozostać ślepy na wieki.

Poczułem, że Truposz się pieni, i na wszelki wypadek zabrałem Donni do kuchni, żeby ją nakarmić.

Jeśli Garrett jest pies na uciśnione dziewice, Dean jest taki sam pies na skrzywdzonych. Znalazł jej posadę gospodyni i opiekunki u jakiejś starszej, kalekiej kobiety, ale nigdy nie powiedział mi gdzie. Podobno bardzo się polubiły.

Nieraz zastanawiam się, czy się nie przekwalifikować. Z tej sprawy nikt nie wyszedł cało i zadowolony, z wyjątkiem centralnej postaci negatywnej.

A może powinienem cieszyć się, że sam wyszedłem z tego w jednym kawałku i z garstką przyjaciół - i sporym zyskiem?

W końcu chyba po to się pracuje, nie? Żeby zarobić na życie?